

De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 155.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1879.

SERYA V.

Sierpień.

TOM III. — ZESZYT VIII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główny w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 1 sierpnia 1879 roku.

T R E Ś Ć.

stron

Od Redakcyi.

I. Logika Aleksandra Bain'a w przekładzie polskim. Przez Feliksa Jezierskiego.	145
II. Z podróży i przechadzek po południowo-zachodniej Norwegii. Z luźnych notatek spisał Stanisław Bełza (Ciąg dalszy).	163
III. Przyczynek do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w zarysie,” 1879 r. Przez Aleksandra Tyszyńskiego.	184
IV. Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskim. Przez Antoniego Wrotnowskiego (Ciąg dalszy).	206
V. Kronika poznańska.	224
VI. Warszawa, jój życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830 r.). Przez K. Wł. Wóycickiego (Do-kończenie).	233
VII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.—Walka w dziedzinie sztuki.—Nowa szkoła impresjonistów.—Obrazy religijne, historyczne, mitologiczne i rodzajowe, portrety, krajobrazy, rzeźby.—Salon oświetlony elektrycznością.—Walka w akademii: Henri Martin i Emil Olivier.— <i>Sztandar</i> , powieść Juliusza Claretie.— <i>Cztery sierżanci z Roszelli</i> , dramat.—Pomnik księdza de l'Epée w Instytucie głuchoniemych w Paryżu.—Wystąpieniu koncertowe panny Kamili Morzkowskiej w Nicei.	260
VIII. Korrespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.	283
IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Złota księga szlachty polskiej. Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik pierwszy. Poznań 1879 r. Przez Adama Bonieckiego.	286
Jan Łaski arcybiskup gnieźnieński sprzymierzeńcem sultana tureckiego. Przez d-ra Aleksandra Hirschberga. We Lwowie. Nakładem Tygodnia, 1879 r. (W 12-cc, str. 76). Przez K. Wł. Wóycickiego.	296
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.	298
XI. Nekrologia.	304



KAZIMIERZ WŁADYSŁAW
WOYCICKI,

jeden z założycieli naszego Pisma i Redaktor jego odpowiedzialny od 1850 r., w dniu 1 sierpnia r. b. zakończył życie z wielką dla nas i literatury krajowej stratą.
Cześć Jego pamięci!

Od Redakcyi.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej pozostając w dotychczasowym składzie, przedsięwzięła właściwe kroki do Władzy, o zatwierdzenie nowego redaktora odpowiedzialnego.



De II 1.

Logika Aleksandra Bain'a

W PRZEKŁADZIE POLSKIM.

W chwili, kiedy walka pomiędzy dwoma kierunkami, współro-
dnymi sobie przy swoim przeciwieństwie, a więc rozpoczętemi, iż tak
powiem, w przedhistorycznych czasach wiedzy ludzkiej; kiedy walka em-
piryzmu z apyryzmem dochodzi do skali niezwykłego dotąd natężenia:
niesłychanie ważnym jest faktem ukazanie się wśród naszej publiczności
dzieła, poważnie, stanowczo i z naukowym wdziękiem uosobiają-
cego jeden z tych kierunków. Co szczególnie daje wysokie prawo oby-
watelstwa utworom Bain'a, człowieka dziś stojącego na świeczniku, to wła-
śnie ta zasługa, że przeszedł on przez wielkie studjum natury, że psycho-
logią usadowił na fizyologii, że w prace swoje, wielostronnością gałęzi
przypominające uniwersalność Leibnica, wprowadził i najskrzętniej
poustawiał ostatnie wyrazy każdej nauki, od mowoznawstwa aż do me-
chanizmu nerwów i to, jak powiada Lewes „w świetle spokojnej, psy-
chologicznej analizy.” Odchyłać pojedyncze subtelnosci procesu po-
znawczego, rozstawiać pewne jego grupy, zbierać odosobnione arty-
kuły myślenia i dowodzenia, rozgrzebywać wnętrza pewnej figury sylo-
gizmu i t. p., może być przywilejem wielu; ale skodeksowanie tych praw
w całokształt, z pod którego mocy obowiązującej żadne zjawisko wy-
mknąćby się nie mogło, takie arcydzieło ścisłości, pożytku naukowego
i długiego wpływu na przyszłość swojego kierunku, tylko zpod takiej
potęgi wyjść mogło. „Nikt jeszcze, mówi tenże Lewes, z wyższém po-
wrożeniem nie zgromadził tyle rysów pouczających i tyle wskazówek,
jak Bain.” Wyobraźmy sobie system o kilku najprostszych punktach
wyjścia, uprawnionych psychologicznie, rozpoczynający od wrażenia—
system, który następnie, rozprężając się i rosnąc z niezmordowaną cią-
głością, bez przeskoku, wkracza kolejno we wszystkie dziedziny, stosuje
swoję modłę pierwotną do polityki, chemii, klasyfikacji chorób, prak-
tyki, botaniki, biologii... a będzie to system Bain'a. Możemy nawet
i niewłaściwie użyli tego wyrazu, bo raczej powiedziećby można, że
tam każdy paragraf przedstawia coś pełnego, z domyślnym pod wszyst-
kimi działami i poddziałami, ruchem postępowym.

Że zaś żyjemy w chwili gorącego zajęcia się pomysłami ludzi tój
miary jak Spencer, Mill i inni przedstawiciele nowej siły, przeto nie-



podobna było pomyśleć stosowniejszej pory do wprowadzenia na nasz horyzont, najdojrzałego z utworów Bain'a, jego *Logiki*.

Przekład *Logiki* Bain'a z którą czytelnika zapoznać zamierzamy, obok wyżej dotkniętych znamion pierwotworu, ma dla nas przytęm ważność specjalną: dokonała go, jak przekonaliśmy się ze ścisłego porównania z oryginałem ręka wytrawna, a czytelnik dziwić się nie będzie, że w przekładzie pracy filozoficznej stawiamy równie snrowe wymaganie, jak w przekładach utworu sztuki, ba może jeszcze surowsze. Stawiamy je najprzód dla tego, że w żadnej dzielnicy duch i tok mowy rodzinnej nie bywa narażonym na takie pokusy, jak w dzielnicy czystego myślenia; powtóre dla tego, że tłumacz nie miałby tu prawa zasłaniać się jakowąż młodzieńczością, pierwotnością języka: od wieku Zygmunta aż do dzisiaj pionek filozoficzny przebiegał po wszystkich warstwach téj mowy, a więc że na wszelkie możliwe odkrycia myśli *istnieją* w niej, albo już czynnie, albo co najmniej, preformacyjnie, gotowe kształty.

Krótką przedmowę Bain'a (str. XIX—XXI), tłumacz poprzedził własną przemową, której w końcu naszej oceny dotkniemy jeszcze; tymczasem zaś przytaczamy jęj zakończenie: „Logicznego myślenia a następnie czynów logicznych w stosunkach prywatnych i sprawach publicznych: oto czego każdemu wiekowi i każdemu narodowi życzyć należy. Za obojgiem, prawie zawsze następuje poprawa charakteru jednostek i polepszenie bytu tak indywidualnego jak i zbiorowego” (*Przedmowa tłumacza*, str. XVIII).

Pod takiémto hasłem występuje na widownią literatury: *Logika A. Bain'a* (tom I *Dedukcya*, tom II *Indukcya*), tłumaczenie z angielskiego. (Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1878 r.).

Nic tak wydatnie nie przedstawi nam charakteru szkoły, jak sam już plan dzieła.

Nie szło tu myślicielowi o jakąś konstrukcją na zrębach metafizycznych, gdzie części wysnuwałyby się z pnia *a priori* (w sposób, do jakiego przyzwyczaiły nas teorye porządku germańskiego); przeciwnie, rozpoczyna on od najelementarniejszego zadziergu wiedzy ludzkiej—chwytą pasmo myśli ludzkiej w chwili jęj biegu i działania, i nigdy nie spuszczając z oka faktów i treści, odsłania przed nami widok na tę mrówczo-drobiazgową robotę, jakiej poddają się pojedyncze jęj włókna mając za spójnię swoje—świadomość.

Plan dzieła podajemy tu w głównych zarysach, zatrzymując się niekiedy na pewnych jego działach, o ile to do wyjaśnienia lub porozumienia się potrzebuem będzie.

Ponieważ w skład logiki wchodzi teorya i granice tłumaczenia zjawisk, przeto autor rozpoczyna od wstępu psychologicznego, poświęcając go rozważaniu natury władz umysłowych. Pomimo krótkości swojej zasługuje on jednak na to, aby mu się bliżej przypatrzeć właśnie dla tego, że doskonale charakteryzuje nam szkołę. Bain podaje taki rodowód poznania naszego:

„Umysł ludzki posiada zdolność oglądania różnic i oglądania podobieństw, z kojarzenia zaś różnic i podobieństw powstaje poznanie. Aby w nas zrodzić się mogło pewne uczucie, powinna nastąpić zmiana we wrażeniu. Jednostajność wrażenia nie może sprowadzić ani żywości w uczuciu, ani doprowadzić go do stanu czujnej świadomości. Jeżeli np. temperatura ciągle jest jednostajna, tracimy uczucie ciepła lub zimna. Najżywsza świadomość towarzyszyć zwykła nagłym *zmianom*: pierwszy łyk wody, który nas orzeźwia w pragnieniu, chwila przenosząca nas z ubóstwa do bogactwa i t. p., są to doby najwyższego napięcia poczuć; gdy te wrażenia przemijają, pobudzenie słabnie.

Podobne prawo *przejęcia* obowiązuje i w akcie poznania. Poznajemy, czém jest ciepło, doświadczwszy wprzód, czém jest zimno. W każdym téż akcie poznania jednoczą się dwie rzeczy: nowy stan świadomości do jakiegośmy przyszli (np. świadomości ciepła po zimnie), oraz świadomość stanu, z któregośmy wyszli (zimna); pierwsze nazywamy świadomością wyraźną (*explicit*), drugie zaś (t. j. uprzednie) świadomością niewyraźną (*implicit consciousness*).

Stosunek zaś taki nazywamy paralelizmem, względnością, odnośnością.

Umysł, jak powiedziano wyżej, zdolnym jest przytém oglądać i podobieństwa. Jeżeli np. po wyniesieniu z pokoju zapalanej świecy, za chwilę znowu ją przyniosą, wówczas oprócz wrażenia światła, doznaje się jeszcze nowego wrażenia, uczucia *zgodności*, tożsamości, powtarzania.

„Otóż skojarzeniem tych dwu czynników: paralelizmu i podobieństwa (różnicy i zgodności) jest poznanie. I tak np., poznanie tego, czém jest ciepło, zawiera w sobie: *a*) szereg wrażeń, wynikających z różnicy pomiędzy zimnem a ciepłem, *b*) podobieństwa przy powtórzeniu się tych samych wrażeń w zmienionych okolicznościach. Znać jakiś fakt, jestto odróżniać go od wszystkich odmiennych, a upodobniać czyli utożsamiać ze wszystkimi podobnymi do niego faktami. Podobnie np. nasze wrażenie umysłowe (poznanie czyli idea) szylinga jest sumą wszystkich różnic, jakieśmy zauważyli pomiędzy tym pieniądzem a wszystkim, co nin nie jest, oraz sumą wszystkich podobieństw, zachodzących między szylingiem a rzeczami z nim porównywanymi. Mówimy, że on jest okrągły, to znaczy: 1) że się różni od wszystkiego co jest kwadratowe, podługne i t. p., 2) że jest podobny do wszystkich innych przedmiotów równie okrągłych, które nas często uderzały tożsamością kształtu w rozmaitych okolicznościach.”

W taki to sposób Bain załatwia się z kwestyą najprostszą napozór, ale najważniejszą i najzawilszą: z kwestyą przetwarzania się *brutto* przedmiotowego na materyał wiedzy naszej—najważniejszą, ponieważ od sposobu jój rozwiązania zależy sposób obchodzenia się nadal z całym operatem badań logicznych, a najzawilszą dla tego, że przed okiem badacza zacierać się tu może mnóstwo zjawisk mikroskopijnej drobnosci, jakie zachodzą pomiędzy wrażeniem a poznaniem. Bain, jak widzieliśmy, najpierwotniejszą działalność umysłu osadza tu na sprzecz-

ności; wrażenia, coraz to inne są, podług niego, szeregiem faktów, znoszących fakta poprzednie, każde zjawisko, potrącające zmysł człowieka zdaje się budzić go hasłem „to już nie to.”

Otóż sądzilibyśmy, że ani przypuszczalna zasada różnicy (tłómacz Bain'a bardzo trafnie doбира tu wyraz: paralelizm), ani zdolność upodobniania (*agreement, similarity*), nie tłumaczy nam zaspakajająco tajemnicy pierwszych zadziergów wiedzy ludzkiej. Gdyby wrażenia, wyobrażenia, pojęcia, słowem gdyby poznanie na wszelkich szczeblach swoich ujęte, było jedynie faktem *psychologicznym*, za co zdaje się je nasz autor uważać, w takim razie wyjaśniłby go wyczerpująco niepodobna. Tymczasem przeniesienie kwestyi na grunt ogólniejszy, t. j. pojmowanie procesu wiedzy pod powagą *powszechniejszych praw bytu i dziania się*, w wysokim stopniu ją upraszcza i w takim pojmowaniu rzeczy tę zasadę naszego myśliciela, że „poznanie kojarzy różnice i podobieństwa,” wysłowilibyśmy tak „w poznaniu *kojarzą się* różnice i podobieństwa” — ale uszanować musimy punkt wyjścia autora i wśród *jego* konsekwencji niniejszą pracę oceniać, a w takim razie niepodobna nie przyznać mu, że od początku do końca, a więc i w podstawach psychologicznych pozostał wiernym chorągwi. Na nięj zaś domyślać się zawsze należy godła: „nic przedhistorycznego w umyśle ludzkim, wszystko jest genezą.” Dogmat to może i nie przypadający do przekonania wielu, ale z tą mistrzowską przeprowadzoną dyalektyką, co to nawet w przeciwniku każe uznać bohatera. Ludzie tego dogmatu, posiadającego dziś w szeregach swoich potęgi pierwszego rzędu, indukcyoniści, a jeszcze dobitniej mówiąc: historyści, na wszystkich polach nauk, ściśle pilnują solidarności. Nietylko w rodowodzie wiedzy naszej nie uznają oni nic *danego* przed-empirycznie, owszem w samych nawet uczuciach, popędach artystycznych i t. p. widzieć chcą jedynie genezę. W tej chwili przychodzi nam na myśl najświeższe pismo Granta Allen'a: *O uczuciu barwy (The Colour-sense)*. Są to, jak je sam autor nazywa, zarysy z psychologii porównawczej. Otóż Grant Allen, z góry już zastrzegając *historyczny* początek uczucia barwy, jako pewnik, w piśmie swoim stara się wskazać, w jaki sposób tak barwy same, jak i uczucie barw wprowadzonymi zostały do natury organicznej. Sądzi on, że sfera wrażliwości, a wyraźniej jeszcze mówiąc: sfera znajomości barw znakomicie rozszerzyła się od czasu Wedów i Iliady. Homer np. miał nie znać jeszcze koloru błękitnego i zielonego. W takim razie i *Glaukopis* Atena musiałaby coś z uroku swoich oczów odstąpić. Gdybyśmy nawet i zgodzili się na zdanie Granta Allen'a co do historycznego rozwoju uczucia barwy, to trudno jednak przyznać coś podobnego w rzeczach *wiedzy*, którą, jak wiemy, w wielu zagadnieniach, starożytność i to bardzo głęboka starożytność wyprzedziła wieki późniejsze osobliwszą potęgą intuicji rozumowej i odgadywaniem systemów najodleglejszej przyszłości.

Lecz wróćmy do Bain'a. W dalszym obrazie tworzenia się pojęć czytamy u naszego autora, że pojęcie jednostki jest już skupieniem po-

jęć ogólnych. Gdy spostrzeżeniu indywidualnemu nadajemy imię np. danego *drzewa*, wyrażamy przez to nietylko wrażenia chwilowe na zmysły działające, ale oraz skupienie wielu wrażeń uogólnionych.

Bardzo charakterystycznie Bain określa jednostkę, uznając za jej znamię to, że jednostka stanowi pewne oznaczone skupienie, którego nie mieszaemy z innymi jednostkami.

W ustępie (8) o poznaniu uważanem: *a*) jako indywidualne i konkretne; *b*) jako ogólne i abstrakcyjne, autor pominął pewien szczebel pośredni pomiędzy indywidualnym a oderwanym pojęciem. Mówi bowiem: „poznanie stołu, znajdującego się w pokoju o pewnej oznaczonej porze, jest jak najbardziej indywidualnym czyli konkretnym. Poznanie stołu *w ogóle*, bez względu na okoliczność czasu i miejsca, jest ogólnym czyli abstrakcyjnym.” Czyli inaczej, mamy tu po jednej stronie indywiduum, a po drugiej ogół (gatunek, rodzaj, lub jakkolwiek to nazwiemy). Ależ (odpowiadamy na to autorowi) pomiędzy jednostką, wziętą w najściślejszej konkretności (osobą A, stojącą w tej chwili przed oczyma naszymi), a grupą, pod którą podciągamy i ją wraz z innymi, stoi w pośrodku jeszcze *taż sama* jednostka uogólniona, t. j. uważana w wyzwoleniu od sytuacji przypadkowych. Otóż pojęcie takiej jednostki autor pominął. Zdaje się wprawdzie niby napomykać o nią w § 12, gdzie mówi: „różnica pomiędzy obecnym spostrzeżeniem zmysłowym (*presentation*), a przypomnieniem oderwanym (*representation*) polega na tém, że w pierwszym zachodzi określony zbieg uogólnień, a w drugim także zbieg nieokreślony.” Zdawałoby się więc, że to jest właśnie owa osoba A, pojęta w swojej ogółowości, a już nie jako aktor w tej lub innej podstawie. Tymczasem w przykładzie, przeznaczonym do wyjaśnienia wyczytujemy coś innego: „Szyling, który trzymam w ręku, stanowi postrzeżenie obecne, zmysłowe (*presentation*); szyling uważany jako pieniądz królestwa W. Brytanii, stanowi to, co nazywam przypomnieniem (*representation*).”

Pominielibyśmy tę subtelność, gdyby tu nam przed oczyma nie stało ważne zagadnienie logiczne, a mianowicie: jakim sposobem np. od kilkukrotnego widzenia osoby A, przysliśmy do pojęcia ogólnego tej osoby? Będzie to pojęcie konkretne, czy oderwane? Podobno ani jedno ani drugie; będzie to jednostka, czy też grupa jednostkowa? ależ to byłaby rażąca *contradictio in adjecto*. Zgoła na taką postać poznawczą trudno upatrzeć ramy, a przecież jest ona faktem, niedającym się zaprzeczyć. Łatwo mi jest wprawdzie wytworzyć sobie pojęcie znanej alei, a zarazem wyzwolić się od obrazków jednéj, drugiej i setnéj pary lip, tę aleę składających. Łatwo wytworzyć sobie pojęcie miliona, bez szczegółowego poczucia składających go jednostek. Ale trudniej jest pogodzić tam faktyczną mnogość położeń osoby z najoczywistszą jej jednostkowością. Gdybym widział na scenie Otella, szybko przebiegającego od końca do końca sali, a więc Otella, który się utysiąckrotnił we wrażeniu mojego oka, pytanie, którego z tych tysiąca Otellów wyobraźnia moja wybierze sobie jako przedstawcę? Idąc za

zdaniem Fortlage'go, odpowiedziećby można: „wszystkich tysiąc w jednym.” Rzeczywiście wszystkie konkretne znamiona téj osobistości *implicite* tkwić będą w pojęciu wybraném. Róża, którą własnymi rękami wyhodowaliśmy, nieraz przypomina się nam jako kształt konkretny, jako pojęcie określone o jednéj grupie znamion; ale to pojęcie za pierwszym mocniejszym dotknięciem, rozkrotni się na obrazy: to kielkującego, to podrastającego krzewu, to kwitnącego, to tracącego zieleność i kwiat, to wrzeszczącego usychającego.

Widocznie tedy uznać potrzeba w zasadzie: ciągłość świadomości ludzkiej, a to w takiém znaczeniu, że zdolną jest ona do odświeżenia się w pewnej części swojej i do pewnego stopnia, a przywilejem umysłu naszego jest zdolność mocniejszego lub słabszego nateżenia tego stopnia, oraz zwracania ku światłu lub odwracania świadomości tą lub inną jej stroną. Zgoła, potrzeba przywołać wiekopomną zasadę Leibnica.

Wiadomości nasze, mówi dalej autor, są wyukiem świadomego sobie doświadczenia: przyczém krótko skreśla walkę apyrystów i empiryków z różnemi ich odcieniami; z tém jednakże godłem na czele, że granicę wiedzy ludzkiej zakreslają zmysły.

Po zagajeniu psychologiczném, wstępujemy z autorem na grunt samego przedmiotu. Bain prowadzi logikę pod trzema stanowiskami: *a)* jako naukę abstrakcyjną i teoretyczną; *b)* jako praktyczną naukę dowodzenia; *c)* jako system metod, czyli sposobów pomocniczych w dochodzeniu prawdy. Za zasadę podziału logiki, bierze cztery główne działania, jakie zachodzą w odkrywaniu i sprawdzaniu naszych wiadomości; z tych jedna tyczy się faktów, trzy zaś pozostałe: uogólniania faktów.

Témi działaniami są: 1) obserwacya, włączając w to i doświadczenie; 2) definicya; 3) indukcyja; 4) dedukcyja.

Ponieważ obserwacya nie posiada pewnej ogólnej normy, któraby obowiązywała na wszystkich drogach gromadzenia faktów, przeto Bain orzeka niemożebność logiki obserwacyjnej, ale za to gorąco obstaje za prawami indukcyi, jako organicznej, owszem, podług niego najorganiczniejszej części logiki. Odmienność warunków, jakich wymaga obserwacya w oddzielnych gałęziach wiedzy ludzkiej, spowodowała niektórych myślicieli do wyłączenia i indukcyi z zakresu logiki, z powodu, jakoby jéj prawideł niepodobna było unormować w układ obowiązujący wszystkie umiejętności.

W obronie tedy indukcyi, Bain wykazuje owszem, że indukcyja np. w astronomii, jest działaniem takim samym, jak w chemii, fizyologii lub psychologii. Jeżeli są pewne odmienności w stawianiu problemów indukcyjnych, to te odmienności nie różnią nauk indukcyjnych.

Dla umocnienia podziału, a raczój dla dania czytelnikowi pewnych uprzednich wskazówek, autor nakreśla w ogólnych rzutach znaczenie pozostałych trzech działań poznawczych: definicyi, indukcyi i dedukcyi (§ 53, 54, 55).

Tym sposobem wytworzyły się u autora trzy wielkie działy (księgi), poświęcone trzem głównym operacyom poznawczym; następna księga zawiera *Logikę nauk*, a mianowicie: matematyki, fizyki, chemii, biologii, psychologii, nauk klasyfikacyjnych, polityki, praktyki i medycyny. Ostatnia księga (VI) zawiera traktat o sofizmatach.

Autor rozpoczyna traktat od dedukcyi, usprawiedliwiając się tém, że rozumowanie dedukcyjne jest prostsze, elementarniejsze. Pierwój jednak, zwyczajem przyjętym u myślicieli francuzkich, po części niemieckich, a głównie angielskich, oprowadza on czytelnika po owój dziedzinie, w której myśl staje się pomysłem: w dziedzinę wyrazów (terminów), pojęć i sądów, stanowiących prawdziwy skład obrobionych pierwiastków wiedzy ludzkiej. Jestto przedmiot księgi I. Całe dzieło Bain'a wogóle można przytém uważać za złożone z dwu części, z których pierwszą nazwalibyśmy Logiką dawną (wyrażenie autora *Myślini*); drugą zaś, nierównie obszerniejszą: wykładem indukcyi i metodologii nauk. W końcu I-ój i II-iej części Bain umieszcza ważne dodatki, jakoto: o klasyfikacyi podług Bakona, d'Alembert'a, Augusta Comte'a, Spencera, o sofizmatach podług Arystotelesa i scholastyków, o analizie i syntezie.

Dla obeznania czytelnika z taktem i krojem téj znakomitej pracy, podamy jużto w streszczeniu, już w całych ciągach ważniejsze jój działy, odzywając się chwilami z ich oceną, a sporne punkta odsyłając do uwag oddzielnych.

O terminach, pojęciach i sądach.

Podnosząc kwestyę terminów (wyrazów), Bain niezapuszcza się poza granicę logicznych interesów, nie zapytuje on siebie, czy téż mowa nie jest czemś więcej jak owym cycerońskim węzłem społeczeństwa, *vinculum societatis*? czy nie jest ona naturalnym skutkiem rwanja się ducha na zewnątrz, organicznym ruchem myśli, zarówno zastrzeżonym przez prawo powszechne, i zarówno nicodwoalnym, jak wszelkie inne zjawiska? Interes czysto społeczny zaspakaja go w tym względzie. Lecz i z tego punktu, przyznać to trzeba, naucza on nas, o ile to myślenie głośnie (mowne) przyspiesza, skraca i udojrzała wyroby myślenia wewnętrznego. Rozpoczęcie wykładu logiki od zastanowienia się nad wyrazami, usprawiedliwia on głównie trzema pobudkami: 1. tém, że ostatnim elementem logiki, logiczną formą wszelkiej wiedzy jest sąd, a sąd składa się z wyrazów; 2. tém, że w niewłaściwym użyciu wyrazów leży źródło mnóstwa błędów i zasadzek; 3. że roztrząsanie języków istniejących, jest najłatwiejszym środkiem obeznania się z rzeczami składającymi wszechświat rzeczy a zatem, zamierzając podać całkowity wykład logiki, t. j. pewien kodeks dowodzenia i metod zastosowanych do wszelkich rodzajów wiedzy, należy zrobić przegląd i zebrać w osobne klasy ogół rzeczy istniejących.

Imię czyli wyraz, mówi autor, możnaby nazwać znakiem przyczepionym do rzeczy, w tym celu, aby o niej mówić można. Z tego powodu Bain potrąca o opinie Lock'a i Milla i wspólnie z Millem oświadcza się za tém zdaniem, że wyrazy są nazwami nie pojęć o rze-

czach, lecz nazwami samych rzeczy. Punkt ten jednakże zdaje się nam zapośpiesznie załatwionym, a więc niezłatwionym ¹⁾.

W rozkasyfikowaniu wyrazów na grupy pojęciowe, Bain zalicza do rzędu właściwie logicznych czynników: tylko słowo, imię i przymiotnik. Słusznie przeto prostuje go nasz tłumacz (str. 55 odsyłacz), gdy mówi „to twierdzenie autora nie jest całkiem słuszne, gdyż przyimki np. i spójniki, łączące bądź pojęcia, bądź zdanie, noszą też charakter logiczny.” Owszem dodalibyśmy, że inne części mowy są zabytkami najdawniejszych formacji logicznych, które poprzedziły dobę rozdwojenia się sądu pierwotnego na podmiot i orzeczenie.

W klasyfikacji wyrazów ze względu na ich ogólność zauważmy zrećźnie pomyślaną przez autora charakterystykę wyrazów ogólnych a mianowicie: że w nich kryje się i znaczenie (denotacya) i spółośznaczenie (konnotacya). Wyraz *gwiazda* oznacza jakąkolwiek gwiazdę na firmamencie, a spółośznacza podobieństwo cechujące wszystkie gwiazdy. Stosunek ten, a raczej przeciwieństwo (znaczenia i spółośznaczenia) jest to samo, co ilość zakresu i ilość treści u Hamiltona. Denotacyą wyrazu *człowiek* będzie ogół wszystkich ludzi; konnotacyą zaś jego będzie cała objętość treści, znamion, jakoto: życia, organów, zdolności i t. d. Dlatego też denotacya i konnotacya stoją do siebie w stosunku odwrotnym tak samo właśnie, jak treść i zakres (pomiedzy którymi, jak wiadomo, Herbart upatruje stosunek ścisłości aż matematycznój).

Ostatecznym rezultatem uogólnienia jest wyraz abstrakcyjny (ruch, ciężkość i t. p.). Z powodu wyrazów abstrakcyjnych, które tak się dziś rozwieliły w porządku myślenia i rozumowania, a jednak opierają się jedynie na niejakiémś umyślném złudzeniu, autor daje gorącą przestrożę, przeciwko ich nadużywaniu. Niejednokrotnie tę przestrożę, bardzo ważną podług nas, ponawia nasz tłumacz, przypomina też uczącym się filozofii te wyrazy Bailey'a: gdyby oni chcieli zawsze, lub przynajmniej wtedy, gdy rzecz na to zasługuje, trzymać się prawidła powyższego i zmieniać sądy abstrakcyjne na konkretne, łatwoby zrozumieli źródło zawiłań i ciemności w metafizyce. Przekonaliby się wówczas, co są, warte owe niepoliczone *nie* uchodzące za filozofią.”

¹⁾ *Niepodobna* tu nam rozszerzać się w ocenie teorii tak idealistycznego jak i realistycznego pojmowania języka. Poważamy się jedynie (dogmatycznie na ten raz) przedstawić uwadze czytelnika niejakiś wyraz naszego poglądu na kwestyą. Otóż zdaje się nam, że pomiędzy Bain'em, Millem i t. p. a nominalistami (idealistami) środkowe stanowisko zająćby należało i powiedzieć że wyrazy nie są ani oznaczeniem rzeczy (realizm), ani oznaczeniem pojęć naszych o rzeczach (nominalizm); wbrew zdaniu jednych i drugich, wypowiedają one przeświadczenie nasze o logicznój tożsamości pojęcia z przedmiotem oznaczonym przez wyraz.

Co do nas, łagodząc nieco krańcowy sąd Bailey'a, zawsze jednak utrzymujemy, że głównym powodem zawziętości metafizyków pewnej szkoły jest właśnie to, że prawie rozmyslnie unikają pojęć konkretnych, że nie tylko skąpymi są w udzielaniu faktów wyjaśniających, ale co gorsza, w wyjaśnieniach samych, jeżeli ich raczą udzielić, używają i przykładów abstrakcyjnych. Jużto wielkie z ich strony ustępstwo, jeżeli się zdecydują na komentarzyk algebraiczny, np. „wszystkie A są B , niektóre B są C , a zatem (!)...”

Otóż najzwyczajszym owocem takiej manipulacji jest to, że uczeń filozofii, po kilkakrotnym przepatrzeniu całej tkaniny, jakby przy światłku lichego łuczywa, wychodzi zgnębany, zniechęcony, unosząc w trofeu także samo X , z jakim przystępował do pracy. Już przed kilkudziesięciu laty, Kraszewski obznajmiając czytelników naszych z systematem Hegla upatrzył tę słabą stronę w nauce wielkiego mędrca, że zbudowawszy pewną oderwaną formułę i operując nią następnie, w końcu przyswaja sobie i słuchacza do uważania jej za coś rzeczowo istnego.

Następnie Bain zwraca się do drugiej gromady wyrazów, ze względu na ich paralelizm np. (światło-ciemność). Przyczem zaznaczymy tu następującą myśl autora: „Taki paralelizm przenika wszystkie rzeczy, a ztąd okazuje się konieczność nazywania wszystkich rzeczy podwójnie. Języki zatem składaćby się powinny nie z wyrazów szczegółowych, ale niejako z *par wyrazów*. I wistocie pary takie spotykamy bardzo często w językach, chociaż nie jest to powszechne zjawisko (ciepły, zimny, życie, śmierć, pan, sługa).”

Jestto punkt niesłychanie ważny; nie rozwijając go jednak z obawy przekroczenia granic oceny, napomykamy tylko, że zasada paralelizmu, tak zrozumianego, nie zdaje się nam wystarczającą, jeśli już nie w całym obszarze filozofii, tedy przynajmniej w logice języka. Więcej zaspokoiłaby nas zasada ciągłości. I w takim razie wyrazy np. „światło i ciemność” byłyby nietyłe dwójką paralelizmu, jak raczej dwoma skrajnymi punktami pewnego szeregu pojęć. Sam autor upoważnia nas do takiej zasady, skoro mówi: „przeczenie oznacza *resztę* pojęcia ogólnego.”

Daliej następują klasy i pojęcia, nad czem zatrzymywać się niema potrzeby; klasa odnosi się do rzeczy konkretnych (np. przedmioty okrągłe), pojęcie zaś do rzeczy uważanych abstrakcyjnie.

Następnie autor mówi o pojęciach „w formie sądu” gdzie kładzie nacisk na istotową różnicę sądu jedynie słownego od sądu rzeczywistego. „Homer napisał *Iliadę*, jestto sąd czysto słowny, gdyż o Homerze nic więcej nie wiemy prócz tego, że jest autorem *Iliady*. Przeciwnie, owo zdanie Spencera, że „instynkt jestto odziedziczone doświadczenie” będzie sądem rzeczywistym, albowiem w orzeczeniu jego mieści się fakt nowy, niezawarty wcale w podmiocie.” Jestto, jak widzimy, wznowiona rozprawa o sądach analitycznych i syntetycznych, dotąd nie orzekniona, (chociaż zdaje nam się, że wszystkie sądy są jedynie analitycznymi). Za-

sługą Bain'a jest, że tu, jak i we wszystkich działach, podaje masę faktów i wybitnie rzecz wyjaśniających i pouczających czytelnika, ponieważ zaczerpnięte są z nauk przyrodzonych: z fizyki, chemii, biologii, zgoła z całego obszaru nauk.

Ostateczną różnicę sądów słownych od rzeczywiście stanowi wprowadzenie do nich którejkolwiek z tak zwanych *głównych orzeczeń*: rodzaj, gatunek, różnica, właściwość, przypadkowość; im też autor poświęca końcowe uwagi o pojęciach.

Następuje dział specjalny o sądach. Bain stawia i sąd pod (obowiązujące i pojęcia) prawo paralelizmu: „we wszelkiem twierdzeniu, zdaniem autora, dopatrywać należy innego współrzednego sądu, tylko w formie przeczącej: „Europa leży na północ od równika” (Europa nie leży na południe od równika). „Ta druga połowa ma być niby ową resztą, co pozostała po oderwaniu jej od całości, jak to było i w pojęciach. I tu jednak zasada ciągłości zdałaby się nam stosowniejszą, aniżeli paralelizmu. Dalej podaje nam autor zewnętrzną formę sądów: ilość, jakość, sądy proste, złożone i t. d.

Z powodu kategorii *ilości* w sądach, zwracamy uwagę czytelnika na ważny dodatek Hamiltona (tu u autora podany, str. 101 i następ.). Powszechnie w nauce o sądach (co szczególnie przydaje się w teorii sylogizmu), kategorią ilości sądów stosowano tylko do podmiotu (wszystkie kwiaty, niektóre kwiaty są...); orzeczenia zaś uważano zupełnie niezależnie od ilości, to jest albo widziano w niem jakąś sferę ogólną, albo co najmniej bez uwzględnienia jej ilości. Kwestya ta, w sposób najprzystępniejszy takby się dała ustawić: np. czy w tym sądzie: „fiolki są kwiatami” należy upatrywać ilość i w predykanie? Hamilton daje na to odpowiedź twierdzącą; wprowadza tedy do logiki nowe prawo, które przez skrócenie nazwijmy: ukrótnieniem predykatu (orzeczenia). „Wszyscy ludzie są ułomni,” w tym sądzie predykat może oznaczać wszystkie, lub też pewien tylko dział istot ułomnych. Tak właśnie przedstawia się kwestya ukrótnienia predykatu. Bain uznaje ją także i przeprowadza w ten sposób na przykładach zaczerpanych z dziedziny fizycznej.

„Bardzo nieliczne (mówi Bain) są przypadki, w których własności wyłączne, jedyne, dają początek sądom mającym i podmiot i orzeczenie jednakowego zakresu (ilości). „Rtęć jest metalem płynnym.” Metal płynny i rtęć mają zakres równy, bo oprócz rtęci nie masz metalu płynnego.

W sądach najogólniejszych, w których się kojarzą oddzielne własności stale sobie towarzyszące, rzadko zdarza się spotkać sąd, gdzieby podmiot i orzeczenie jednakowy miały zakres (ilość). Obecnie mamy tylko jeden przykład dość charakterystyczny: „wszelkie ciało cięży.” Co znaczy, że istota, własność materji—bezwładność, zawsze jest związana z przyciąganiem. Są to dwie własności różne, ale spótrozciągłe.”

Słowem, kwestya krótkości orzeczenia, mało dotąd zwracająca na siebie uwagi myślicieli, istnieje. Istnienie jej, oprócz faktów podanych

przez Hamiltona i naszego autora, moglibyśmy jeszcze stwierdzić dowodami z lingwistyki a nawet i z samej nauki myślenia. I tak język polski rozwinął, jak wiadomo, deklinacją *podzielności* tylko cząstkowo (daj mi wody, chleba i t. p.), ale nie wykończył jej tak, aby wejść mogła systematycznie w organiczny skład zdania, a więc aby mogła dać predykat cząstkowy, to jest ograniczyć i uszczegółowić zakres orzeczenia. Jednakże język nasz umie sobie radzić w tym względzie, i drogą uboczną dokonywa ukrótnienia predykatu. I tak mówimy: „pieśni ludu są *pewnego rodzaju* dziedzictwem po dawnych wiekach.” W zdaniu francuzkiem predykat miałby tu formę podzielną (partitif).

Ale czysto logiczny dowód podzielności orzeczenia zaczerpnąć możemy z teorii wnioskowania bezpośredniego, zwanego odwróceniem (*conversio*) sądu. Jak wiadomo, nie każdy sąd daje się odwrócić wprost; przeciwnie potrzeba tu niekiedy w nowym podmiocie, utworzonym z dawnego orzeczenia, ograniczyć ilość, np. „wszystkie drogie kamienie są minerałami,” po odwróceniu zaś powiemy: „*niektóre* minerały są drogiemi kamieniami.” Dlaczegoż ten sąd nie dał się odwrócić wprost? albo w nim dwa składowe pierwiastki nie równoważyły się z sobą, a w takim razie nie był to sąd prawidłowy—a wtenczas, w cóżby się obróciło owo prawo najpierwszego prawodawcy myślenia, że w sądzie, orzekającym o prawdzie lub fałszu musi być postawiona synteza dwu pojęć, jako stanowiących jedni^ę (Arystot. *Analitica*, t. III, str. 6)—albo też był to sąd w istocie samej *skrótowcy*, który, po przywróceniu go do postaci prawidłowej, tak brzmiećby powinien: „wszystkie drogie kamienie są to minerały” (ale jedynie te minerały, które...)

Następnie autor mówi o opozycyi sądów, ich modalizmie, o treści czyli znaczeniu sądów. Ten ostatni punkt zasługuje, abyśmy na nim zatrzymali się chwilę. Na czém polega treść sądu? jaka jest jego rola wśród powszechnego procesu myślenia i dowodzenia? W odpowiedzi na te pytania Bain nie chce uważać sądu ani za utożsamienie dwu pojęć, jak chciał Hobbes, ani za podciągnięcie pojedynczego podmiotu pod klasę, albo klasy pod klasę jeszcze ogólniejszą. Zasadę taką uważa on za niedość ścisłą. Otóż, aby rozwiązać powyższe zapytanie, odkrywa on pewne grupy stosunków, pod jakimi nastąpić mogą najwyższe uogólnienia w sądach: ilość, współ-bytność i kolejność czyli następstwo w czasie. I to właśnie spowodowało autora do wyjścia na szerszy gościniec dla odszukania ogólnych pojęć, jakie należy mieć w pogotowiu, kiedy przyjdzie ustanawiać sądy najogólniejsze.

Wycieczka ta, nadzwyczaj ważna, stanowi jeden z dodatków, w końcu wykładu umieszczonych, który autor nazwał nieco lapidarnie: „wylizaniem rzeczy.”

Tu dopiero na większą skalę, w sposób metafizyczny, przychodzi w pomoc zasada powszechnego paralelizmu, pierwój skreślona po prostu, jakoby od ręki. Przypomina tu autor czytelnikowi, co ta zasada głosi, a mianowicie: że „wszystkie przedmioty, wchodzące w zakres poznania, mają jakby dwie strony i występują parami. Wszystko wchodzi w za-

kres paralelizmu, on zaś nie może być pod nie podciągniony, podporządkowany. Logicy, naznaczając najwyższy szczebel „prawu sprzeczności,” uznają niejako ten fakt naczelny, pierwotny (t. j. paralelizmu).”

Najgłębszym ze wszystkich stosunków, mówi autor (str. 285) jest stosunek przedmiotu i podmiotu, albo innymi słowy; umysłu i materji, świata zewnętrznego i wewnętrznego. Osadzając ten paralelizm na podstawie psychologicznej, autor przeprowadza go w duchu przypominającym Dekarta. Gdyby te dwie linie nie szły równolegle, nastąpiłoby ich przecięcie, i wówczas mielibyśmy najwidoczniejszy spinozizm. Lecz Bain zabezpieczył się stanowczo pod tym względem. „Gdy po doznaniem wrażeniu przyjemnem (t. I, str. 286), lub przykrém budzi się w nas świadomość rzeczy rozciągtj, jak np. drzewo, doświadczamy wówczas wrażenia różnicy; przeskoczyliśmy w istocie przepaść najgłębszą i najszerszą, jaką umysł kiedykolwiek przekroczyć może. Te dwa fakta są typami dwu ostatecznych, zasadniczych stanów świadomości ludzkiej; są one ze sobą współrzednymi, pociągają się wzajemnie, *nie mogą być zredukowanemi*, stopić się ze sobą w jakimś doświadczeniu, w jakimś bardziej jeszcze zasadniczym fakcie... Są to: *summa genera.*”

Nie mogąc zatrzymywać się dłużej na tój świetnej wycieczce, nadmienimy tylko, że Bain w dalszym ciągu podaje własności (atrybuta) przedmiotu i podmiotu, własności wspólne obydwom, oraz wyłącznie tylko podmiotowi i przedmiotowi; trwanie i kolejne następstwo (z liczby), podług niego, służą zarówno zjawiskom przedmiotowym, jak i podmiotowym.

Element *czasu*, który skupia w sobie kolejność i trwanie, uogólnione do najwyższego stopnia i zredukowane do wspólnej miary, stanowi własność wspólną obu światom, co zauważano już od zarania filozofii.

Dalej spotykamy tu treściwy ustęp o substancji, oraz tablicę i ocenę kategorii Arystotelesa.

Oto są źródła, z których, podług Bain'a, sąd czerpie treść swoje na orzeczenia.

Następnie mamy rzecz o wnioskowaniu bezpośredniem, czyli pozornem, o stopniowaniu w denotacji, czyli oznaczaniu, o stopniowaniu w konnotacji (spół-oznaczaniu), o przeciwstawieniu sądów i ich odwróceniu i t. d. Wreszcie, wyborny zbiór przykładów sądu, zaczerpanych z najrozmaitszych dziedzin naukowych zamyka teorią sądów, nad którą zdawało się nam stosownem dłużej się zatrzymać.

Znakomicie obszerna, bo trzecia część tomu pierwszego poświęcona jest *Dedukcyi*, a mianowicie: syllogizmowi, z jego aksjomatami i zbiorem przykładów (których, powtarzamy, nigdy zanadto być nie może w syllogistyce). Hełby zyskała na *pedagogicznej* wartości np. logika Ueberwega, gdyby nie dziwaczne skąpstwo w przykładach, albo ograniczanie się na trójkątach, ostrosłupach i t. p. Tak figury syllogizmu, jak ich tryby, autor wyłożył z mrówczą pracowitością, (tłómacz przytém dodaje jeszcze wzory syllogizmów z Kremera). W rozdziale

drugim autor dotyka „nowszych poprawek w sylogizmie, a mianowicie Hamiltona, De Norgun'a i Boole'a.”

Zauważmy, że autor tak hojny co do Boole'a, wielbiela *metody królewskiej*, zamało rozpiął się o dodatkach Hamiltona, chociaż te dotyczą głębszych podstaw sylogizmu, gdy tymczasem poprawki Boole'a więcej zajęte są subtelnościami trybów. Przypominamy czytelnikom, że Stuart Mill napisał cały, ogromny tom rozbioru filozofii Hamiltona, w którym przyznaje, że filozofia ta zaszczyca się w Anglii wielkim rozgłosem, ale, jak nam się zdaje, rozgłosem, który nie sprawiał Millowi wielkiej radości. Otóż pomiędzy częściami swojego studium, Mill poświęca cały rozdział „mniemanym postępowi logiki formalnej, przez Hamiltona dokonany”¹⁾. W rzędzie filozoficznych odkryć Hamiltona, mówi Mill (rozdział XXII) niema żadnego, wyjąwszy jego „teorię warunkowości” któreby narobiły więcej krzyku, jak poczytywane mu za odkrycia, dodatki i poprawki w sylogizmie. Wszystkie one sprowadzić się dadzą do dwu zasadniczych teorii z wnioskami i zastosowaniem, to jest do uznania dwóch rodzajów sylogizmu, treściwego i zakresowego, i do nauki o ukrótnieniu orzeczenia (*quantification*).” Przed ocenieniem doniosłości *mniemanego* odkrycia w sylogizmie, Mill, naturalnie, uprzednio zbija zasadę Hamiltona, dotyczącą ukrótnienia predykatu. Ale podług naszego mniemania, Mill bynajmniej niezachwiał tój zasady, jak czytelnik sobie przypomni z powyższego ustępu o sądach. Zwracamy się więc do sylogizmu. Hamilton podaje sylogizm np. taki:

Wszyscy ludzie są śmiertelni.

Paweł jest człowiekiem.

Paweł jest śmiertelny.

Ten sylogizm uważa za zakresowy, co znaczy, że: pojęcie *Paweł*, jako tkwiące w zakresie pojęcia *człowiek*, tkwi tém samém w jeszcze ogólniejszym co do zakresu pojęcia *śmiertelny*. Otóż sądzi on, że tenże sylogizm powinienby być pojmowanym i ze względu na treść; a więc w tymże sylogizmie (zmienionym tylko co do porządku przesyłek):

Paweł jest człowiekiem;

Wszyscy ludzie są śmiertelni,

Więc Paweł jest śmiertelny.

W tym sylogizmie, podług Hamiltona, odbywa się już nie podciąganie podmiotu szczególnego pod ogólniejszy i najogólniejszy, lecz podciąganie jego treści (znamion, przymiotów). Lecz ani Stuart Mill, ani Bain (podług nas niesłusznie), tój drugiej strony uznać nie chcą, (owszem podług Milla, jestto subtelność szkodliwa). Po ogólnym wywodzie Mill powiada w końcu: „użyteczność nowych form (Hamiltona), nie jest bynajmniej tego rodzaju, aby odpłacić mogła wielki zamęt, jaki wprowadza za sobą do teorii sylogistycznej. Celem form sylogistycznych jest to, aby służyły za probierczy kamień operacji, wyprowadzającej w języku zwykłym wnioski z przesyłek, postawionych w języku zwykłym.

¹⁾ Podług Milla *mniemanemi* tylko, ale podług nas: *rzeczywistemi* są odkrycia Hamiltona.

Nowe zaś formy bynajmniej tej operacji nie ułatwiają; owszem odwracają umysł od prawdziwego znaczenia sądów." A więc, odpowiadamy na to: Mill pragnie, aby do nieskończonej przyszłości przetrwało to, co powiedział Kant; że „Logika od czasów Arystotelesa nie odważyła się zrobić kroku wstecz, ale też dotąd nie mogła uczynić i kroku naprzód, a przeto podług wszystkich pozorów zdaje się być nauką zamkniętą i skończoną.”

Podnosimy więc zdanie Hamiltona, że „ilość zakresu jest wyrobkiem abstrakcyi, mającym początek w ilości treści, którą doświadczenie i natura rzeczy same bezpośrednio nasuwają umysłowi. Treść jest dla nas rzeczą główną... Jestto monarcha istotny, stojący za tronem nawet wówczas, gdy zakres stroi się we wszystkie zewnętrzne ozdoby królewskości.”

W ostatnich rozdziałach dedukcyi autor mówi o zadaniu i wartości sylogizmu, o rozumowaniu łańcuchowem, umiejętnościach dedukcyjnych, dowodzeniu i aksjomatach.

Księgę III Bain poświęca indukcyi, stanowiącej, jak powiada, najszerszy dział badań naukowych, wskazuje jej znaczenie i cel, zasady, a następnie przeprowadza jej działalność pod ustanowionemi poprzednio kategorjami spółbytności, przyczynowości i równości (przyczem dłużej zatrzymuje się na tej ostatniej, odkrywając tkwiące w niej zasady eliminacyi). Następują metody doświadczenia, ich chybienia, zasady tłumaczenia natury, hipotezy, analogia, oraz pomocniczy wpływ dedukcyi przy badaniach indukcyjnych.

Ponieważ indukcya jest drogą prowadzącą do tworzenia sądów ogólnych za pomocą obserwacyi albo faktu, przeto mamy w niej trzy rzeczy istotowe: 1) rezultatem jej powinien być sąd orzekający zgodność lub niezgodność, co właśnie jest odwrotnością wobec pojęcia; 2) sąd powinien być ogólnym, czyli dającym się zastosować do wszystkich przypadków pewnego rodzaju; 3) metoda indukcyi powinna być odwoływaniem się do obserwacyi albo faktu.

Zbyteczne powodowanie się widokami ogólności, sprawia, że zamiast sądu rzeczywistego, uzyskujemy w rezultacie sąd jedynie słowny, a zamiast indukcyi, tylko określenie. Zadaniem jej jest nietylko nawlekanie znannej przeszłości na jedną nitkę, ale ogarnięcie faktów domyślnych w danem i przewidywanych. Indukcya, będąca jedynie podsumowaniem dostrzeżonych faktów szczegółowych, jest indukcyą niewłaściwą, a więc jedynie: tak zwaną indukcyą.

„Gdyśmy, mówi Bain (t. II, str. 3), przekonali się, że każdą planetę oświeca słońce i mówimy następnie, że wszystkie planety od słońca odbierają światło—tworzymy sąd ogólny, to prawda, ale ten we właściwem znaczeniu indukcyą nie jest. Był on indukcyą w epoce, kiedy znano sześć tylko planet, bo wówczas był on krokiem śmiałym.”

Niekiedy sąd wyprowadzony drogą dedukcyjną ma wielkie pozory indukcyi, a jednakże nią nie jest. Dowodzenie np. Euklidesa o równości kątów przy podstawie trójkąta równoramiennego, jako oparte na figurze, wcale wygląda na indukcyą, a przecież ma tylko jej pozory. Również niewłaściwie jest stosować wyraz: indukcya tam, gdzie idzie

o wykrycie tożsamości, mającej uzasadnić przesyłkę mniejsza. Autor, swoim chwalebny zwyczajem, unaocznia to na przykładzie naukowym, na tym wniosku Kepplera, że wszystkie położenia Marsa mieszczą się w elipsie pewnych wymiarów. „Jeżeli Keppler odkrył tu jedynie tożsamość między szeregiem dostrzeżonych położeń Massa, droga eliptyczną, w której ognisku znajduje się słońce, a więc odkrył przesyłkę mniejszą, do znaney już poprzednio przesyłki większej (t. j. do twierdzeń o elipsie), nie było to indukcyą.”

Duch metody indukcyjnej, podług autora, streszcza się tak: „to czemu nigdy nie zaprzeczono po dostatecznych badaniach, powinno być uznane za prawdę.”

Zatrzymajmy się tu na chwilę i zapytajmy, co tu leży na dnie całego systematu? Ponieważ Bain uznaje, że wszelką dedukcyą wogóle, na całej linii badań ludzkich, poprzedzić musiała indukcyja, (czyli *wywodzenie*, jak mówi Śniadecki), oczywisty wniosek, że praw absolutnie ogólnych, praw, któreby obowiązywały z całą wszechstronnością, *a priori* my, w zakresie naszej ludzkiej świadomości pomyśleć, przypuścić nie możemy. Cały tedy nasz arserał pojęć, wniosków, nawet pewników, jest jedynym zbiorem prawodawstwa *zwyczajowego*, o mniejszym lub większym zapasie dowodów faktycznych, jednorazowych, prawodawstwa, na łasce i niełasce, co chwila narażonego na zachwianie! Cóżto bowiem jest indukcyja, uważana w najwyższem swoim upostaciowaniu filozoficznem? jestto postawienie *wielości* w roli i powadze *wszystkości*.

Lecz Bain takiego położenia rzeczy nie uważa bynajmniej za przepaść. To, cośmy przed chwilą nazwali (od siebie) *zwyczajowością*, Bain i w ogóle cała ta uczelnia, uważa sobie jakoby za rękojmią, jeśli niedorównywającą pewności absolutnej, to przynajmniej mogącą ją zastąpić w granicach naszej umysłowości.

Gdzież jest więc owa (podług nas dopiero względna) rękojmia, upoważniająca do wstawienia nowego faktu w ramy, zajęte już przez pewien szereg faktów uprzednich? Bain odpowiada: rękojmią tą jest *jednostajność przyrody*. Zasada ta, mówi Bain, rozmaicie w mowie bywa wyrażaną; i tak mówimy: „przyroda się powtarza; przeszłość podobną jest do przeszłości; nicobecne, podobnem do obecnego; wszechświatem rządzą prawa.” W całym jednym i wielkim dziale nazywamy tę zasadę przyczynowością lub prawem przyczyny i skutku.

Ale bieg świata pokazuje nam nie jedyną jednostajność. W czasach pierwotnych umysł ludzki głęboko był przekonany o *mniemaney jednostajności* przyrody; dzisiaj zaś wiemy, że istnieje wiele szeregów zjawisk, z których każdy ma osobne i właściwe sobie zasady, czyli prawa.

Wyrażenie: „prawo przyrody” jest, zdaniem autora, równoznaczne z temi dwoma zdaniem: 1) że przyroda jest jednostajna; 2) że ta jednostajność ogarnia wielkie mnóstwo osobnych jednostajności.

„Wyraz „prawo” jest tu metaforą pożyczoną z organizacji społeczeństwa ludzkiego, gdzie zachodzi stosunek władzy i podwładnych. Definicja prawa w ścisłym znaczeniu nie daje się stosować do kolejno na-

stępujących po sobie zjawisk natury fizycznej. Prawa obowiązują zawsze i wszędzie wszystkich obywateli, noszą charakter *jednostajności*."

Ze względu na metodę logiczną (mówi Bain), można powszechną jednostajność przyrody rozdzielić na trzy gałęzie, wskazane już przy klasyfikacji sądów: 1) spółbytność (połączenie własności w tym samym przedmiocie); 2) przyczynowość; 3) równość. Pod kategorią spółbytności pomieszczono tu porządek w przestrzeni i własności, tkwiące w tym samym przedmiocie; porządek w przestrzeni wyrazić się daje za pomocą praw ilościowych. Pod kategorią następstwa pomieszczono porządek w czasie i przyczynowość; porządek w czasie jest stosunkiem czysto liczbowym. Trzecia kategoria równości i nierówności, jest podstawą matematyki, t. j. nauki o ilości i liczbie.

Tym sposobem mamy u autora trzy osobne działy badań naukowych, w których czynną jest indukcja. Bacząc jednak na wyniki indukcji, widzimy, że indukcja zajęta jest wyłącznie drugim działem, t. j. przyczynowością. Cały zawity mechanizm badania indukcyjnego, nazwany logiką (lub metodą) indukcyjną, ogranicza się do przyczynowości. Najdzielniejsze sposoby, mające na celu eliminacją okoliczności przypadkowych i ujęcie istotnych, towarzyszących faktom, t. j. „metody doświadczalne,” dają się w całości stosować jedynie przy poszukiwaniu praw wiążących przyczynę ze skutkiem.

W rozdziale: „Indukcja spółbytności,” zwracamy uwagę czytelnika na tę myśl Bain'a, „wiele praw wyrażających współbytność, można odnieść do przyczynowości. Należy zbadać, czyli są takie, których tam odnieść nie można.” Myśl ta mocno przypomina naukę Szopenhauera o „pierwiastkach prawa przyczynowości,” a mianowicie dział jego o przyczynie bytowej (*causa essendi*).

Następnie autor przechodzi do prawa przyczynowości, któremu, jako najważniejszemu, obszerny poświęca ustęp. Cała kwestya przyczynowości prowadzoną tu jest w porządku, znamionującym ducha szkoły w stopniu jeszcze wydatniejszym, aniżeli wszystkie inne części tego dzieła. Bain przyjmuje, a raczj zastrzega sobie z góry przyczynowość, jako fakt—metafizyczne, ba nawet psychologiczne uzasadwienie tego faktu nie jest jego zadaniem. Ale zato w granicach pojęcia przyczyny, jako faktu, czytelnik z wielkiem ożywieniem dział ten czytać będzie, nietylko bowiem *wrozumie się* on w teorią autora, ale przytęm i nauczy się wielu rzeczy. Prawo przyczynowości Bain tak wyraża: „w każdej zmianie zachodzi jednostajny związek między zjawiskami poprzedzającymi a następującymi.” Zresztą w określeniu pojęcia przyczynowości, próbuje on rozmaitych redakcyi, z których najpierwsza tytułowa, zdaje nam się niepewną; brzmi ona tak: „prawa kolejnego następstwa, przejawiające się w przyrodzie, podlegają jednemu wielkiemu prawu przyczynowości.”

Pominąwszy praktyczny punkt zapatrywania się na przyczynowość, oraz punkt widzenia naukowy, autor przenosi ją następnie pod punkt widzenia nowoodkryty w dziedzinie filozofii natury: prawo *zacho-*

wania siły. I tu następuje szereg ciekawych szczegółów specjalnie naukowych, które autor zwykł kończyć jakimś zastosowaniem i wskazówką metodyczną lub wykryciem błędu (tak np. że otoczenie, t. j. okoliczności towarzyszące zjawisku, a więc stanowiąc mogące część jego przyczyny, brane bywa niekiedy błędnie—za samą przyczynę).

Z kolei mówi o wyłączeniu indukcyjnym, mającym na celu to, aby odkrytą być mogła przyczyna i skutek w danym zjawisku, w wywołaniu czynników towarzyszących wprawdzie zjawisku, ale niepowodujących go. I tu znowu mamy poczet ważnych wskazówek metodycznych, jakimi przy wyłączeniu (eliminacji) kierować się należy; wszystko zaś to wyjaśnionem jest i ożywionem faktami z przerożnych dziedzin naukowych. Jedynym zarzutem, jaki zrobićbyśmy mogli temu działowi, jest ten, że Bain wprost przechodząc od przyczynowości do siły, niczem tego przejścia nie upośrednił. A przecież trudno się zgodzić na utożsamienie tych dwu pojęć: przyczyna i siła.

W dziale o metodach autor podaje poważne i zajmujące przykłady metod doświadczalnych. Wadliwości metod wogóle sprowadza do dwu głównych, a temi są mianowicie: nieumiejętność znalezienia się co do kwestyi, czy w danym skutku tkwi jedna lub więcej przyczyn i odwrotnie. Następnie wskazuje zapobiegające środki metodyczne.

Przed zamknięciem ogólnego traktatu o metodzie, autor rozwódzi się nad definicyą, w którejto części szczególnie zwracamy uwagę czytelnika na dział o wyrazach ogólnych (t. II, str. 198—212). Pod definicyą matematyczną (t. II, str. 234—235) spotykamy pewne, niezupełnie spodziewane ustępstwo od karności szkoły: przyznanie pojęć pierwotnych określić się nie dających (*fundamental and indefinable notions...* termin polski *pierwotne* wydaje nam się tu nieco chwiejnym). W określeniu liczby autor słusznie odwołuje się do znaney genezy psychologicznej, przypominając w zastosowaniu naukę Kanta o czasie, a mianowicie, że „liczba czyli ilość krotna, jest szeregiem wrażeń umysłu przerywanych, rozłączonych przez niejake przestanki: wrażeń kolorów, dźwięków i t. p.”

Otóż w tych i tym podobnych szczegółach uznajemy niesłychaną ważność dzieła, albowiem czytelnik zyskuje mnóstwo faktów z całego obszaru wiedzy ludzkiej nagromadzonych. Ale obok téj zalety wytknąć mu musimy to, że niekiedy podrażnia ciekawość czytelnika zbyt ucinowym potrącaniem. Tu np. w kwestyi liczby należałoby przejść dalej poza stronę psychologiczną.

W księdze V autor pokazuje nam prawodawstwo logiczne z innéj strony: przedstawia on rozliczne sfery umysłu, wśród których najdzielniejsze znajdują zastosowanie wszelkie teorie logiczne; jestto *Logika nauk*, jeden z działów najobszerniejszych (t. II, str. 229—425) i podobno najpożyteczniejszych. Autor bowiem przebiega tu wszystkie poważne organa wiedzy ludzkiej, od matematyki aż do medycyny i polityki, obznajmiając czytelnika z wynikami najświeższymi wszelkich dzielnic (biologii, nauk przyrodzonych, ściśle filozoficznych i t. p.),

a w każdej z tych dzielnic dotrzymując planu ogólnego, t. j. podając naprzód pojęcia, następnie sądy, definicje, dedukcyjny lub indukcyjny przybór lub połączenie obydwu w prowadzeniu każdej umiejętności.

Niepodobna tu nam streszczać pojedynczych działów *Logiki nauk*, dla pokazania jednak tonu i taktu naszego pisarza, przytoczymy np. ustęp z logiki biologii, a mianowicie ustęp o organizmie (wobec ciał nieorganicznych). „Ciała żyjące mają budowę sobie właściwą i szczególniejszą; nazywamy ją pospolicie *organizmem*. Do pojęcia życia przywiązujemy zawsze pewien mechanizm, różny w różnych jednostkach i który w gatunkach zwierząt najwyższych dosięga takiej zawikości, jakiej się nie spotyka w żadnym innym dziale przyrody. Organa takie jak oko, mózg, mogą służyć za przykład najwyższej doskonałości pod względem mechanizmu i organizacji... Istotną cechą życia jest Indywidualność... Jako wynik indywidualności, jako cechę przywiązaną do budowy, podać możemy okoliczność tak ważną, iż byłoby nie do darowania, gdyby ją opuszczono w pełnej definicji życia, mianowicie: że i w istotach organicznych spotyka się wielką różnorodność form i budowy. Jednostajność czyli jednokształtność jest prawem powszechnem materii nieożywionej; różnorodność zaś jest charakterystycznym znamięm istot żyjących. Na tysiące liczymy rozmaite kształty roślin i zwierząt. Jest więcej niż sto tysięcy gatunków roślinnych, a więcej jeszcze zwierzęcych. Istotnym zadaniem biologii jest obmyślenie podziału tego ogromu form rozmaitych. I ta okoliczność, między innymi, czyni z biologii naukę szukającą pomocy w klasyfikacji” (t. II, str. 298—299).

Księgę VI autor poświęca sofistatom (str. 425—460). W końcu dzieła znajdujemy pomiędzy innymi dodatek przedstawiający rozwój *Logiki indukcyjnej* (Bacon, Newton, Herszel, Whewell).

Oto jest plan obszernego, dwutomowego dzieła, które nieodwołalnie do rąk każdego ucznia, zmierzającego ku pewnej dojrzałości dyalektycznej dostać się powinno.

Tłómacz w energicznej, treściwie obmyśloną przedmowie (t. I, str. XVIII) poświęca kilka rysów pracom Bain'a, przyznając najprędniejsze miejsce utworom jego, dotyczącym filozofii wogóle, a w szczególności: psychologii i logiki. Z kierunku swojego nie potakując apryoryzmowi, tłómacz i z naszej przeszłości zbiera skrętnie głosy przeciw filozofii spekulacyjnej odzywające się. Hołd dla wielkich imion: Kołłątaja, Śniadeckich, Dowgirda, Wiśniewskiego, nie kłamanie podzielamy z tłómaczem. Tylko zdanie jego o autorze *Zródła wiedzy tegoczesnej* (Dominiku Szulcu), arcy-zasłużonym historyku, gorącym przeciwniku wszelkich uzurpacji etnograficznych, wolelibyśmy widzieć nieco złagodzone. Podnosimy wprawdzie z dumą narodową zdanie Müllera o „celującym dziele Jędrzeja Śniadeckiego (*Teoria jestestw organicznych*); zdanie L. Feuerbacha o Koperniku; ale myśl trzech ostatnich wierszy *Zródła wiedzy* (str. 85) podług nas, inaczej nieco zredagowaną być bywała powinna przez męża dostojnej pamięci: Dominika Szulca.

Przekład polski *Logiki* Bain'a uważamy za wyborny, rozumiejąc przez to coś więcej, niż jakieś tam wykończenia *stylowe*. Tłómacz nie tylko zrozumiał i pojął mistrza, ale przytém, znając ducha mowy polskiej na jój wysokości filozoficznej, na tój ją wysokości *posunął* dalej. Polską Logikę Baina uważamy za godną ze wszech miar prawa obywatelstwa w pośród nas.

Feliks Jezierski.

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIĘJ NORWEGII *).

Z LUŻNYCH NOTATEK SPISAŁ

Stanisław Bełza.

IV.

W wagonie kolei żelaznej.— Droga do Eidswold.—Z czego pamiętne Eidswold?
—Na jeziorze.—Moje otoczenie.—Łąd i Lillahamer.

Codziennie rano wychodzi ze stolicy Norwegii pośpieszny pociąg do Eidswold, którym jechać każdy musi, kto chce Miösen oglądać. Puściłem się więc i ja tą drogą. Nie powiem jednak by przedstawiała ona jakikolwiek dla podróżnego interes. Broń Boże! Okolica, którą przecina, jest jednostajna i pospolita, a choć tu i owdzie widnieją zdalea góry, przecież nie nęcą one ku sobie.

Powiem tylko, iż cała ta linia długa jest na sześć mil norweskich a kończy się na mieście, które jój nazwę nadało.

Eidswold słynne jest w historyi norweskich z tego, że tu w roku 1814, stany państwa zawotowały oderwanie swój ojczyzny od Danii i połączenie jój ze Szwecyą. Tu to zebrali się przedstawiciele ludu i ogłosisi światu, że nie łącząca ich tak długo z kolebką Torwaldsena, stanowczo i na wieki rozzerwana została. Pomiedzy stacyami Dal i Eidswold oglądać nawet można budynek, upamiętniony zebraniem mężów, którzy tym aktem ze Szwecyą się połączyli. Oprawadza po nim stary włościanin, który sam był członkiem tego pamiętnego w dziejach Norwegii zebrania. Budynek jest drewniany i niczém ciekawém się nie odznacza, prócz chyba galerii portretów, które przecież tylko historyczną wartość mają.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

— Ale otóż i Eidswołd—woła donośnym głosem konduktor. Miasto gdzieś ukryło się za górą a przed nami stacya kolei. Wysiadamy więc. W dali błyszczą zwierciadło wód białych i nieruchomych: to Miösen, owo cudne Miösen, którym się szczyci każdy Norwegczyk, jak Kolonia katedrą swoją. Idziemy do przystani. Tu krzyk, zgiełk i zamieszanie. Do budki kasyera wszyscy się cisną, wołając o bilety, jak gdyby lękali się by ich statek na lądzie nie zostawił. Widok mam piękny i urozmaicony. Tam góry i stacya kolei, tu woda i fałszywe śpiewy majtków, a naokoło mnie masa zbita ludu, ruchoma jak fale morskie, hałaśliwa jak dzieci.

Nareszcie wszystko się uspokaja. Fale ludu rzednieją powoli, a raczej toną na pokładzie olbrzymiego statku, przed którym stoi kapitan i zaciera ręce z radości. Przybliżam się wtedy do niego i proszę o bilet: *til* (do) Lillahamer.

Chcąc bliżej i dokładniej poznać Norwegczyków, bynajmniej nie powodowany względami oszczędności, zamówiłem sobie miejsce na pokładzie. Wprawdzie lękałem się cokolwiek sąsiedztwa beczek ze śledziami, ale pocieszała mnie za to nadzieja, że będę miał dokoła siebie dzieci ludu, z całą ich różnitością i odrębnością; nie ujęte na szczęście jeszcze w te światowe foremki, które paryżanina z *towarzystwa*, niczém nieodróżniają od mieszkańca Sztokholmu, a Polaka upodobniają do Hiszpana lub Portugalczyka. Z tą nadzieją wszedłem na pomost, bo majtkowie niezadowoleni widocznie ze mnie, że jeszcze na lądzie zostaję, zaczęli mi pokazywać gestami, że już niedługo odpływamy. Jakóż zaledwie ulokowałem się na mojem nowém stanowisku i usiadł na antałku piwa (ławek na pokładzie, tak jak w naszej czwartej klasie kolei nie ma; biédni ci biédni!) zaczęto wrzeszczyć i gwizdać, biegać i łać—ruszyliśmy.

Zanim rozejrzę się dokoła siebie, z kim ja téż do Lillahamer jadę, pierwój zwrócić muszę uwagę na to, gdzie jadę i na czém jadę.

Jakto na czém? I mnie się zdawało, że zadawać sobie to pytanie było rzeczą zbyteczną, ale gdy jeden z moich towarzyszków po półgodziunój podróży odezwał się najczystszym niemieckim dyalektem:

— No, dzięki Bogu, jużemy na Miösen wpłynęli—uznałem za potrzebne roztworzyć mój Przewodnik po Norwegii i oto com w nim wyczytał:

-- Wy płynąwszy zpod Eidswołd, pierwsze pół mili jedzie się po szerokiej rzece Wormen, która przy stacyi Minne do jeziora Miösen wpada i t. d. i t. d.

Zaraz mi przyszło na myśl, że gdyby nie mój Niemiec, mimo dokładny przewodnik nie byłbym się o tém dowiedział; dalejże więc w pogawędkę z Niemcem.

Był to hamburczyk: pół żyda, pół niemca; kupiec i awanturnik. Handlował piwem i przez całą zimę w zadymionój knajpie jak szynka się wędził, ale gdy nadeszło lato, zostawiał knajpę żonie, a sam z mantelzakim, tysiącem talarów w kieszeni i *Wacht am Rein* na ustach—

w świat. Gdzie on nie był, czego nie widział! Pogawędziwszy z nim pół godziny, miałeś go jak na dłoni. Wywnętrzył ci się kim jest, kto go rodzi, ile ma majątku i dzieci, które kraje dotąd zwiedził i które jeszcze zwiedzić zamysła. Gdy się dowiedział że jestem Polakiem, powiedział mi prosto z mostu komplement, że Polaków nie lubi; ale gdy go przyparł do muru, za co ich nie lubi, przekonałem się, że ten poczciwiec nieledwie tak potrafi myśleć, jak moja para butów. Dałem mu więc pokój i odszedłem ku drugiej gromadźce, która wskazywała coś na prawo i urywanymi słowami zdradzała swój zachwył.

Spojrzałem. Na prawo i na lewo przesuwały się cudne panoramy. Byliśmy już na Miösen, które w tém miejscu nie bardzo szerokie, kręci się i wiję wdzięcznie. Dokoła wody rosły rozkosznie zielone pagórki i śmiały się do nas tak wdzięcznie, że oderwać się od nich oczów nie chcieli. Pagórki te ustępowały wciąż miejsca następnym, statek bowiem mknął jak strzała, ale wszystkie, które przychodziły nas pozdrowić wyglądały tak uroczy i wdzięcznie, że gdyby odemnie zależało, byłbym zatrzymał statek i podpłynął do nich bliżej, chcąc się przekonać, czy nie są one tym uroczym mirażem, co błądzącego po pustyni Araba, jak błędna mara wiecznie do siebie wabi.

Zewsząd słyszę:

A! Ach! a mój szynkarz klaszcze w dłonie i woła: *reitzend! schön!*

Istotnie jest to co widzimy piękne. W ogóle charakter krajobrazów, jakie Miösen daje, jest spokojny. Nie masz tu groźnej natury, jaka cię przeraża na jeziorach szwajcarskich, lub Morskiem oku w Tatrach; widoki tu mniej dzikie. Lekkie wzgórza, czasami tylko przechodzą w strome góry, częściej jednak rozplywają się w falistości gruntu, która niekiedy, jakby na żart w płaszczynę się zamienia. Tu i owdzie wyglądają zpoza tych gór nieśmiałe rybackie domki, tu i owdzie kępki czarnych drzew kąpią swoją postać w białém wód zwierciadle, jasnowłose dziewczęta rozciągają na słońcu płótna; pospolitości, jedném słowem tu więcej, ale ta pospolitość pokryta takim całym smutku, takimi melancholijnemi źrenicami Północy spogląda na ciebie, takim cię spokojem przyobleka, taką pogodę udziela, że nieodałbyś jej, ręczę, ani za słynną kaskadę Renu, ani za piekielne widoki Zawratu, ani za nic, co przemawia do ciebie grozą i potęgą a nie miłością i wdziękiem.

Tu, na Miösen wszystko drobne, wesołe i uroczy, tu nic cię nie przestrasza a wszystko pociąga, nic nieodpycha a wszystko wabi; a spokoj wewnątrzny, jaki ci te widoki dają, sprawia, że Igniesz ku nim całą duszą.

Ze wszystkich norweskich jezior, Miösen jest najdłuższe. Wzniesione 387 stóp nad powierzchnię morza, w najgłębszém miejscu wynosi 1442 stóp, a na przebycie jego potrzeba 8 godzin. Godziny te jednak mkną ci szybko i przyjemnie tak, iż u kresu podróży nie czujesz znużenia. Ponad samym brzegiem jeziora witają cię kilka razy piękne rybackie miłościny, jak Ekornholmen, Stigersan Gillund, Hamar, Bi-

rid, Frengstuen i inne. W środku jeziora leży śliczna wyspa Helgeo (Święta wyspa), wyglądająca jak rozkoszna oaza w piaszczystej pustyni. Obsiedli ją rybacy i ogrodnicy; wyspa bowiem oblana dokoła wodą, odznacza się wielką urodzajnością.

Przeciskam się przez tłum oblegający mnie, by się téj wysepce lepiej przyjrzyć.

Przybliża się do mnie Niemiec.

— Coto za nieznośni ci pasażerowie — mówi — przemawiasz do nich jak do ludzi, a oni ci nie odpowiadają i jeszcze się śmieją.

— Widocznie nie rozumieją pana — odrzekłem.

— Ach! dziś przecie cały świat po niemiecku mówi — i znowu zagwizdał *Wacht am Rein*.

Wzruszyłem ramionami i z politowaniem spojrziałem na tego pruskiego *kulturträger*a, mającego żal do tych poczciwych i spokojnych Norwegczyków, że jego knajpowych konceptów rozumieć nie raczą.

Bo istotnie ci Norwegczycy są rzeczywiście poczciwi i spokojni.

Podczas moich późniejszych wędrówek po Norwegii, miałem sposobność bliżej przekonać się o tém, i na pokładzie statku przecież, obserwacją tę nie trudno było mi zrobić.

Jechałem umyślnie na pokładzie, aby lud poznać; zewsząd miałem około siebie ludzi stanu trzeciego, spodziewać się więc mogłem pewnych wybryków, jakich ludzie téj klasy zawsze sobie pozwalają, ilekroć znajdują się w swoim kółku. A jednak na pochwałę ich powiedzieć muszę, iż nic takiego nie dostrzegłem, coby mnie w jakikolwiek sposób nieprzyjemnie dotknęło. Gwaru wprawdzie było pomiędzy niemi co niemiara, ale wszyscy zachowywali się przyzwoicie i nie zdradzali brutalnych narów. Co mnie szczególnie, patrząc na nich uderzyło, to pewien szacunek, jaki wszyscy kobietom okazywali. Szacunek ten (którego pomiędzy Niemcami nie szukaj) przejął też mnie dla nich szczerą sympatją.

Dopływając do Hamar, stanąłem przy baryerze a myśli moje pobiegły aż na brzegi siniej Wisły. Zadumany wpatrzyłem się w przeczczystą dal, gdy nagle odgłos zbiorowego śpiewu wyrwał mnie z zadumy.

Oglądam się i cóż widzę?

Oto całe moje towarzystwo wyjęło książki do nabożeństwa i śpiewało pieśń religijną o Chrystusie. Kobiety prym trzymały a mężczyźni wtórowali im głosem czystym i donośnym. Było to widowisko tak piękne, jakiemu równe nie przedko chyba zobaczę. Ukołysany harmonią uroczą, wsłuchiwałem się długo, długo w ton smętny i natchniony, a gdy pieśń ukończoną została i chwilowe milczenie zapanowało na pokładzie, zdało mi się że bardziej jeszcze kocham ten lud poczciwy, chwalcący Pana nad Pany tak prosto i szczerze, a tak gorąco i tak rzewnie.

Mimowolnie wzrok mój padł na Niemca. Stał on z założonemi na piersiach rękami i szklanem okiem patrzył na otoczenie swoje.

I on się zdawał być wzruszonym, choć tego nie chciał po sobie pokazać. Ale to widać było po nim, bo wzruszenie jakie w nas ta pieśń sprawiła, owaładnęło wszystkiém i wszystkimi a mnie się zdaje że i matką nawet naturą.

Podszedłem ku niemu i kładąc mu rękę na ramieniu zapytałem:

— Czy trwasz pan przy swoim zdaniu, że ci norwegczycy są niezniośni?

Spojrzał na mnie z głęboką zadumą, machnął ręką i odszedł nic nie mówiąc. Zauważyłem jednak, że już *Wacht am Rein* nie nucił.

Tymczasem statek, który się dotąd lewej strony trzymał, nagle zrobił zwrot na prawo i szybko biegł ku jakiejś górze, na której ukazywało się miasto. Była godzina 6 po południu; ośm już godzin byliśmy odcięci od lądu; nie sądziłem przecież by ukazujące się miasto było Lillahamer, nie widziałem jeszcze bowiem końca jeziora. Kapitan jednak statku, do którego się zwróciłem z zapytaniem, objaśnił mnie że miasto na górze jest Lillahamer, że u stóp jego kończy się jezioro Miösen, a widniejąca w dali woda, to rzeczka Laagen wpadająca do jeziora. Zadowolony tém objaśnieniem, wziąłem mój pakunek na rękę, gotując się do wyjścia, a w téjże prawie chwili statek przystanął i przez rzucony pomost wydostałem się na ląd. Byłem w Lillahamer.

V.

Daléj w góry.—Ląd i Lillahamer.—Noc w hotelu.—Gore!—Droga do Listad.—Mile spotkanie w Kirkesten.—Gdzie naszych niéma?—I jeszcze raz Chrystyania.

Lillahamer leży na wysokości górze. Chcąc się do miasta dostać, musisz, mój podróżniku, drapać się pod górę, aż cię nogi dobrze zabolą. Jeżeli zaś chcesz oszczędzać nogi, a pieniądze wyrzucać, możesz nająć jednokonny wózek, który cię za kilka szylingów do miasta dowiezie. Codziennie podczas przyjazdu i odjazdu statków parowych, masz takich wózków w przystani pod dostatkiem, a że ruch pasażerski na Miösen jest znaczny, przeto właściciele tych wózków niezłe robią interesa.

Ja idę do miasta piechotą, niosąc mój pakunek na ramieniu i błogosławie stromą drogę, jak umiem. Droga ta wije się przedemną wężykowato i w pół godziny nareszcie doprowadza mnie do miasta. Jest wieczór jasny i pogodny, przedemną miejscina niewielka i uboga, a w dali wspaniałe jezioro, którem dopiero co opuścił: co tu robić z czasem? Wskazują mi najlepszy hotel Ormsrud, staję więc w nim i wychodzę po chwili do jadalnej sali, gdzie licznie zebrane towarzystwo spożywa kolacyę. Gwarno tu i huczno aż miło, tak jak w jakim wielkiém mieście. Przy dwu stołach w sali, siedzą rzędami obojéj płci goście, a języki całego niemal świata, dają się słyszcć w tém zebraniu. Nad wszystkiemi jednak dominuje język angielski, którego ja na nieszczęście nie umiem.

Mój towarzysz jednak z lewej strony, mówi bardzo nędznie po niemiecku, zawiązuję więc z nim rozmowę, ale po chwili dochodzę do przekonania, iż kto źle mówi pewnym językiem, lepiej robi gdy usta zasznurowane trzyma.

Gdybym przybywszy do Lillahamer znalazł się był w towarzystwie rozumiejącem mnie dobrze i przeze mnie rozumianem, naturalnie, że byłoby niedarowaną rzeczą, gdybym je po krótkim pobycie porzucił. Że jednak trafiłem tak nieszczęśliwie, iż do nikogo ust otworzyć nie mogłem, przeto nic dziwnego, że spożywszy moją *fisk* (rybę) i wypiwszy kufelek *öl* (piwa), wycofałem się dyskretnie do mojego pokoju, gdzie nie mając nic lepszego do roboty, po przeczytaniu paru kartek niemieckiego Przewodnika po Norwegii, powierzyłem się opiece najlepszego z bogów nieśmiertelnych, bo Morfeusza. Niestety, po wieczorze źle spędzonym, w nocy pociechy nie zaznałem, około bowiem północy przebudził mnie hałas na ulicy. Podnoszę się z łóżka i wychylam głowę przez lufcik.

Zewsząd słyszę wołania: *ild, ild!* (ogień, ogień!).

Masz tobie, myślę, pożar gdzieś wybuchnąć; może sławetny Ormsrud nawet zgorzć: niechcąc zatem upiec się w tym ogniu, ubieram się coprędzej, biorę pakunek w rękę i za chwilę jestem na dole.

— A pan gdzie wyjeżdża o tej porze?—pyta mnie po niemiecku szwajcar.

— Jakto gdzie? Przecież się pali, może hotel spłonąć.

— Ale co znowu, my tu jesteśmy bezpieczni. Pają się stogi siano za miastem, ale ogień już opanowano. Wracaj pan do numeru i śpij spokojnie. *God nat* (dobranoc).

— *God nat*—odpowiadam i powracam do siebie.

Rozebrać się i powtórnie położyć do łóżka, było już rzeczą jedną chwili, tak też uczyniłem i powstałem nazajutrz dopiero wtedy, kiedy ruch i hałas na korytarzach wskazały mi, że już wszystko co Boga chwali znajduje się na nogach.

Była niedziela. Słońce zrobiło już dobry łuk na sklepieniu niebieskiem, kiedy spożywszy śniadanie z jaj na miękko i bulionu złożone, zdecydowałem się wyjść na świat i ostatecznie obmyśleć, co mi z osobą moją robić wypada. Po niedługim namyśle powiedziałem sobie, że świętować w Lillahamer nie warto i że należy ruszać w góry.

Jak ruszać?

Miałem do wyboru dwa sposoby: albo na własnych nogach, albo na karyoli; wybrałem pierwszy, był bowiem o wiele od drugiego tańszy.

Dalej więc w góry!...

Zanim jednak puszcę się na północ, przedewszystkiem wypada mi choć paroma słowami pożegnać Lillahamer. Otóż powiem, że miasto to wzniesione jest na 1827 stóp nad poziom morza i liczy 1700 mieszkańców. Ponieważ przez Lillahamer przechodzi wielki, handlowy trakt z Chrystyanii do Drontheim i tu noc zawsze przepędzić wypada, przeto mamy tu aż trzy hotele (Ormsruds, Hammer i Victoria), które prawie nigdy na brak gości nie narzekają. Okolice miasteczka są pię-

kne, nie zasługują przecież na bliższe poznanie. O ćwierć mili mamy malowniczy spadek małej, przepływającej przez miasto rzeczki Mesny, który to spadek widzieć warto. Zresztą nic już więcej w Lillahamer nie zatrzymuje uwagi turysty.

Z Lillahamer (jak mi przewodnik powiada), mamy do Listad przeszło sześć mil, postanawiam więc tę drogę rozłożyć na dwa dni i wyruszam z miasta.

Zaledwie opuściłem rogatki miejskie, oko moje uderzył przesłizny krajobraz; naraz bowiem znalazłem się jakby we wrotach wysokich gór, ciągnących się łańcuchem bez końca. Środkiem tych gór biegnie wężykowata droga, miejscami tak wązka, że dwa wozy minąćby się nie mogły, a po lewej jej stronie szemrze uroczy strumień, tocząc swe błękitne, spienione wody do rozwartej paszczeki Miøseńskiego jeziora. To Laagen, niewielka ale wartka rzeczka, przyjmująca znowu gościnnie w swoje objęcia wszystkie strumienie i ścieki górskie.

Naturalnie, przy tylu przepysznych widokach, jakie co krok na tej drodze cię spotykają, iść szybko w żaden sposób nie można. Wszystko tu bowiem jest dla ciebie nowem: i góry i rośliny i ludzie, ze wszystkiem też się poznać pragniesz; wszystko do ciebie przemawia językiem nieznanym wprawdzie, ale tak sympatycznym i wdzięcznym, iż wsłuchiwać się godzinami bierze cię chęć w tę harmonią uroczą, mimo to że przed tobą nieznanne strony, które cię bogatszymi daleko skarby obdarzyć jeszcze mają.

Bo to com wyżej powiedział o Miøseńskim jeziorze, stosuje się w zupełności i do gór okalających drogę do Listad, a nawet jak się później o tym przekonałem, pod pewnym względem i do krajobrazów Thelemarken. Niema tu we wszystkiem tém, czém cię południowej Norwegii natura darzy, grozy i trwogi, ale spokój jakiś uroczy i dziwny, który wabi, pociąga, przykuwa. Rzekłbyś że spogląda z tego wszystkiego ów Bóg skandynawski, wielki, potężny i majestatyczny, ale pociągający więcej, niż odpychający od siebie. Panuje on bo też tu harmonią i miłością.

Mimowoli jakoś przychodzą mi na myśl Tatry ze swemi: Morskiem Okiem, Doliną pięciu stawów, Czarném jeziorem i Zawratem, przypomina mi się stroma i straszna droga na Czerwony Wirch, lub szczyb Giewantu przerażający.

Przypominam to wszystko i ponownie powtarzam, że mi tu lepiej i pogodniej, że dusza ma pije tu jakiś balsam ożywczy, a wyobraźnia szalonych złudzeń nie tworzy. Tatry moje, więc mi są naturalnie droższe, ale te góry Gudbrandsdolu miłsze są jakoś i sympatyczniejsze od Tatr. Teraz nawet gdy piszę te wspomnienia, dusza ma rwie się ku wzgórzom Norwegii i rada gdy tam przebywać może. Więc niech tam idzie, bo to co od czasu pobytu w tych miejscach przeżyłem, każe mi jakoś szukać spokoju i ulgi... A tam daleko na północy miałem być poddostatkiem tego spokoju podówczas, kiedyś go tak, jak dziś, jeszcze nie potrzebowałem. Więc niech tam idzie...

Idąc powoli, ale ciągle naprzód, spotykam lud wiejski podążający z okolicznych miast do kościoła w Lillahamer. Była niedziela, więc wszystko to się ubrało odświętnie. Mężczyźni przyodziani w długie guziki nabite surduty, postępowali poważnie około swoich kobiet, których ubiór pstrokaciej wyglądał. Wprawdzie ta pstrokaczna nie była tak rażąca, jak np. u kobiet spotykanych później w Thelemarken, ale zawsze drażniła moje oko, nieprzywykłe do podobnego widoku. Kolory żółty i niebieski łączyły się tu dość niesmacznie z czerwonym, a szyje wszystkich powleczone były sznurami różnokolorowych koralii. Na głowie chustki w rodzaju zawojów dopełniały całości.

Każdy mężczyzna i kobieta zaopatrzeni byli w duże książki od nabożeństwa. Nieśli je widocznie, a kiedy przechodzili koło mnie, to mi się zdało że oczami zdawali się pytać: „Kiedyto w twojej ojczyźnie lud na książkach modlić się będzie umiał?”

Kiedy?... I ja nieraz zadawałem sobie to pytanie i ja nieraz wziętałem oczy, jak gdybym chciał przejrzeć grubą zasłonę oddzielającą mnie od przyszłości i dostrzedz choć zdala tę epokę, kiedy to nad brzegami mojej ukochanej Wisły, lub na rozkosznych wzgórzach krakowskiej ziemi, lud mój pracowity i skrzętny, na książce czytać się nauczy; kiedy z tych martwych, ustawionych w szereg jak żołnierze liter, dowię się jak Boga chwalić, jak się od biedy oganiać, jak ogólniejsze potrzeby kraju odczuwać. Ale instynkt jakiś dziwny mówił mi, że to daleka jeszcze chwila, że dużo jeszcze, dużo wody potoczy się korytem naszych rzek królowej, do burzliwego Bałtyku, zanim poziom unyślowy naszego kraju wzniesie się do tych wyżyn, na jakich się znajduje poziom Norwegii.

Bo rzeczywiście Norwegia jest bardzo oświeconym krajem. Wędrując tu i owdzie przekonałem się o tem; rzadko znaleźć w tym kraju człowieka, któryby czytać nie umiał, a bardzo często natrafisz pomiędzy chłopami na takich nawet, którzy kilka klas pokonczyli. Książki też rozchodzą tu się masami po kraju a pisma peryodyczne wciskają się pod strzechy włościańskie.

Nadewszystko też oświata ludowa rozwinięta jest we wschodniej części Norwegii. Rozsiedli pomiędzy gęstemi lasami, włościanie tamtejsi odznaczają się wielką zamożnością, a że po większej części za bogactwem idzie oświata, przeto nie żałują szylingów na kształcenie dzieci swoich. Opowiadano mi, że synowie pewnego chłopca z nad granicy szwedzkiej kończą uniwersyteckie studia w Chrystyanii a jeden z inżynierów norweskich urodził się w chacie prostego bondy z tamtych stron.

Co prawda, to te chaty chłopskie wyglądają na nasze dworki szlacheckie. Spotykałem ich wiele po drodze do Listad, mogę więc zapewnić, że w niczem tym ostatnim nie ustępują.

Zbudowane z drzewa, pokryte dachem gontowym, z zewnątrz już wabią do siebie przechodnia, a wewnątrz odznaczają się tém wygodnym urządzeniem, jakiego długo jeszcze zapewne nie zazna nasz

polski włościanin. Powodowany więcej może ciekawością niż potrzebą, zachodziłem do tych chat, w każdej jednak, której próg przestąpiłem, znajdowałem dostatek i ten komfort, jaki cechuje u nas po wsiach ludzi średniej klasy i średniej zamożności.

I tak: wszedłszy do chaty takiego bondy, masz najprzód dużą sien, od której drzwi na lewo i na prawo prowadzą. Na lewo kuchnia, spiżarnia i schowanko na różne potrzeby gospodarskie, na prawo pokoje mieszkalne. Tam panuje *frue* (kobieta) z całym swoim fraucymerem dziewczek folwarcznych, tu przemieszkiwa mąż i pan domu, z synami i krewnymi swymi. Urządzenie pokojów mieszkalnych jest skromne, ale porządne. Sprzęty gospodarskie ustawione symetrycznie, obrazy Chrystusa i widoki górskie porozwieszane na ścianach, nierzadko półki z książkami; mile to wszystko uderza oko, a zdziwienie podróżnika wzrośnie, jeżeli tu i owdzie dostrzeże przytulony do okna jaki stary fortepian, na którym w niedziele córki gospodarskie wygrywają melode norweskic.

Na takich i tym podobnych obserwacyach przyjemnie mi czas schodzi i ani spostrzegam, jak słońce, obiegłszy łuk niebieski, zaczyna się spuszczać ku zachodowi. Uszedłem już co prawda mil kilka, minąłem Fassegaarden i Holmen, ale Kirkestnen gdzie zamierzam nocować jakoś jeszcze nie widać. Mój niemiecki przewodnik mówi mi, że do téj miejscowości już mało co więcej jak mila, a ja już ze dwie godziny po wycpoczeniu w Holmen idę, i końca drogi dopatrzeć się nie mogę. Wprawdzie idąc zatrzymuję się ciągle, bo widoki mam coraz piękniejsze, przecież u celu mojej dziennéj podróży stanąć już powinienem. Niepokój mój wzrasta tém silniej, ile że zegarek wskazuje piątą godzinę po południu, zatem już od ośmiu godzin jestem prawie bezustanku w ruchu. Co podnosi moje niezadowolenie, to ta okoliczność, że się tu na téj drodze z nikim rozmówić nie mogę. Każdego kogo spotkam zaczepiam słowami:

— *Til* (do) *Kirkestne*?

— *Halv mil* (pół mili)—odpowiadają wszyscy i idą w swoje stronę.

A mnie tu te *halv mil* wcale się nie kończy. Nareszcie na szczęście się skończyło. Około godziny szóstéj dostrzegam w dali jakieś jezioro, dalej płot i kominy, a jeszcze dalej grono ludzi odzianych po europejsku. W ucho moje zaczynają wpadać gardlane dźwięki angielskie. No, dzięki Bogu, myślę sobie, jestem w Kirkestne.

Istotnie jestem w Kirkestne.

„*Zdala już, zdala widzę ze stolica*” przyszedł mi na myśl wiersz Mickiewicza, istotnie bowiem Kirkestne na tle kilkomilowego otoczenia swego wygląda jakby na stolicę jakiego lilipuciego państewka. Pożyczając od Lillahamer, na całej drodze spotykałem zaledwie pojedynczo porozrzucane domki; rzadko gdzie rozsiadły się nie parami, a już trzech obok siebie, nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać. Tu na około obszernego i widnego podwórka ustawiono się wkoło aż kilka

takich domków, a jedno od drugich piękniejsze. Widocznie, pomyślałem, miejscowość ta stworzona dla wypoczynku; przepędzę zatem tu noc, a nazajutrz wyruszę dalej na północ do Listad.

A wypoczynku też, otwarcie mówiąc bardzo pragnąłem. Zrobić cztery mile na dobę, t. j. tyle ile dobry pruski piechur, a do tego po kamienistej drodze, no to nie każdy potrafi, nie gniewałem się więc wcale, gdy po spożyciu skromnej kolacyi, ofiarowana mi została za całodzienne trudy nagroda, w postaci dobrze usłanego łóżka, na które też bez namysłu rzuciłem się, marząc o tem com już widział i co mi jeszcze do widzenia pozostawało.

„A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi,
Blask latarek i widaćście kilkadziesiąt ludzi”

pisał kiedyś nasz największy wieszcz o Soplicowskięj szlachcie. I o mnie coś podobnego napisaćby wypadało.

Słońce już bowiem nazajutrz dawno pożłociło szczyty Gudbrandsdału, przyjezdni anglicy już dawno wyruszyli w drogę, a ja znużony wciąż spałem i spałem, tak iż to zaczęło niepokoić postługującą w zajeździe dziewczynę.

Przemógłszy więc dziewiczy swój wstyd, przez otwarte drzwi mojego pokoiku (drzwi na noc w Norwegii nigdzie nie zamykają) poszła ku mnie i śmiejąc się do rozpuku, zaczęła na cały głos wołać:

— *Gud Morgen. Hvordan har De?* (Dzień dobry, jak się pan masz?)

Chropowate dźwięki jęj głosu w związku z wybuchami wesołości przebudziły mnie nareszcie. Roztwieram oczy i widzę przed sobą uroczą rusałkę, dziewczę szesnastoletnie, jasnowłose i smagłe, w ubiorze skromnym ale porządnym, z fartuszkim na szaręj spódniczce.

Dziewczyna wciąż się śmieje.

— *Hvad er klokken?* (która godzina)—pytam.

— *Klokken er en* (pierwsza godzina)—odpowiada, nie przestając się śmiać.

Czy to być może, pomyślałem i chwytam za zegarek. Roztwieram kopertę, patrzę, istotnie—pierwsza godzina. No, pomyślałem sobie, to mi się tak długo nigdy jeszcze spać nie przytrafiło i w tejże samej chwili odwróciłem się by dziewczynie choć oczami powiedzieć, dlaczego ja tak długo spałem, ale ledwie zegarek na swoim miejscu położył, furknęło coś w pokoju i moja rusałeczka zniknęła jak sen jaki złoty Słowackiego.

Ubrać się, umyć i zejść na dół do gościnnego pokoju, było rzeczą jedną chwili.

W obszernej izbie na dole zastawione już czekało na mnie śniadanie. Śniadanie to, skromne, składało się z chleba, jaj, sera owczego; maleńkich morskich rybek i wyborowego norweskiego piwa, jakiemu równego pod względem smaku, nie zdarzyło mi się pić nigdzie w Europie.

Piwo to, wyrabiane w Chrystyanii stanowi jedyny trunek powszechnie używany w całym kraju; gdy bowiem wódka jest tam prawie zakazana, trunek ten, nader mocny, zastępuje inne, szkodliwe dla organizmu spirytualia.

Przy stole zastałem jakiegoś nieznanego. Średniego wzrostu i ujmujących rysów, wyglądał on raczej na tubylca, niż na podróżnego. Nie sądząc, abym z nim mógł się porozumieć, usiadłem na przeciwległym końcu stołu i zacząłem spożywać w milczeniu zastawione przedemną dary Boże.

Nieznanomy wpatrywał się we mnie uważnie, jak gdyby z twarzy mojej chcąc wyczytać kim jestem. Pragnąłem napić się piwa. Sięgnąłem po butelkę, która stała na środku stołu. Natenczas wstał on, podsunął mi butelkę i grzecznie rzekł:

— *Ich bitte.*

— *Ich danke*—odowiedziałem i na tém się urwało.

Ale już pierwsze lody pękły. Mój nieznanomy nie dawał za wygraną.

— *Sie sind ein Deutscher?*—zapytał.

— *Nein, ich bin ein Pole.*

— *Und ich bin auch ein Pole.*

— A więc—zawołałem radośnie—jeżeliśmy obaj polacy, to mówmy ze sobą po polsku.

Nastąpiła rekomendacya.

Mój nieznanomy nie był jak się okazało podróżnikiem, ale kupcem osiadłym w Chrystyanii. Zwał się Wojciechowski. Jechał do Dronthejm za towarami. Ja mu wzajemnie powiedziałem kim jestem i w kilka chwil potém izba gościnną w Kirkestne zapełniła się dźwiękami ojczyściej mojej mowy. Pewno je wtedy poraz pierwszy dopiero słyszała.

— Różne okoliczności—opowiadał mi p. Wojciechowski—skłoniły mnie osiaść w Chrystyanii. Bez środków przyszedłem tu przed dziesięć lat, i wolę tu niż gdzieindziej. Inni poszli na Zachód i dziś marnieją na paryskim bruku, ja poszedłem z bratem na Północ i ciężką pracą dorobiłem się kawałka chleba. Mamy sklep w stolicy Norwegii i dobrze nam idzie.

— Więc pan w Chrystyanii stale zamieszkać zamierzasz?

— Broń Boże! Pobędziemy tam jeszcze lat kilka i wrócimy do kraju, bo nas coś ciągnie ku swoim. Lud tu poczciwy i sympatyczny, pieniędzy nam nie brak, ale niezawadza serce z bólu i żalu nie pęknie, tak nam tu nudno i ckowo. Wrócimy więc do kraju.

Z rozmowy z panem Wojciechowskim dowiedziałem się, że nie on jeden z bratem swoim reprezentuje narodowość naszą w Chrystyanii. Jest tam jeszcze fotograf polak, którego przecież nazwisko wyszło mi z pamięci i jeszcze ktoś. Wszystko ludzie pracy.

Spotkanie nasze w Kirkestne było bardzo krótkie. Pan Wojciechowski śpieszył się niezmiernie, po krótkiej więc rozmowie rozstać się ze mną był zmuszony.

Odprowadziłem go do progu domu a kiedy go już z oczu straciłem, pomyślałem westchnąwszy: gdzie naszych niema?...

Będąc znużony wielce wczorajszą podróżą, postanowiłem dziśjechać do Listad. Nająłem więc karyolę i około godziny trzeciej po południu, wyjechałem z małym chłopcem, najpierw do Skiaggestad, a potem do Listad o 1¼ mili od tej ostatniej stacyi odległego.

Droga szła pod górą, wśród prześlicznych pagórków. Po lewej ręce miałem wciąż wody, a po prawej krajobrazy, piękność których tylko pendzel odnalowaćby zdołał. Około godziny szóstej wieczorem, stanąłem w Listad, zkąd nazajutrz wyjechałem do dnia i tego samego dnia w nocy byłem z powrotem w Chrystyanii.

VI.

Thelemarken.—List I do przyjaciela.

Riukanfoss. Sierpień 1875 r.

Jestem od dwu dni w Thelemarken, to znaczy w raj u na ziemi, w najpiękniejszej prowincyi, jaką wyobrazić sobie możesz, już nie w Szwajcaryi norweskicj ale w Norwegii szwajcarskiej. W tej chwili piszę to w uroczym szwajcarskim domku (Krokau), położonym na wysokości kilkutysięcy stóp nad poziomem morza. Naokoło mnie góry i przepaście, a przedemną wspaniała kaskada Riukanfoss, rzucająca się z wysokości 750 stóp w głąbią. Widok, jaki te masy wód spadające z góry, sprawiają, nie do opisanja, a szum i huk, jaki tu wciąż panują, nie dowytrzymania doprawdy. Dziwię się, jak tu ciągle mieszkać może pewna, miła bardzo jójmość, utrzymująca restauracyą w Krakowie.

Ale jakem tu się dostał?

Dawno już, dawno, kiedy marzyłem w młodzieńczych jeszcze snach moich, o Skandynawskim półwyspie z jego dziewiczą naturą, ludami i reniferami, wywiedziałem się coś o Thelemarken. Gdzieś wyczytałem, że ta prowincya Norwegii tyle pono warta co Szwajcaryya, że tu zamknięte cuda śpią sobie spokojnie, bo ich nikt nie przychodzi oglądać lękając się trudów i... bałwanów burzliwego Bałtyku. Któraś geografia mi powiedziała, że lubo góry w tych stronach niewielkie i nie straszne, przecież w łonie swoim chowają urocze widoki, że tam zakłęty szumi sobie od wieków, bodaj czy nie największy wodospad w Europie.

Kiedym wreszcie po latach wielu, a wielu, stanął nogą na lądzie Norwegii, pewien norwegczyk powtórzył mi to samo, a gdy w dodatku i niemiecki Przewodnik który sobie w Kopenhadze kupiłem, zaczął mi się rozpytywać w uniesieniach nad pięknością tej prowincyi, nie było rady, postanowiłem pojechać do Thelemarken. I dziś, nie żałuję tego.

Chcąc z Chrystyanii dostać się do Thelemarken, trzeba przede wszystkim udać się na banhof zachodniej kolei, i kupić bilet do Kongsberg. Tak ja robię i za chwilę znajduję się w wagonie trzeciej klasy,

otoczony kobietami, dziećmi i... psami. Krzyczy to wszystko jedno przez drugie, gestykują każde jak umie, a ja wciśnięty w kąt wagonu patrzę i słucham... naturalnie nic z tego całego harmidru nie rozumiejąc.

Nareszcie gwar się ucisza, jedna kobieta powstaje z miejsca swego i zaczyna coś innym opowiadać. Co słowo powie, to słuchaczki wybuchają sutym śmiechem, a ile razy się zaśmieją, to spoglądają na mnie. Co u licha myślę sobie, czy ja tak śmiesznie wyglądam czy co? Bądź jak bądź, odpowiedzieć sobie na to pytanie nie umiałem, nie rozumiejąc po norwęgsku, nie mogłem wiedzieć bowiem o co im chodziło i do dziś dnia zdać sobie sprawy nie mogę z tego, co te kobiety tak śmieszyło, kiedyym razem z niemi jechał koleją do Kongsberg.

Droga do Kongsberg romantyczna i uroczą bardzo. Z razu jeździem nad samém morzem, tak iż ci się nieraz zdaje że wpadniesz z całym pociągiem w głębie wód nieprzejrzanych okiem; potem tracisz z oczu lazury morskie aby je zamienić na pagórki, umajone prześliczną zielenią.

Stacye drogi Kongsbergskiej o prostym i niewyszukanym stylu. Dworce kolei pobudowane przeważnie z drzewa, odznaczają się czystością i porządkiem, ale niczem więcej. Znać we wszystkim że *piękne* jest tu poświęcane dla *pożytecznego*, względ bowiem użytecznościowy przebija tu się we wszystkim. Na pewnej stacyi pociąg zatrzymał się przydłużej, umyślnie więc porzuciłem moje kobiety, aby się o urządzeniu wewnątrz dworców norweskich przekonać. Wszystko tam popolite i skromne, powiem nawet ubogie, ale we wszystkim znać myśl, zmierzającą do tego, aby podróżnym wygodnie było.

Co odróżnia dworce norweskic od naszych, to brak sygnałów znanych nam dobrze. Zastępiane są one donośnemi elektrycznemi dzwonami, które gdy meldują następnej stacyi o wyjściu pociągu, to aż uszy doprawdy boją. Po stacyach snują się małe dziewczęta i częstują gości angielskimi cukierkami i poziomkami. Cukierki te i poziomki ułożone w zgrabnych maleńkich pudełkach, bardzo smacznie napozór wyglądają; znać staranie i porządek w najdrobniejszej rzeczy w Norwegii.

W kilka godzin po opuszczeniu Chrystyanii jesteś w Kongsberg. Droga przechodzi ci bardzo przyjemnie, zarówno bowiem wzrok twój jak i słuch znajduje na niej obfity pokarm. Jakto słuch? zapytasz za-pewne. Otóż ci powiem, że tak a nieinaczej; Norwegczycy bowiem mają piękny zwyczaj śpiewać w drodze psalmy nabożne, a że śpiewają pięknie, przeto przyjemność ci to prawdziwą sprawia. Czy więc wsiądziesz na statek na Miösen, czy wtulisz się w kąt pociągu kongsbergskiego, wszędzie i zawsze towarzyszyć ci będzie melodia, z nastrojem religijnym i rzewnym, która duszę twoją dziwnie kołysać będzie.

Kongsberg jest niewielkie miasto; zdaje się że nie liczy więcej nad 5,000 mieszkańców, ale gwarno w niem i ruchliwie. Jest ono zamieszkałe w wielkiej części przez górników, słyną bowiem w całej Nor-

wegii kongsbergskie huty. Wydobywają tu nawet srebro i to podobno wcale niepośledniej wartości. Położenie miasta nie bardzo piękne. Wciśnięte, a raczej wszczepione w góry, siedzi sobie jak baba pod piecem, dokoła otoczone kłębanami dymu.

Kiedym do Kongsbergu przyjechał, zjazd był nielada; muóstwo bowiem Anglików ściągnęło tu z różnych stron; wszędzie więc słyszałem mowę dzieci Albionu. Zjazd ten był mi poczęści nie na rękę; gdybym był godziną później przybył, musiałbym chyba na szczerém polu noc przepędzić, wszystkie bowiem numera w dwu hotelach zajęte przez gości były. Szczęściem pośpieszyłem się i dostałem kąt, a Anglik, który po mnie przywędrował, zmuszony był podobno spać w kuchni, pomimo milionów swoich i protekcyi królowej Wielkiej Brytanii. Ale tak się dzieje na całym pono świecie: „kto pierwszy w czasie, lepszy w prawie,” powiada rzymski jurysta.

Przespawszy noc w *Hansens hotel* w Kongsberg, nazajutrz rano ruszyłem w drogę. Nająłem więc sobie jednokouny wózek (zwany w Norwegii *karyola*) i na nim postanowiłem dotrzeć do samego serca Thelemarken. Drogi przedemną leżały dwie: przez Hitterdal i przez Bolkesiö. Otwieram mój niemiecki Przewodnik i oto co w nim na stronie 112 wyczytuję:

„Droga przez Bolkesiö jest od tamtéj daleko piękniejsza, ale że nie zawsze na niej można dostać koni, przeto do podróży uciążliwsza. Piesi przecież tą drogą jedynie winni udawać się do Thelemarken.”

Dobrze więc, myślę sobie, należy mi poznać obie drogi: pojedę teraz przez Hitterdal, a powracać będę przez Bolkesiö. Pojechałem więc, ale co na téj strasznej drodze użyłem...

Nigdy téj podróży nie zapomnę.

Co kilka chwil koń mi przystawał, musiałem mu dawać półgodzinny wypoczynek. Chciałem już rzucić i karyolę i konia i iść piechotą do celu wędrowki mojej, ale mnie chłopiec, którego z sobą wziąłem, od tego kroku ostatniej rozpaczy gestami odprowadził. Dojechałem więc, ale com przez te sześć godzin przeżył i wycierpiał...

„Nie powiem nikomu,

Bo w śmiertelnych języku niéma na to słowa,”

jak powiada Mirza w *Sonetach krymskich* Adama.

A jednak droga ta, jak zresztą wszystkie w Norwegii piękna, bardzo piękna. Wciśnięta w góry, biegnie równolegle z małym strumykiem, który ci szemrze skandynawskie sagi i do snu kołysze. Znalazszy się na wysokości 3,350 stóp nad poziomem morza, po przejechaniu Tinnelwy, masz tuż, tuż zaraz przy moście pyszny Tinnfoss. Jestto kaskada, pierwsza, jaką w Norwegii widziałem. Jakaż ona powabna i romantyczna! Woda rzuca się z góry w objęcia rzeczki, ale nie z tą grozą, jaką w Riukanfossie, ale ze spokojem i jakoś nawet miłośnic. Rzekłbyś, że to kochanka łączy się z kochankiem, spragnionym jej eterycznych wdzięków i serdecznego ciepła.

A tam dalej? Stara jakaś *kyrke* (kościół) sterczy wśród wzgórz i pozdrowienie ci zasyła. Jakazto wspaniała budowla! Zatrzymuję konie i podchodzę ku niej bliżej, bom czegoś podobnego w życiu jeszcze nie widział.

Wystaw sobie: kościół z drzewa modrzewiowego, właściwie bez żadnego stylu, coś nakształt arki, coś nakształt okrętu. Na każdej ścianie ganki i daszki, a ściana główna to już chyba z samych daszków złożona. Zczerniałe to wszystko i przybite do ziemi, mówi ci o zgrzybiałości swojej i zdaje się ostrzegać, byś do wnętrza nie wchodził, bo ci się to wszystko razem na głowę zwalić może. Więc nie wchodzisz, ale zdaleka podziwiasz to arcydzieło dziwaczego pomysłu i ekscentrycznego wykonania. Żałuję, że nie mógł się dowiedzieć, kiedy ta świątynia wzniesiona, pewny jednak jestem, że stoi wieki. Ktoś, kiedyś, kiedyś przed laty wsadził tę ciesielską zabawkę w góry i stoi to tam sobie spokojnie na chwałę Bogu i pociechę ludzi.

Zaraz za tym kościółkiem, Lysthus, pół drogi do Tinnoset. Zajeżdżam więc, rad wielce, do jakiegoś chłopa i gdy na zapytanie:

— *Kan jeg paa de naeste Stationer faa friske Heste?* (Czy mogę do następną stacji dostać świeże konie)? otrzymuję twierdzącą odpowiedź; pojmiecie łatwo, w jaki mnie to humor wprowadza.

Patrzę na zegarek, mam pierwszą godzinę; do Tinnoset liczą ztąd trzy mile, postanawiam więc z godzinkę wypocząć pod miłym dachem zajezdnego domu i około drugiej dopiero wyruszyć dalej w drogę.

Tymczasem klaszczę w dłoń.

Zjawia się *smuke pige* (piękna dziewczyna). Istotnie piękna. Włos płowy, wzrost średni, oko duże, rozumne. Odziana w spencerek szary z niebieską chusteczką na szyi i białym fartuszkim, wygląda jak zjawisko niebieskie, wśród tych piekielnych dróg. Włosy ma zwite w dwa warkoczki, w koniec których wpleciona różowa wstążeczka. Patrzę na nią i myślę sobie:

Miły Boże! kto tę kobietę odciętą od cywilizacji i świata, nauczył dobrego gustu?

Ale one już podobno na całym świecie z dobrym gustem się rodzą.

— *Toler de tydsk?* (Czy mówisz po niemiecku)—zapytuję.

— *Ikke* (nie)—odpowiada — i uśmiecha się.

A więc myślę, trzeba się uciec do mojej smutnej norwegczyzny.

Recytuję więc dziewczęciu:

Bröd, aeg, smör, fisk.

Za chwilę mam: chleb, jaja, masło i rybę.

— *Tok skal de have* (dziękuję panience).

Odpowiada mi dygnięciem.

Spożyć to wszystko, co mi dziewczyna przed oczy postawiła, było rzeczą prawie jednej chwili. Znużenie dodawało mi apetytu, to też gdy moja piękna gosposia weszła znowu do izby, zastała tylko na stole skorupy, oście i małe kawałki niedojedzonego chleba.

W żaden sposób nie mogłem się dowiedzieć, ile to wszystko kosztuje. Przemawiałem do dziewczęcia wszystkimi znanymi mi językami, nic nie pomogło. Nie rozumiała mnie i tylko się śmiała. Wyjąłem więc kilkanaście szylingów i położyłem na dłoni. Wybrała z nich trzy i dygnęła znowu szepcząc nieśmiało:

— *Tok skal de have* (dziękuję panu).

Kiedym opuszczał chatę, dziewczyna rzekła głośno:

— *Tydstk* (Niemiec).

Odwrociłem się z oburzeniem.

— *Nei, jeg Pollack* (Nie, ja jestem Polak).

— *Ach sso Polack* (ach, tak Polak)—powtórzyły wtedy i matka i córka, i zdaje mi się, że obie wdzięczniej jakoś na mnie spojrzały.

Pewno, pomyślałem, pierwszego Polaka w życiu, widzą one we mnie, pewno już tak prędko drugiego nie zobaczą.

Westchnąłem wychodząc z chaty i wsiadając na karyolę. Byłoby to żal po pięknej dziewczynie?... Być może, bo już przez całą drogę do Tinnoset tylko o nią myślałem i ani się spostrzegłem, gdy dojechałem do kresu podróży mojej. Wprawdzie droga była znacznie od poprzedniej lepsza i koń jakoś lepiej ciągnął, więc się jechało, jechało i marzyło... Bóg wie już nie o czém.

VII.

Jeszcze Thelemarken.—Tinnoset.—Kogom tu spotkał?—Dalsza podróż we trzech.— Na jeziorze.— Charakter Tynnu.—Pogawędka na pokładzie statku i moje położenie.

Czém dla podróżnego po Saharze bujna i żyzna oaza, tém dla mnie, po przebyciu drogi z Lysthus, było Tinnoset. Nie pamiętam, czy ta droga dała mi co powabnego, najprędzej prócz monotoności nic; Tinnoset zato przedstawiło mi się tak rozkosznie, że do dziś dnia zapomnieć nie mogę pierwszego po niem wrażenia.

Dojeżdżałem do kresu podróży mojej, kiedy mrok już zapadał. Słońce znużone całodziennym biegiem, schowało się za pagórki i tylko przez ich szczeliny przesyłało ostatnie *do widzenia* ziemi. Promienie jego krwawe i gorące uderzały najpierw o zwierciadło wód, myjących stopy Tinnosetu i tam skąpane rzucały się nieśmiało na domki, rozsiane nad jeziorem. Rzucając się, oświecały jakby od niechcienia te ciche ściany, które zdały się gorzeć w powolnym ogniu. Byłoby piękne, tak piękne, żem dojeżdżając przystanął, aby nacieszyć się tym widokiem; ale zazdrosne o swe ostatnie wdzięki bóstwo ciepła i życia, niedługo dozwoliło mi podziwiać je w pokorze ducha i utonęło całe w lazurze wód, aby rozbudzić się dopiero nazajutrz. Do zobaczenia więc...

Zajechałem do przyzwoitego zajezdnego domu. Cisza tu panowała grobowa, prócz bowiem dziewczki, brzydkiej jak straszdyło, nie miało w domu nikogo. Rzekłbyś, że wymarli wszyscy.

Nie wymarli jednak, a tylko poszli łowić ryby. Dowiedziawszy się o tém, właśnie i ja zamierzałem nad jezioro się udać, kiedy nagle do pokoju, w którym się znajdowałem, wpadł jak bomba jakiś młody człowiek, zaczął wołać na cały głos służby, wreszcie przybliżył się do mnie i najczystszy niemieckim akcentem rzekł:

— Pan jest jak widzę cudzoziemcem, ja tu jestem jak u siebie w domu; nazywam się Dideryk Brun i jadę jutro wspólnie z moim kolegą do Rinkanfass. Może mógłbym być panu w czém użyteczny?

Zadziwiła mnie ta mowa młodego człowieka, ale patrzyło mu dobrze z oczów, odpowiedziałem więc bez wahania:

— Jestem podróżującym Polakiem. Jadę również na Rinkanfass i jeżeli można, pragnąłbym odbyć tę podróż w tak miłym towarzystwie.

Podaliśmy sobie ręce i w godzinę później byliśmy jak starzy znajomi.

„Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dziele;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nió powiąże złota.”

Musiał znać chyba ten wiersz wielkiego poety pan Dideryk Brun, bo gwałtem chciał się prawie wcisnąć do mojego serca. Opowiedział mi że jest studentem uniwersytetu, że jego ojciec jest sławnym norweskim komikiem, że lubi... wino, kobiety i śpiew. Śpiewał więc mi zaraz uroczę norweską melodye, a gdy mimochodem i o nasze narodowe zahaczył, zdało mi się że go polubiłem nawet.

Nadszedł tymczasem jego przyjaciela.

Byłto znacznie starszy mężczyzna, istna antyteza tamtego. Powolny i flegmatyczny, gorszył się wesołością Bruna i ciągle mu epitet waryata nadawał. Ten się jednak tém nie guiewał: latał z jednego końca pokoju do drugiego, gwizdał, śpiewał, całował mnie, jego, a nawet brzydką, postugującą nam dziewczkę; nareszcie wykręcił się na pięcie i wysunął z pokoju.

Nastąpiła cisza i moje zbliżenie do jego przyjaciela.

Opowiedziałem mu kim jestem, w zamian za co dowiedziałem się, że jest on lejtnantem w armii norweskich, że jego ojciec posiada sławny browar w Chrystyanii i że on sam podróżuje po Norwegii, celem rozpedzenia czarnej melancholii, jaka go bezustannie trapiła. Mimo powolność swoją, człowiek ten również przypadł mi do gustu. Był on od Bruna daleko głębszy i poważniejszy: szkoła życia malowała się na jego twarzy.

Prawdę powiedziawszy, rad bardzo byłem z tego spotkania.

Po pierwsze bowiem, uśmiechała mi się perspektywa wesołego przepędzenia czasu. a powtóre, podróżując z ludźmi ostatecznie wykształconymi, miałem nadzieję, że się wywiem o ich ojczyźnie ciekawych szczegółów, które mi w dalszych wędrówkach przyteczne być mo-

gą. Jakoż nie zawiodłem się wcale, towarzystwo bowiem tych dwu panów w Thelemarken, bardzo mi było przyjemne i pomocne.

Siedzieliśmy tak obaj przy stole, gawędząc o rodzinnym kraju moim, gdy nagle do pokoju wpadł Brun, cały zabłocony i zmoczony.

— A ty waryacie co robiłeś?—zapytał jego kolega.

— Łowiłem ryby, ale o mały włos nie utonąłem w jeziorze. Dyabli skarali, że łódka, w którą wszedłem, była dziurawa; ledwie nieco odbił od brzegu, zaczęła się w nią nabierać woda: ja skik do jeziora i nie oparłem się aż o was moi poważni przyjaciele. I zaczął gwizdać, ale tak pięknie i rzewnie, iż prosiłem go, aby nie przestawał. To mu się widocznie podobało, bo gwizdał mi jedną melodyą po drugiej, wyborną mimiką opowiadając co piosnka wypowiedzieć chciała.

Pieśni narodowe norweskic są bardzo, bardzo piękne; nasłuchiłem się ich w Chrystyanii: Brun dał mi poznać wiele nieznanyc. Podobne do ukraińskich, głębsze są od nich i boleści pełniejsze. Kiedy się w nie wsłuchujesz, to ci się zdaje, że ci serce z żalu pęknie, taka cię rzewność i tęsknota opanowują. Niemasz tu bogactw harmonii i skomplikowanyc tonów, ale prostotę jakąś dziwną, pokrytą całunem melancholii. Czasami zagra ci w tych piosenkach jakaś nuta weselsza, ale wnet przygłusza ją smętna; czasami znowu słyszysz płacz ciągły i na płacz ci się zbiera. Lud, który wyśpiewał te piosenki, nie musiał być szczęśliwy.

Brun mi wciąż nucił, a ja marzyłem. Nareszcie tony mu zmicszał kolega.

— Spać próżniaku, wszakżeż jutro do dnia wyruszamy w drogę. To go ocuciło.

Ocknął się i on z jakiegoś zadumy, przestał gwizdać i ściskając na dobranoc moją rękę:

— Będę o panu snił—powiedział.

I wyszli.

Dziwny, choć sympatyczny człowiek, pomyślałem.

Nazajutrz, już o godzinie piątej rano byliśmy wszyscy trzej na nogach. O szóstej statek parowy odchodził do Oernös, osady na północnym krańcu jeziora Tynn położonój; trzeba więc było dobrze się śpieszyć, aby na czas z pakunkami wydażyć. Dzięki pomocy Bruna, który za wszystkich nas się zwiżał, zdążyliśmy się zapakować, zjeść śniadanie, kupić bilety na statek i usadowić na nim w najwygodniejszém miejscu.

Jezioro Tynn, wzniesione na 600 stóp nad poziom morza, długie jest na trzy mile. Szerokość jego niewielka sprawia, iż wygląda na wązkąszyję. Otoczone z obu stron skałami, miejscami zarysowuwującymi się nader groźnie, całym swoim charakterem różni się wielce od Miöseńskiego jeziora. Gdy bowiem tamto obsiadły wdzięczne pagórki, wabiące podróżnika ku sobie, to podmywa stopy straszonym górom, tu i owdzie groźnie spoglądającym ci w oczy. Więcej ono podobne jest do małych jeziorok Szwajcaryi lub Włoch północnych, niż do uroczego,

śmiejącego się, pieszczotliwego Miöseniu, które kołysze się spokojnie i bez troski wpośród natury, pełnej wdzięcznych i spokojnych powabów.

Miejscami u stromych skał stojących na straży tych wód, spuszcza się tu wązkim wężykiem srebrzyste kaskady i toną w głębiach, które podanie ludowe bezdennemi nazywa.

Jaka jeszcze różnica zachodzi między Miösenem a Tynnem, to ta, że Miösen niema wcale cech jeziora górskiego. Tak dobrze mogłoby ono sobie drzémac na polistych przestworzach naszych Kujaw, jak w łonie górzystej Norwegii, niewielkie bowiem pagórki okalające je ze wszelkich stron, cech gór właściwie nie mają.

Tynn przeciwnie. Zaledwie bowiem upłyniesz z pół wiorsty, czujesz odrazu iż jesteś w górach, co więcej w kraju górkim, cała bowiem natura jest tu skalista i dzika i przeciwstawia się jak dzień do nocy naturze, jaką dajmy na to w Kangsbergu pozostawiłeś.

Zajęty podziwianiem powabnych krajobrazów, jakie co chwila ukazywały się moim oczom, zapomniałem zupełnie o towarzyszach mojej podróży. Ci jednak pamiętali o mnie dobrze, pozostawili mnie jednak zrazu w spokoju, bym się ich górkim skarbom lepiej przyjrzał.

Spokój ten jednak trwał niedługo.

— Panie kolego—wrzasnął nagle Brun—dość już tego. Nie jesteś pan malarzem, możesz już na tém poprzestać coś widział, zwłaszcza, że nic więcej nowego nie zobaczysz. Chodź pan tu do nas, zapal sobie cygaro, pogawędźmy o tém i o owém, a jak co będzie godnego gdzie widzenia, to zwrócimy na to pańską uwagę.

Propozycja ta trafiła do mego przekonania, przybliżyłem się do moich dwu Norwegczyków i ze trzy przeszło godziny spędziłem w ich towarzystwie na gawędzie.

Gawęda ta nie powiem nawet, by mi nie wyszła na korzyść. O ile bowiem Brun był lekki i płytki, o tyle w towarzystwie jego widniały lepsze i głębsze podstawy. Poglądy jakie wygłaszał uderzyły mnie trafnością, przysłuchiwałem się im z zajęciem, odnosiły się one bowiem do kraju, który po mojej ojczyźnie najwięcej mnie w tej chwili interesował.

— Żyjemy tu sobie—mówił—odcięci od reszty świata, jak u Pana Boga za piecem. Świat o nas mało wie, nie często tu bowiem cudzoziemiec zajrzy, bo go odstręcza surowość klimatu i urojone niebezpieczeństwo. Każdemu z was, moi panowie, się zdaje, że Norwegia to napół dziki kraj, a mieszkańcy jego to dawni skandynawscy zbroje i złodzieje. A jednak tak nie jest. Mamy własną cywilizacyą, swobodę i moralność. A charakter naszego ludu, jak o tém miałeś pan zapewne sposobność się przekonać, nieustępuje w niczém charakterowi Niemca lub Anglika, a pod pewnemi względami nawet go przewyższa.

Nie mówi tu przez moje usta fałszywy i tani patryotyzm, nie; kocham moję ojczyznę, lecz szowinizmem się brzydę, bo on nie w sercu ma źródło: ale zdaję sobie jasno sprawę z położenia rzeczy i patrzę na wszystko nie przez zamglone okulary. Zresztą zdanie moje potwierdzi

każdy, kto w moim kraju czas jakiś przebędzie, a mniemam że i pan o przesadę mnie nie obwini.

Połączeni od przeszło pół wieku ze Szwecją, jesteśmy z tego połączenia zadowoleni. Dania uważała nas za kolonią i wyzyskiwała jak Anglia Amerykańskie Stany. Ten związek z Danią wyniszczał nas i ubożył, a w początkach bieżącego stulecia przyniósł nam takie kłeski, że się zpod ich brzemienia dotąd w zupełności otrząsnąć nie możemy.

Od roku 1807 datują te kłeski. Cały świat kierowany wszechmocną dłońią Napoleona był w wojnie z Anglią, ale gdy państwa lądowe drwiły sobie z nieprzyjacieli Albionu, państwa morskie doznawały jej potężnych razów. W rzędzie tych państw, jedno z pierwszych miejsce trzyma Norwegia, ze swemi długimi, wciśniętymi w ląd i przystępnymi dla floty brzegami. To téż Anglia zablokowała nam porty i zniszczyła cały handel drzewem. Jednocześnie wybuchła wojna ze Szwecją i podczas kiedy od morza groził nam lampart Wielkiej Brytanii, od strony lądu najechała nas armia szwedzka i pustoszyła wschodnie granice nasze. Nareszcie rok 1809 przyniósł nam pokój, ale na nieszczęście nie trwał na długo i w r. 1813 znowu rozżarzyła się pochodnia wojny. W czasie tych kłesk i niepowodzeń, powstała w głowach naszych mężów stanu myśl, czyby nie było korzystniéj dla kraju zerwać związek z Danią i połączyć się ze Szwecją.

Było to w roku 1809. Ale myśl ta lubo bardzo szczęśliwa, nie doznała ogólnego poparcia i większość kraju oświadczyła się za nierozrywaniem związku. Dopiero w 1814 r. kiedy urczywistnienie jej więzi na siebie bagnety, wydała pożądane owoce. Po bitwie pod Lipskiem, Bernadotte zwrócił się przeciwko Danii, wkroczył do Holsztynu i zmusił go pokojem w Kiel Fryderyka VI do odstąpienia na rzecz Szwecyi, Norwegii. Odtąd żyjemy szczęśliwi i spokojni, związek bowiem z Danią był nam nieznośny i do dzisiejszego dnia Duńczycy nie lubieni są w kraju, mimo przecież że nas łączą wspólne tradycje i jeden język.

— Jakto jeden!—zawołał Brun—ja się do téj jedności nie poczuwam. Nasz język jest jedrny i dźwięczny a Duński ślamazarny i niewieściaty. Chcesz pan słyszeć jak Duńczyk śpiewa?—zapytał zwracając się do mnie, i nieczekając na odpowiedź zaczął przedrzeźniać Duńczyków, przeciągając nad miarę słowa—co robiło mniej więcej takie wrażenie, jakie na nas mieszkańców powiśla robi harmonijny, ale zabardzo śpiewny akcent litewski.

— Od tego czasu—ciągnął dalej jego towarzysz—żyjemy szczęśliwi i spokojni. Bernadotte następca Karola XIII, panujący w Szwecyi i Norwegii jako Karol Jan do 1844 r., był przedmiotem ogólnego uwielbienia obu tych ludów i dziś jak pan widzisz stawiamy mu pomnik w Chrystyanii. Po nim panował Oskar I, po tym znowu Karol XV znany poeta i literat, a gdy ten zeszedł ze świata bezpotomnie, na tron wstąpił jego brat młodszy, obecny król Oskar II.

Z politycznych urządzeń naszych jesteśmy bardzo zadowoleni. Połączeni tylko unią osobistą ze Szwecją, mamy osobny rząd i konstytucją jedną z najliberalniejszych na świecie.

Władza kraju spoczywa w ręku króla i zgromadzenia narodowego, zwanego Stortingiem, który corocznie zbiera się w lutym w Chrystyanii i obraduje przez ciąg od 3 do 4 miesięcy. Co trzy lata zmieniają się jego członkowie, a dzieli się on na dwie izby: Logthing i Odelsting, które obradują oddzielnie, a w wypadkach tylko wyjątkowych łączą się dla wspólnego zatwierdzenia pewnego wniosku (rządowego).

Ponieważ król przebywa w Sztokholmie, przeto właściwie rządzi krajem tak zwany *rząd norwesk* z ministrów, których jest siedmiu, złożony. Niezależnie od nich jednak stale w stolicy Szwecyi przebywają przy królu nadzwyczajni ministrowie norwescy, obowiązani udzielić królowi radę, ilekroć razy ten w rzeczach wspólnych zasiągnąć jęj uzna za właściwe.

Niezależnie od konstytucyi, która nas w zupełności zadawała, posiadamy szeroko obmyślany samorząd gminny; żyjemy więc tu sobie spokojnie, nie wiele się troszcząc o tak zwaną wielką politykę, która zjada państwa reszty Europy. Bezpieczni o naszą niezależność, nie rujnujemy się na wojsko, które też ogółem do 50,000 ludzi nawet nie dochodzi. Zato dźwigamy handel i przemysł, i jesteśmy prawdziwymi rozrzutnikami na rzeczy oświaty.

Zapewne pan wiesz, że każdy Norweczyk obowiązany jest posyłać dzieci swoje do szkoły początkowej. Pod tym względem rząd nasz jest nieubłagany i nikomu nie dozwala skazywać potomstwa swego na ciemnotę i co nieraz za tém idzie, zbrodnię. To też urządzenie to do bardzo pomyślnych wyników już doprowadziło. Mały tylko w kraju naszym procent czytać i pisać nie umie, a ludzi ze średniem wykształceniem spotkasz pan nawet pomiędzy naszymi chłopami; a za oświatą podniosło się i bogactwo ogólne.

To zmożenie się dobrobytu i oświecenia w kraju, od czasu połączenia jego ze Szwecją, sprawić naturalnie musiało, że sympatya do sąsiedniego narodu silnie się u nas rozwinęła. Lubimy Szwedów i chętnie wyjeżdżamy do Sztokholmu przebyć w ich wesołym towarzystwie czas jakiś... Charakter tego narodu otwarty i szczerzy, bardziej nam się podoba niż duński, który cechują więcej właściwości niemieckiej niż skandynawskiej natury. A choć kilka razy w ciągu tego wieku przychodziło do zatargów ze Szwecją, zatargi te jednak nosiły na sobie charakter przejściowy i wyglądały raczej na małżeńskie komezaże, niż na poważne nieporozumienia.

Ale zagadaliśmy się, a to i Tynnu już nie wiele. Widzisz pan ten punkcik na prawo: to Ornäs, i kres podróży naszej. Tam bowiem postawimy nogę na ląd.

Spojrzałem. W dali bielilo się coś niewyraźnie. Z pasa mgły wychylały się szczyty domów, nad które górowały olbrzymie wierz-

chołki gór. Wierzchołki te zdawały się świecić śniegiem, rzucały bowiem dokoła blask i jasność. Było południe, ale słońce schowało się gdzieś za chmury i półcień jakiś dziwny pokrywał całą osadę. Nareszcie wszystko zaczęło nam rosnąć w oczach, aż w końcu ukazało się w naturalnej wielkości. Byliśmy w Ornäs.

Brun zadowolony z końca podróży, która go nieco nudziła, schwytał pakunki, wyrzucił je na ziemię, tak że aż jęknęły z bólu, a sam śpiewając i tańcząc wyskoczył ze statku i z gracyą podał mi rękę.

— Mam zaszczyt — rzekł śmiejąc się — powitać pana w sercu Thelemarken.

(*Dokończenie nastąpi*)

PRZYCZYNEK

do zdania o dziele Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w zarysie,“ 1879 r.

PRZEZ

Aleksandra Tyszyńskiego.

Nigdy jeszcze różnorodne gałęzie nauki ludzkiej nie były tak starannie, bogato i wśród specjalności swoich głęboko rozwijane i uprawiane, jak w czasach obecnych i nigdy też bardziej jak dzisiaj nie czuje się braku i nie wygląda nauki specjalnej, nowiej, któraby te różnorodne zdobycze, ich różnostronne kierunki, godzić, jednoczyć, w jednym obrazie oglądać i do jednego łącznego celu skłaniać umiała. Ścieśniając się od tej ogólnej uwagi do jednej z owych naukowych gałęzi, do *Dziejów*, a wśród tych: do dziejów krajowych, napotykamy tu także podobny objaw. Nigdy jeszcze tyle, ile w ostatnich kilkunastu latach nie ogłoszono u nas bogatych źródeł, pomocy, tyle zarazem obok monografii wytrawnych, rozjaśniających szczegóły naszych dziejów dawnych, ale nie spotykaliśmy dotąd odbicia się tych przyczynków w obrazie łącznym. Nic dziwnego więc, iż nakreślenie takiego obrazu, chociaż (jak ten, o którym mówimy) w zarysie, a nakreślenie właśnie przez jednego z najzasłużeńszych pracowników na owym (monograficznym) polu, tak pochopnie pochwyconém zostało, że tyle żywych sądów już wywołało. Sąd taki umieściła między inuými i *Biblioteka Warszawska* w zeszycie za maj, pióra F. K. Wyrażone w tym sądzie jak

ogólna charakterystyka dziełka, tak i szczególne twierdzenia, zdaniem naszym są najzupełniej słuszne; gdy jednak samo to dziełko większej części czytelników *Biblioteki* nie jest, być może, znaném i gdy nadto niektóre objawiane w niem sądy a nawet kreślone fakta szczegółowszego objaśnienia wymagać mogą, przeto nie będzie, sądzimy, zbytekiem, do wyrażonych już uwag jeszcze kilka dorzucić.

Dzieje polskie p. Michała Bobrzyńskiego, jestto książka, która z zadania swego nie tyle jest poświęconą kreśleniu obrazów, jak uwag o tych dziejach. Autor jest zwolennikiem prawa i gotując się do napisania tój książki, nietyle oczywiście rozczytywał się w kronikach, ile w *Voluminach legum*. Pogląd ten doprowadził go osobiście do pewnych wniosków, zarazem zaś i do chęci zapisania pewnych przestroóg. W miejsce więc najpopularniejszego dotąd u nas podręcznika do poznania dziejów krajowych, który ma napis: „*Dzieje*, które stryj synowcom opowiedział” (i który, dodać można, nauczał młode pokolenie treściwie, różnostronnie i ściśle bezstronnie o faktach naszej dawniej historii), dał nam nowy, o którym rzeby można, iż go „synowiec stryjom opowiedział,” t. j. nauczający, jak odtąd o tych dawnych znanych im dziejach sądzić powinni.

Punkt, z którego p. Bobrzyński w zapatrywaniu się na swój przedmiot, t. j. na dzieje polskie wyszedł, jestto ostatni rezultat tych dziejów: upadek kraju. Autor w uwagach swoich zastanawia się głównie nad przyczynami takiego końca, kreśli je, przedstawia dobitnie i powiedziny to z góry, do następnych w wykładzie swoim dochodzi wniosków:

Kraj nasz upadł, gdyż... musiał upaść, a na skutek ten złożyły się były głównie przyczyny następujące: najprzód, iż za swój sztandar i ideał poczytał był wolność („złotą wolność”); powtóre, iż niemiął u siebie nigdy silnego, absolutnego rządu i wreszcie trzecie: iż zamiast pilnować swych pierwotnych granic, a w nich dobrobytu, zbyt się rozszerzył.

Wnioskom tym, jako też wszystkim innym ogólniejszym zdaniom autora, niémamy tu wcale zamiaru zaprzeczać, ani też je potwierdzać, a spojrzeć tylko, czyli? i o ile? sam wykład zmusza czytelnika do ich przyjęcia lub nieprzyjęcia.

Podstawą wniosków są sądy, a sądów: fakta; najpierwszym więc warunkiem podzielenia przez czytelnika wniosków, jest przekonanie się czyli te fakta, z których pierwotnie wyszły lub na których się opierają, są wierne.

Pogląd wewnętrzny p. Bobrzyńskiego na dzieje polskie, objaśnia nam najprzód ogólnie podział ich na okresy. Autor do tego podziału główną oczywiście przywiązał wagę, wyklada go bowiem zaraz na wstępie, na pierwszej karcie książki, pierwój nawet, niż określił przedmiot, o którym ma mówić i przed przytoczeniem literatury tego przedmiotu.

Okresy te jakież były?

Okresy historii polskiej były, według autora, następujące: 1-szy od najdawniejszych początków państwa, do połowy XIII wieku, kiedy ludność kraju była jednolitą, a król jej ojcem: okres *patryarchalny*; 2-gi od połowy XIII wieku, t. j. od czasu wyludnienia kraju przez Tatarów a zaludnienia przez Niemców, do końca XV wieku: okres *patrymonialny*, gdyż w nim, według autora „królowie spokojni o swe *patrymonium*, nadawszy raz przywileje stanom krajowym, nie wtrącali się do ich spraw wewnętrznych, a tylko je bronili na zewnątrz,” (str. 9); i wreszcie od początku XVI wieku, do upadku kraju, w którym według wyrażenia autora, „złamano średniowieczne przywileje, a urządzono państwo nowożytne, tak zwane *prawne*” (str. 9).

Podział taki, a następnie jego sprawdzanie, powiedzmy to z góry, nie uprzedziły nas wcale na stronę gruntowności sądów autora. Podział ten jest już błędnym z zasady, stosunek u nas bowiem wszystkich stanów kraju do panujących, był jeden przez całą epokę Piastów, różnice zjawiać się zaczęły dopiero od króla Ludwika; jak przeto pod względem tych stosunków, między pierwszym powyższym okresem a połową drugiego, różnicy nie było żadnej, tak znowu między dwiema połowami 2-go okresu były wielkie. Jest też błędnym według własnych sprawdzeń autora, jak wnet ujrzymy.

Od połowy XIII wieku, mówi autor, zaczął się okres nowy *patrymonialny*, odtąd bowiem „stosunek stanów do książąt polegał na wzajemnym kontrakcie określonym w licznych przywilejach” (str. 137). Lecz oprócz przywileju dla żydów z r. 1264, nie wiemy o żadnych innych przywilejach dla szczególnych stanów z owego czasu. Od połowy XIII wieku istotnie zjawiały się już i doszły do naszych czasów liczne urzędowe akta i przywileje; lecz były to przywileje, nadania, udzielane dla rozlicznych jednostek, dla szczególnych klasztorów, szczególnych miast, ale nie przywileje stanów.

Iż stosunek wszystkich stanów krajowych do książąt i królów, był jeden przez całą epokę Piastów i że ci książęta, królowie przez cały ów okres długi mieszały się w przywileje tych stanów, wskazać to może chociaż przelotne wspomnienie na dzieje ówczesne. „Naród polski, mówi p. Bobrzyński, w owym okresie drugim patrymonialnym, składał się z trzech stanów” (str. 137). Jakże to jednak były te trzy stany, według autora, tego nie wiemy. Na stronie bowiem 8 tak mówi: „Społeczeństwo polskie w okresie tym rozpadło się na *dwa* żywioły: polski i niemiecki, duchowieństwo utworzyło *stan trzeci*,” to zaś co mówi następnie na str. 137, jest jeszcze większą zagadką: „Książęta Piastowscy, mówi tu, przeprowadzili budowę społeczeństwa, opierającą się na *trzech* odrębnie rządzących się stanach: *kościelnym, duchownym i świeckim*.”

Musimy tu więc mówić o stanach, jakie były wtedy w kraju *de facto*, t. j.: *kniewiczym, miejskim, szlacheckim* i *duchownym* i o każdym z tych nadmienimy tu po kolei.

Iż stosunek *włościan* do książąt i królów takiż był w okresie pierwszym *patryarchalnym*, jak i w drugim, czyli tak zwanym przez autora *patrymonialnym* do końca XIV wieku, to widzimy z kronik, ustaw i innych świadectw z owego czasu. Zarówno np. Kazimierz Sprawiedliwy w wieku XII (zjazd w Łęczycy), jak Kazimierz W. w wieku XIV (statut wiślicki) rozciągali nad włościanami opiekę; zarówno zkądinąd, jako widzimy z nadań, los ich szczególny był rozstrzygany w obu tych okresach samowolą władzców, a nieraz w owym okresie drugim, więcej się daje widzieć właściwej patryarchalności, niż w pierwszym. Tak np. w nadaniu Konrada Mazowieckiego klasztorowi Czerwieńskiemu z r. 1222 (a więc w okresie 1-ym) czytamy, iż włościanie w nadanej wsi mają podlegać jurysdykcji opata pod każdym względem (*ne alienus obediat iudicio nisi sui abbatis*, *Kod. Rzyszcz.* t. I, str. 26); zaś w nadaniu Leszka Czarnego z r. 1280 (w okresie według autora drugim), książę ten rozpoznawanie dziedzictwa włościańskiego przy sobie zatrzymał (*excepta haereditaria questione. Cod. Tinec.* str. 47). Los włościan dopiero w drugiej połowie tego drugiego okresu, zwłaszcza z powodu ustaw Jana Olbrachta, znacznie się zmienił.

Co do *mieszczan*, Władysław Jagiełło dopiero statutem z 1420 roku, a więc w drugim okresie, zniósł ich *fraternitates* (cechy), a Jan Olbracht konstytucją z r. 1497 odjął obywatelom miast prawo nabywania dóbr ziemskich. Czy jest w tém dowód, że królowie w okresie tym nie mieszały się do spraw tego stanu?

Co do *szlachty*, zależność urzędów szlacheckich i w ogóle jednostek tego stanu, do królów, takaż była w okresie 1-szym i 2-gim i takżeż wzajemne stosunki zależne od charakteru jednostek nie przywilejów; takiż np. umieli i mogli czynić opór swym władcom wojewodowie z czasów Władysława Hermana i synów Krzywoustego, jak w okresie następnym z czasów Jadwigi i Jagiełły, a liczne w tym okresie udzielane przez królów przywileje szlachcie, jak Koszycki, Nieszawski i t. p. nie oznaczały także wcale „nie wtrącania się królów” do jej spraw.

Co do *duchownych*, wreszcie i tych stosunek do królów był jeden za całej epoki Piastów, a następnie tak do spraw tego stanu, jak do trzech innych, zarówno się wtrącali królowie. Równie np. w wieku XIV, jak XI, biskupi nie wahali się uciekać do kłatwy a królowie do zemsty, i tak np. *patrymonialny* Kazimierz W. równie postąpił z wysłańcem biskupa krakowskiego (Baryczką), jak *patryarchalny* Bolesław Śmiały z samym biskupem. W połowie XV wieku Kazimierz Jagiellończyk odjął przywilej kapitułom obioru biskupów i ten tronowi przywłaszczył.

Cóż więc znaczyło owo założenie autora, iż w okresie patrymonialnym, królowie nie wtrącali się do praw wewnętrznych stanów? Odpowiedź tém trudniejsza, iż jeden z ustępów tego okresu, w samej książce autora ma napis: „Kazimierz Jagiellończyk łamie przywileje stanów” (str. 213).

Jak okresu II-go, tak niezrozumiałe jest równie oznaczenie i okresu III. „W okresie tym, mówi p. Bobrzyński, złamano średnio-wieczne przywileje i urządzono państwo nowożytne, *prawne*.” Jakie to u nas okres ten złamał przywileje, nie widzimy z wykładu. *Fraternitates* miejskie, jak widzieliśmy, złamał już był Władysław Jagiełło w poprzednim okresie, a w nowym przywrócił je przeciwnie Zygmunt August i trwają dotąd; co zaś do szlachty, okres ten cały rozwijał tylko a nie łamał zdobyte przez nią w poprzednim przywileje. Na czym znowu polegała owa *prawność* nowego państwa i wogóle państw nowo-żytnych, nie objaśnił nam równie autor. Pisarze polityczni dzisiejsi są dziś najpowszechniej zdania, że samowola królów nigdy jeszcze do takiej potęgi nie była wzrosła, jak w wiekach nowych, od czasu zwłaszcza jak protestantyzm nauczył łączyć w ich rękach najwyższą władzę cywilną i religijną. „Jeszcze w połowie XVIII wieku (mówi Kolb w *Culturgeschichte*) ziemie i ludzie byli własnością panujących.” Państwa prawne, t. j. z określoną ustawą, powstały dopiero w naszych czasach. W Polsce, według autora, państwo prawne rozpoczął *Statut Aleksandra* z r. 1505, zastrzegający, że: „nic nowego odtąd król stanowić nie będzie, bez spólnej zgody stanów.” Ale podobny warunek mieliścił i statut Kazimierza Jagiellończyka z połowy XV wieku, zaręczający, iż król odtąd nie będzie miał prawa prowadzić wojen, „bez poprzedniej zgody prowincji” i podobną była jeszcze na początku XIV wieku w Niemczech deklaracja Henryka VII, iż: „Nie wydamy odtąd żadnego prawa bez poprzedniej porady naszych książąt i baronów;” państwa prawne uznałyby więc wypadło, iż zaczęły się już w wieku XV i XIV.

W taki sposób sprawdzone zostały w książce autora jego okresy, a sądy takie nie skłaniają czytającego do przyjmowania opierających się na nich i dalszych wniosków.

Książka p. Bobrzyńskiego z zadania pobieżnie tylko miała dotykać faktów, a być za to bogatą w rozumowania, tymczasem (wtrącić tu musimy uwagę) przeciwnie się stało. Słabą stroną okazały się w książce właśnie rozumowania, a fakta, lubo w zarysie, przedstawione zostały (przynajmniej w epokach pierwszych) krytycznie i trafnie. Właściwie, obraz swój dziejów Polski, podzielił, można powiedzieć, autor na dwa wielkie okresy. Na okres wzrostu państwa od początków do końca wieku XV: okres upadku państwa, i pierwszy z tych *con amore* przedstawił. Jeżeli okres drugi, to jest całość dziejów krajowych od początku XVI wieku autor naznaczył jedną czarną plamą, lubo nieomieszkiwał wzmianek i o świetniejszych rysach; tedy w okresie pierwszym potępił naodwrot; kreśląc dzieje krajowe z pierwszych pięciu wieków nie przepominał wzmiankować i rysów ujemnych, ciemnych i te jednak wnet białą barwą powlekać umiał. Po określeniu zwycięstw trzech Bolesławów, mówił np. o klęsce podziałów, o najściach Tatarów, dodaje jednak iż podział Polski na księstwa przyczynił się do usamowolnienia różnych części kraju od przesadnej centralizacji, do rozwi-

niecia w tych częściach gospodarstw, nowych urządzeń; a spustoszenia ziem przez Tatarów były źródłem przywoływania osadników z Zachodu i przenoszenia z nimi do kraju wyższej cywilizacji. Fakt nawet powszechniej w owym czasie przewagi Rzymu nad państwami Europy, wywołujący zwykle lament historyków, przez autora przychylnie jest wzmiankowany. W czasie tym, uważa, duchowieństwo dawne polskie żonate, rubaszne, zastąpione zostało przez nowe przejmujące się duchem swego odrębnego powołania. Przepłynąwszy w ten sposób przez wiry, tém sympatyczniej naturalnie kreśli następnie panowanie Łokietka, Kazimierza W. i pierwszych Jagiellonów. Kazimierzowi przebacza łatwo jego rozpustne życie, jego samowolności, nawet ustępstwo Pomorza Krzyżakom (i trzeba dodać Szlązka), a głównie zwraca uwagę na jego prawodawstwo. „Wielkim, mówi autor, stał się Kazimierz dopiero przez to, że oszczędzając sił narodu od bezużytecznych wyniszczających wojen (w następnym okresie, jak to wnet ujrzymy, każdy nieledwo rok pokoju pocztywał autor za zbrodnię królom), umiał je do pracy wewnętrznej skupić, i umiał w tej pracy całemu narodowi jasną pochodnią swego geniuszu i niezachwianą energią przodować.” „Mądrym zaszanowaniu i wzmocnieniu sił swoich przez Kazimierza W., zawdzięczała Polska swój pokojowy podbój Rusi i (następnie) Litwy, a połączeniu tych trzech narodów ówczesną przewagę swą w Europie” (str. 182).

Przy wzmiance o pokoju Toruńskim z r. 1466 (dopełniającym wcielenia Prus na ich żądanie), dodaje autor uwagę: „był to najświetniejszy tryumf jaki odniosła Polska nie już nad pogańską i barbarzyńską Litwą, ale nad cywilizowanym i wyżej w wielu względach od niej stojącym żywiołem niemieckim. Zawdzięczała to swemu ustrojowi politycznemu, który zapewniając siłę i powagę państwu, zostawiał jednostce i społeczeństwu potrzebne do rozwoju swobodę” (str. 216). Z pochwałą jeszcze mówi o rządach Olbrachta i Aleksandra, o pierwszym dla tego, że przyjacielem był Kallimacha „spółziomka Machiawellego, dążącego do zbudowania absolutnej władzy” i że na sejmach z r. 1493 i 1496, „obmyślano dla szlachty opiekę prawa, wprowadzono ład i porządek w sądy, zniesiono krępujące jej dobrobyt dawne postanowienia” (str. 231), drugiego że podobnie na sejmach z r. 1504, 1505 i 1506 korzystając z ogólnej niechęci przeciw możnowładzcom związał się ze szlachtą (str. 237.) Patrząc pod każdym względem różowo na wiek XV, autor w jego ogólnym obrazie także też między innymi uwagi wyraził: „potęga państwa zabezpieczyła kraj od najazdów, dawała swobodę pracy, rozszerzała handlowe stosunki. Wójtowie i syłtysi, liczbą swą równający się niemal szlachcie, chronili (lud) od wszelkiego ucisku” (str. 187). „Wzorowem gospodarstwem podnoszą się nietylko fortuny panów ale i zamożność narodu... a kiedy idzie o dopięcie szlacheckiej politycznej ambicji, o wystawienie obronnych zamków i zbrojnych zastępów... o podjęcie kosztownego poselstwa, *możnowładzca polski* z XV wieku, nie waha się całej fortuny swojej postawić na kartę; ludzie prawdziwie męskiego serca, szerszego na sprawy ogólnoeuropejskie poglądu, prawdziwie politycznego

rozumu i doświadczenia. . niedziw, że rządami swoimi zapisali najświetniejsze karty naszych ojczystych dziejów” (str. 189). Bardzo to pięknie, ale nie rozumiemy zupełnie, dlaczego autor, jak to właśnie widzieliśmy, uwielbiał króla Aleksandra, iż się łączył z przeciwnikami takiego możnowładztwa. Kontrast to taki, (że wspomniemy tu jeszcze) między owym określeniem epoki patrymonialnej, iż w niej królowie urządziwszy swe patrymonium, opierali się tylko na dochodach swoich dóbr, a tą udzielną przez autora pochwałą temuż Aleksandrowi, iż uorganizował nowe najwyższe urzędy, a między innymi: podskarbiego koronnego, który wydatki dworu królewskiego od wydatków publicznych odgraniczył (artykuł w *Ateneum* z r. 1876, t. II, str. 332, pióra autora *Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra*). Jeżeli teraz dopiero nastąpiło to odgraniczenie, to śmiać królowie przez ciąg okresu nieopierali się, tylko na dochodach swoich dóbr.

Po takim pomyślnym wroście i rozwinieniu, zdawałoby się, że musiał chociaż na czas jakiś i kwiat tej pomyślności dla dziejów kraju nastąpić, i istotnie czas ten kwiatu określają nasze kroniki z owego okresu, za niemi nasi dzisiejsi historycy, i nawet historycy cudzoziemcy, gdy czynią o czasach tych wzmiankę. Czasy rządów Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Batorego wzmiankowane są zawsze jako świetne, zwłaszcza rządy pierwszego z nich ze szczególnym odznaczeniem zawsze są określane.

Że poprzemy się pierwszym lepszym świadectwem jakie mamy pod ręką: autor *Historji Polskiej* w wielkim zbiorze *Historji Powszechnej*, wydanej w wieku zeszłym po angielsku, krótką ale dobitną dał charakterystykę panowania tego króla wyrażając: iż w ciągu 42 lat tego panowania, Rzeczpospolita odnosiła same zwycięstwa a nie zaznała żadnej klęski, (t. XXXI, str. 43 wydania z r. 1780). Historyk francuzki Solignac, opisywszy w swojej *Historji Polski* panowanie Zygmunta I, stosunkowo obszernie, poświęcił przy końcu kilka stronnic jego charakterystyce i zwróciwszy w niej uwagę na tę czynność, którą się ten król bez przerwy odznaczał, na te zwycięstwa, któremi kraj wstąpił, na ten stopień wewnętrznego kwitnienia, do jakiego go podniósł; wreszcie na tę cześć powszechną, w jakiej u postronnych monarchów zostawał, dodaje w przypisku: iż *podziela* zupełnie zdanie tych, którzy wyrażają, iż gdyby Karol V, Franciszek I, Zygmunt I, niepracowali spótcześnie, każdy z nich byłby równie godnym rządzić krajem drugiego i światym całym (*Hist. de Pol.* t. IV, str. 84). Nawet kreślący tak czarno naszą przeszłość w świeżo wydaném dziełku o upadku Polski v. Brüggem, wspomniawszy w niém o czasach *ostatnich Jagiellonów*, zowie je czasem *wewnętrznego blasku*, duchowych dążeń i t. d. ¹⁾. Kiedy tak obcy pisarze bez najmniejszego osobistego powodu oddają sprawiedliwość

¹⁾ Damals, im XVI Jahrhunderts, hatten glückliche Kriego der letzten Jagiellonen dem Polnischen Staate einem äussern Glanz, hatten geistigen Störungen etc. *Polen's Auflösung*, str. 41.

i dziejom naszym z wieku XVI i panowaniu Zygmunta I; p. Bobrzyński wysła się, aby dowieść, że wiek XVI był już całym wiekiem naszego upadku i że głównym sprawcą tego upadku był Zygmunt I. Cały ustęp poświęcony pamięci i rządowi tego króla, jestto szereg samych wyrzutów.

Przypatrzmy się im, a iżby jaśniej ocenić, wspomnijmy najprzód, jakim było panowanie Zygmunta I według historii. Zygmunt przybywszy z Głogowa dla objęcia tronu polskiego po bracie, nie znalazł go wcale bezpiecznym: Michał Gliński w związku z W. księciem Wasilem odrywał Litwę, wojewoda wołoski Bohdan z Wołochami i Tatarami niszczył południowe prowincje, mistrz krzyżacki (Fryderyk, a po nim Albert) odrywali Pomorze. Świetne zwycięstwa pod Orszą, pod Wiśniowcem, na Wołoszczyźnie, następnie w Prusach królewskich, i znowu nad Wołoszą pod Obertynem; czynność osobista królewska już na końcu w wyprawach, już dyplomatyczna na zjazdach sprawy: iż jak zaraz na wstępie zakłócony pokój prędko był wrócił, tak i całe długie panowanie tego króla było czasem, rzadko tylko i na krótko przezywanego, pokoju. Czas ten pokoju, Zygmunt nie na zabawy, zbytki i beczczynność, ale staraniom o bezpieczeństwo i dobrobyt kraju poświęcał. Celem obrony kraju przeprowadził on na sejmie z r. 1512 ustawę wojskową, znakomitą, jak mówi sam autor, i urządził władzę hetmanów. Urządził finanse własne (Jan Bonar). Litwie dał (odznaczony nawet wśród prawodawstwa społecznego) statut, wygotował podobny i dla Korony (kodeks Taszyckiego), w miarę środków czuwał nad dobrem włościan, nad dobrem miast, wzrostem oświaty. Za jegoto panowania ukazały się w kraju pierwsze druki polskie, i pierwsi autorowie piszący po polsku (Marcin Bielski); liczba druków łacińskich z czasów panowania tego nas doszłych jest do 2,000 (Estrejcher *Bibliografia Polska*), a wśród autorów tych publikacji spotykamy między innymi imiona powagi i sławy takiej jak Jan z Głogowy, Jan ze Stobnicy, Michał z Wrocławia, Wapowski, Kopernik, Kromer, Hozyusz, Dantiscus, Janicki i t. p. Panowanie to Zygmunta uświetnili wodzowie tacy jak Tarnowski, Kamieniecki, Ostrogski, Firlej, trzej Radziwiłłowie i inni, dyplomaci: jak Krzysztof Szydłowiecki, Tomicki, Jan Łaski i t. p. Samo nieszczęśliwe dla popularności króla małżeństwo z Boną wpłynęło podniektóremi względami (z powodu zbliżenia z Południem) na kraj doniekąd datnio. Sam autor zapomniawszy na chwilę swego systemu, a kreśląc obraz swój przedmiotowo, wyraził między innymi: „Odrodzone we Włoszech a wprowadzone do Polski za Zygmunta Starego nauki i sztuki klasyczne podniosły cywilizacyjnie ogół społeczeństwa, nadały mu świetny polski i otoczyły dziwnym urokiem i blaskiem” (str. 260).

Mimo to wszystko jednak, p. Bobrzyński, jak rzekliśmy, usiłuje wykazać, iż Zygmunt I, nietylko nic dodatniego nie sprawił, lecz owszem to co istotnie sprawił, była to tylko przepaść, do której kraj wleciał. Kreśleniu panowania tego króla poświęcił autor w zarysie stronic ośmnaście, a jawną stronność określa już sam nadpis tego ustępu, brzmi bo-

wiem: *Slabe (?) i krótkowidzące rządy Zygmunta I.* W rozwinięciu autor półsłowem zaledwo wspominał o niektórych zwycięstwach króla, nic o Statucie, nic prawie o Taszyckim; usiłuje zaś wykazywać iż król ten: poniżył miasta, lud wiejski zakuł w kajdany, związał ręce starostom a przez to i królom; iż przystawszy na oddanie domowi Habsburskiemu tronów Węgier i Czech, poniżył dom Jagielloński; iż trakta-tem z Albertem zhańbił swój kraj; iż wreszcie przez ustępstwo zrobione szlachcie pode Lwowem, zaszczerpił wieczną anarchią. „Monarcha ten, mówi autor, wszystkie wielkie postannictwa stawione Polsce przez jego własnych przodków, w ciągu czterdziestoletniego panowania od niej odsunął” (str. 248). Obaczmyż po kolei, sprawdzenia.

Na str. 252 autor mówi: „Już przedtem, w końcu XV w. odebrała szlachta samoistość duchowieństwu... *teraz* (za Zygmunta I) przyszła kolej na *miasta* i lud *wiejski*.” Dowody: „Postawiła szlachta zasadę, że kto służby wojennej nie pełni, niema prawa dóbr ziemskich posiadać i po kilkunastu latach uporczywej walki doprowadziła do tego, że jednych mieszczan do wyprzedania swoich dóbr zmusiła, innym do nich zamknęła przystęp.” Nabywania mieszczanom dóbr ziemskich wzbrowił nie Zygmunt, lecz konstytucya z r. 1496. Cóż winien był Zygmunt I, iż brat jego (Jan Olbracht) prawo to zatwierdził, że nie było mu wolno wzbraniać egzekucyi praw istniejących? Król ten zwolnił owszem przynajmniej od tego zabronienia dwiema konstytucyami z r. 1538 miasta pruskie i Kraków (*civibus bona terrestria... liberum sit deinceps emere, Vol. leg. wyd. Ohryz., str. I, 267*). Z przykłądu zaś tego korzystały następnie różnocześnie i inne miasta, jak Lublin, Poznań, Wilno i t. p.

W dowód uciśnienia stanowczo włościan, autor mówi: „Zabrano się najprzód do sołtysów, tych naturalnych stróżów swobody wieśniaczej i dozwolono szlachcie skupować sołtystwa; odkąd zaś dziedzic wsi został sołtysem, nikła dla osady wieśniaczej najskuteczniejsza rękojmią jej samorządu” (str. 253). Zwrócimy tu tylko uwagę, iż prawo sprzedaży sołtystw istniało w kraju *oddawna*, i że dozwoloném już było statutem z r. 1420 Warteńskim. *Et sic dominus soluta taxa... pro se sculletiam obtinebit*; zaś dalej: „po długiej, cichej, ale strasnej walce społecznej za Zygmunta I, który się wobec niej obojętnie zachował, przykuła szlachta chłopów ostatecznie do roli, a na sejmach z r. 1520 i 1521 wymogła tryumfująca szlachta *straszne, hańbiące* ustawy, w myśl których, każdy wieśniak *bez względu na swe dotychczasowe prawa* i przywileje, winien jest *na znak poddaństwa*, jeden dzień w tygodniu na gruncie pańskim pracować” (str. 254). Konstytucya o której tu autor mówi stanowiła, iż każdy osadnik dzierżący tak w dobrach szlacheckich jak i królewskich łan gruntu (i naturalnie jak to było powszechném w osadach, łąki, pastwiska, zabudowania i użytek z lasu pańskiego na opał i budowlę), winien był odrabiać za to właścicielowi dzień jeden w tygodniu, dodając jednak, iż ten obowiązek *nie stosuje się* do tych, którzy za osady płacili czynsze w pieniądzech lub zbożem, a także

i do tych, którzy już przedtem nie jeden dzień ale wiele dni w tygodniu odbywali”¹⁾. Z tego zatem wypada, iż obowiązek ów odbywania jednego dnia w tygodniu nie był na znak poddaństwa, lecz za użytki; iż mylném jest co wyraża autor, iż ten był bez względu na dotychczasowe przywileje, gdy niestosował się do czynszowników, i wreszcie, iż gdy z brzmienia prawa daje się widzieć, iż właściwie tak w dobrach prywatnych jak i królewskich odbywali już w innych miejscach nie po dniu ale *po wiele dni* w tygodniu, tedy prawo stanowiące iż *odtąd* nie może być wymaganém więcej jak dzień *jeden* roboty, nie rozumiemy zupełnie, dlaczegoby się uważać miało za straszne i hańbiące? Ustawy Jana Olbrachta a zwłaszcza z r. 1496, odnoszące jurysdykcyą włościańską wyłącznie do pana, z pewnością daleko więcej przyczyniły się do odjęcia swobody, a następnie ucisku włościan, niż ustawy Zygmunta I.

Z kolei wyrzuca autor Zygmuntowi I nie bezczynność lub iżby coś złego uczynił, ale to właśnie co chciał uczynić dobrze; więc np. owę ustawę wojskową, organizacyą władzy hetmanów, oddanie pod zatwierdzenie sejmu pracowicie i umiejętnie ułożonego kodeksu i t. p. Zarzut swój formuluje autor w ten sposób, iż jakoby król Zyg. nie korzystał ze zwiększonej władzy w swym ręku przez statuta króla Aleksandra i nie miał siły do przeprowadzenia egzekucyi swych projektów i praw (na str. 237). Autor mówi: „górowało w nowém państwie ciało świeżo powstałe, sejm walny, który w ustawach z r. 1505 sam sobie ostateczne granice przepisał.” Sejm ten (zastrzegający, iż żadne odtąd nowe prawo nie może być wydane bez wspólnej zgody stanów), zdaniem autora, nietylko dotychczasowej władzy króla *nieograniczył* (?), ale ją owszem zwiększył, bo *podawał sposobność* przeprowadzenia na drodze legalnej wszelkich najdalej sięgających zmian w ustroju społecznym i politycznym (str. 239). Podawał *sposobność* być może, ale nie *możność*. Jeżeli król nie mógł podobnie nadać Koronie kodeksu, jak Litwie, jeżeli nie mógł przeprowadzić egzekucyi ustawy wojskowej, to dlatego, iż jak stanowienie nowych praw, tak i wykład ich szczegółów nie mogły następować *sine communi consensu* panów rad i posłów (co nawet kraj pojmował w znaczeniu *nemine contradicente*), a temu winien był właśnie statut Aleksandra. Król Zygmunt uorganizował władzę hetmanów. Iż kraj odtąd stał jeszcze silnie dwa wieki, winien to głównie téj władzy, która umiała strzedz granic, począwszy od Jana Tarnowskiego do Sobieskiego. Autor jednak i tę instytucyą gorzko Zygmuntowi wyrzuca, „przez oddanie bowiem wszelkiej siły wojskowej

¹⁾ Oto jest dosłowne brzmienie téj konstytucyi: Statuimus et decernimus *perpetuo* observandum: quod omnes et singuli Coloni seu Kmetiones... de quolibet lanco *unam diem* septimatim laborent; *deemptis* his colonis qui *centu* pecuniario aut frumentario... dominis sui labores jam antea recompensarunt, et hoc proviso: quod haec constitutio non extendat se contra hos Colonos qui ratione possessi agri, *plures* fortasse *dies* in septimana, dominis suis et nobis laborare consueverunt. *Vol. leg. t. I, str. 179.*

pod władzę hetmanów, dopuścić, mówi autor, iż utracili znaczenie starostowie grodowi, na których w wiekach XIV i XV opierały się silne rządy królów." „Siła zbrojna, dodaje, służyła odtąd *tylko* do odpięrania nieprzyjaciół zewnętrznych, a starostowie utracili egzekutywę ¹⁾. Szczegół ten, drobny napozór w rozwoju naszym dziejowym posiada pierwszorzędne znaczenie, a rządowi Zygmunta I. daje smutne świadectwo" (str. 246). Dzieje nasze nie przedstawiają zażaleń na bezwładność starostów i owszem bardzo liczne na ich nadużycia. P. Bobrz: dla poparcia swojej uwagi wskazuje tylko na tę skuteczną pomoc, jaką otrzymał był Kazimierz Jagiellończyk od starostów przy egzekucji dwu swych energicznych pomysłów, a mianowicie: przy ściąganiu podatków, samowolnie przez siebie nałożonych w r. 1455, i przy wygnaniu obranego przez kapitułę krakowską biskupa, dla wprowadzenia swego elekta. Ale czynność starostów w pierwszym przypadku zdaje się, iż oprócz oburzenia powszechnego nie miała innego skutku, podatek bowiem ów samowolny, wnet przez sejm został zniesiony (Dług. pod r. 1456, toż i Kromer: *tametsi retractatum id decretum est*), a odjęcie kapitułom przywileju udzielonego im oddawna przez królów wolnej elekcji biskupów posłużyło do ujęcia powagi przywilejom królewskim. Przywłaszczenie nadto sobie przez królów téj elekcji stawało się przy każdej nominacji źródłem malkontencji i zamętów, bez którychby się obchodziło, niemówiąc już o religijnej niewłaściwości ²⁾. Przykłady autora nie popierały więc wcale jego żalu, gdyby nawet ten mógł mieć racją.

Przechodzi z kolei p. Bobrz. do zbrodni dyplomatycznych Zygmunta i czyni mu najprzód zarzut iż nie przeszkodził zaręczynom dzieci brata Władysława z wnukami cesarza Maksymiliana." „Zygmunt, mówi autor, nie tylko na projekt ten przystał, ale zjechawszy się z Władysławem na wielki kongres do Wiednia, obecnością swoją tryumf Maksymiliana i dynastji Habsburskiej nad Jagiellońską uświęcił" (str. 248). Przypominmyż bliżej ten fakt. Na tronach Węgier i Czech panowały elekcyjne dynastje, w wieku XIV i XV zasiadały na nich domy Habsburski i Luksemburski, następnie zasiadł Jagielloński. Przy wstą-

¹⁾ Autor znakomitej pracy: *Dzieje Polski*, Józef Szujski, w uwagach swych o obecnym *Zarysie* mówi: „Przyznamy się w pokorze ducha, że nie nie wiemy o sile zbrojnej, służącej do egzekutywy starostów, wiemy tylko o woźnych, którym dla bezpieczeństwa jeden szlachcic miał towarzyszyć. (Niwa, Czerwiec 893).

²⁾ Nasz historyczny erudyty-biograf Bartoszewicz, taką, w przedmowie do kroniki Piaseckiego zapisał uwagę: „Od czasu jak królowie przywłaszczyli u nas sobie prawo obierania na stolicę biskupią, księciół coraz więcej tracił ze swéj powagi, bo każdy z królów chętnie nagradzał przysługi dla dworu podejmowane jak kościelne. Dla tego to np. wszyscy podkanclerzowie i kanclerze nasi bywali biskupami i zajęci polityką, najmniej myśleli o swych obowiązkach biskupich."

pieniu na tron Polski Zygmunta, królem Węgrów był brat jego Władysław a czeskim syn Władysława Ludwik, mający po śmierci ojca objąć oba te trony. W r. 1515 odbył się w Wiedniu zjazd cesarza, Zygmunta i Władysława, na którym postanowiono dzieci Władysława i wnuków Maksymiliana połączyć związkiem małżeńskim. Zygmunt przystał zapewne chętnie na taki układ t. j. na związek swego synowca Ludwika z wnuczką cesarza a siostrą przyszłego Karola V, świetny ten bowiem związek utwierdzał a nie osłabiał dynastją Jagiellońską. Możnaż mu czynić zarzut, iż nie był prorokiem? iż w r. 1515 nie przewidywał, że w lat dziesięć Ludwik zginie pod Mohaczem, iż zejdzie bezpotomny, i że następnie w lat kilka stany węgierskie a po nich czeskie obiorą królem Ferdynanda ożenionego z siostrą Ludwika, i że tym razem dynastya Habsburska panować już będzie stale na obu tych tronach? Jeżeli przy owych układach wciśnionym był i warunek (jak to utrzymywał Ferdynand), że w razie zejścia Ludwika bezpotomnie, następstwo przejdzie na szwagra jego Ferdynanda, to na taki warunek Zygmunt nie mógł ani przystawać, ani nie przystawać, jak nie miały go prawa wciskać i same strony, bo wybór nowych dynastyi zależał od stanów państw nie od panujących. Jakoż stany węgierskie zaraz po śmierci Ludwika obrały królem swym księcia siedmiogrodzkiego Jana Zapolyę, brata pierwszej żony Zygmunta, a następnie męża córki jego i Bony: Izabelli, król ten uznany był w końcu i przez Ferdynanda i panował do śmierci. Następstwa umowy wiedeńskiej rozwinęły się zupełnie przygodnio, w czasie układów Maksymilian swatał pierwój siebie niż wnuka, a obu monarchom Maksymilianowi i Zygmuntovi chodziło wtedy z pewnością nie tyle o przyszłość ile o terażniejszość; pierwszemu o związki sąsiednie przeciw Franciszkowi I i Turcyi, drugiemu przeciwko Moskwie (którą dotąd Maksymilian popierał) i mistrzowi Krzyżaków. I cele te osiągnięte zostały.

Autor *Zarysu* tymczasem po złożeniu na karb Zygmunta obrotu wypadków, silniej jeszcze wymawia mu następnie odstąpienie prawem lennem siostrzeńcowi swemu Albertowi Prus Książęcych. P. Bobrzyński mówi: „potrzeba jeszcze było wytrwać *krótką chwilę*, należało *wszystkich sił* użyć a niebezpieczne gniazdo Krzyżaków byłoby samo upadło. Zygmunt dla chwilowej korzyści i miłego spokoju podpisał *hanbiący* traktat” (str. 251). Tych *wszystkich sił* używano już nieraz w walce z Prusami, *tęj krótkiej chwili* w którejby zakon sam upadł czekano od pokoju Toruńskiego, lecz powodzenia polskie były bez przerwy krzyżowane pomocą niemiecką, cesarską i samęj Stolicy apostolskiej. Obecnie (w r. 1525) z powodu przyjętego przez miasta pruskie i samego mistrza protestantyzmu, wyczekiwanie *tęj chwili* mogło przynieść przeciwnikowi bliższą jeszcze i skuteczniejszą pomoc tak Niemiec jak protestanckiej już Szwecyi. Zygmunt pospieszył więc skorzystać z pierwszego powodzenia i zawarł z siostrzeńcem traktat, mocą którego Pomorze i całe Prusy zachodnie

zostały już odtąd bezsporną i integralną częścią Polski, a wschodnie jej księstwem lennem, z warunkiem przejścia do Korony po wygaśnięciu dynastji, jak świeżo (w skutek właśnie takiegoż prawa) wróciło było do Korony księstwo Zatorskie. Iż Zygmunt wrócił tym sposobem krajowi prowincją i pokój a Albert złożył mu hołd na rynku krakowskim, cóż za *hawkę* można widzieć dla króla?

Wracając w końcu do ogólnych zarzutów i kończąc niemi swą charakterystykę obranego na ofiarę monarchy, autor mówi: „Zygmunt wykoleił szlachtę z dawniejszej jej roli, oddalił od niej te wielkie cele, do których dotąd nieskończonemi ofiarami zdążała, skazał ją na bezczynność i wydał na łup możnowładztwu” (str. 257). Jakże to były te wielkie cele, dla których szlachta ponosiła ofiary, autor ich nie objaśnia, a czytelnik domyślić się nie może, jak też i tego dlaczego dopiero Zygmunt wydał ją na łup możnowładztwu. Jeżeli dla możnej szlachty zebranej pode Lwowem uczynił to ustępstwo iż jej przebaczył, to dawniejszemi były te ustępstwa które uczynił był król Kazimierz Jagiellończyk w roku 1454 w Nieszawie i t. p. i wreszcie w obrocie owęj sprawy pod Lwowem, niewidziano oczywiście tryumfu panów nad królem, kiedy kraj tej wojnie ich z królem dał nazwisko *wojny kokoszej*.

„Zresztą, wnioskuje ostatecznie autor, małoduszna polityka Zygmunta Starego zapewniała wprawdzie Polsce w drugiej połowie jego panowania bezwarunkowy pokój, ale zaniedbanie wskazanego narodowi postannictwa (?) wtrąciło go w odmet *strasznej wewnętrznej anarchii* w tej właśnie chwili, kiedy wszystkie okoliczne państwa gorączkowo się organizowały i uzbrajały.” Spółczesny Hejdenstejn kreśląc swe poważne i dokładne opowiadanie dziejów od r. 1572—1594 wyraził w zaczęciu: „Zygmunt August ostatni potomek Jagiellońskiego rodu zostawił po sobie królestwo w tak świetnym stanie, w jakim nigdy wprzód nie było.” Po nim nastał świetniejszy jeszcze rząd Batorego, gdzież więc ta *straszna anarchia* w którą według autora wtrącił swój kraj Zygmunt I?.

Jak panowanie Zygmunta I, równie ujemnie to jest gwałtownie ujemnie kreśli autor panowanie jego następcy i wszystkich dalszych następców do upadku kraju, a przedewszystkiem czas bezkrólewia po Zygmuncie Auguście. Ten czas bezkrólewia, czyli wogóle druga połowa XVI wieku, było czas głównęj wagi w dziejach przeszłości naszej, czas bowiem kształtowania się i wyrabiania na sposób taki nie inny, całej tej przeszłości. Nie tém się odróżniła Polska od innych ludów, iż była umiłowiała swobody i miała instytucje ich duchem oddychające. Odznaczały się tą miłością swobód i miały instytucje podobne, wszystkie prawie zrazu ludy Europy, słowiańskie, latyńskie, germańskie i t. p.; ale odróżniła się była tém, iż kiedy te wszystkie ludy z upływem czasu zapomniały były tego ideału i przeszły do wprost odmiennych instytucji, Polska została jedną w wieku XVI, która pozostała przy tym idea- le i rozwijała go nietylko w zastosowaniach, lecz w drodze *rozwagi*.

P. Bobrzyński w którymś miejscu swęj książki mówi, iż takie panowanie jak Zygmunta I, „niemogło” wydać wielkich ludzi, a takie jak Zygmunta Augusta „niedopuszczało” ich ukazania się; geniuszów, zdaniem autora, zdolnym tylko był tworzyć „energiczny” Kazimierz Jagiellończyk i jako na dowód wskazuje między innymi na Jana Ostroroga. Autor mianowicie uwielbia *Pamiętnik Ostroroga*, podany na którymś z sejmów XV wieku. *Pamiętnik* ten podany i napisany oczywiście z natchnienia Kazimierza Jagiellończyka, a nacechowany grubością słów dla duchowieństwa i Stolicy apostolskiej (dla której król ten, syn Zofii Kijowskiej, nie był jak wiadomo ze szczególném uszanowaniem), był odznaczony istotnie energią słowa i śmiałością względem powszechnęj wtedy przewagi kościelnej. Wszakże właściwie obejmując tylko projekta lekkich reform w administracyi, ani porównywanym być może z tą wytrawnością i bogactwem dotykanych i rozbieranych szczegółów urządzeń społecznych, jakie widzimy w pisarzach politycznych z wieku Zygmuntoów, a jakimi byli np. Modrzewski, Orzechowski, Górnicki, Zamoyski, Goślicki, Warszewicki i tylu bezimiennych. Treść tych pism nie była to *utopia* spółczesnego Tomasza Morus, czyli wyspa z urządzeniami idealnemi, ale była to treść z życia praktycznego czerpana, do niego stosowana i tēm uderzająca, iż mimo narzekania w nich częste na bezład, na nadużycia, na ujemności z instytucyi krajowych, wspartych na swobodach, wyptywające, nikt jednak nie myślał o ich zniesieniu, a tylko o ich ulepszeniu i rozwijaniu, tak nawet, że najmniej przychylny ideałowi i wyraźnie kierujący do samowoli Krzysztof Warszewicki, traktatowi swemu czyli dyalogowi, który porady te mieścił, nie śmiał nadać innego nazwiska jak: *de optimo statu Libertatis*.

Jakie były następstwa dla kraju tego kierunku? Następstwa w sposobie pojmowania i stosowania tego kierunku obok dodatnich, były jednak jak wiadomo przeważnie ujemne, a mianowicie w tēm, iż do udziału w swobodach dopuszczaną była tylko jedna klasa w kraju szlachecka i że prawo służące każdej jednostce tēj klasy wolnego na sejmach *veto* sprawiało, iż właściwie nie każda z jednostek tych była wysoce wolną; lecz przeciwnie wszyscy, nawet łącznie stawali się niewolnikami jednego: prawo to zatrzymało możność stanowienia ustaw i zatrzymało życie krajowe. P. Bobrzyński jednak prawie nie wskazuje i nie narzeka na te ujemności, na tę mylność w pojmowaniu zasady, ale na samą zasadę; nie narzeka na złe użycie i nadużycia ideału wolności, ale na sam ten ideał. Wstrzymać kraj od upadku, dać mu szczęście, kwitnienie, mógł tylko, zdaniem autora, wcześniej zaprowadzony rząd silny, rząd absolutny. Tak np. na str. 256 zarzucając politykom polskim z XVI wieku, że nie pojmowali praw rzymskich, tak jak je pojmować należało, autor mówi: „nauka prawa rzymskiego z zasadą swoją, że panujący *stoi ponad prawem*, mogłaby wprawdzie *zbiawienne* wpłynąć na umysły szlachty, ale szlachta nie wnikała tak gęboko w naukę prawa.” W krytyce charakteru Zygmunta Augusta wyraża: „Zygmuntowi Augustowi brakło przedewszystkiēm hartu moralnego, nie zdawał sobie

sprawy, że szlachty polskiej do zbudowania absolutnej władzy może z łatwością użyć" (str. 277) i niżej: „Szlachta w r. 1565 występuje z projektem, ażeby w każdym powiecie król zaprowadził swego instygatora; projekt taki w ręku *mądrygo* i energicznego króla byłby się stał w jednej chwili narzędziem do zbudowania silnej, absolutnej władzy; Zygmunt nie umiał z tego korzystać" (str. 288).

Potępiwszy zasadę, a widząc że z tej zasady kraj w XVI wieku powszechnie wychodził, autor potępia naturalnie wszystkie bez wyjątku ówczesne wypadki, ówczesne jednostki, całą literaturę ówczesną i usprawiedliwiając swój pogląd, mówi między innymi: „Nie zmieni sądu naszego ta okoliczność, że pokoleniu temu śpiewał z Czarnogolasu Jan Kochanowski, że dla niego pisał dzieje Polski Kromer, że w jego imieniu zabierał głos Jan Zamoyski, bo *im szkodliwszemu kierunkowi* większe służą talenta, ten kierunek tém oczywiście szkodliwsze wydaje owoce. Zamoyski ogłaszał np., zdumionej szlachcie, że cały istniejący ustroj Rzplitej niedościgłym jest ideałem, który tylko w dalekiej starożytności urzeczywistnili w swiej Rzplitej Rzymianie; Polska jest ideałem wolności, każda jednostka słucha władzy i króla tylko o tyle, o ile mu się przez wolną elekcją poddała, państwo niepotrzebuje siły przymusu, bo szlachta mająca wniosłe cele przed sobą, tylko dla dobra kraju może i będzie występować i działać. Doktrynerzy rozsadzili i zneutralizowali zdrowe, trzeźwe pierwiastki stronnictwa dawnych posłów krajowych. Nie była to już dawna, zdrowe rady dzierżąca arystokracja, ale potworna oligarchia, która prywatę postawiła ponad dobro publiczne, która głosząc zasadę równości, zabijała nią każdy talent (?) i uczciwą ambicją, która ciemnych tłumów używała jako taran na rozbicie rozsądku politycznego" (str. 301).

Kraj tymczasem ze swego ideału, z owego kierunku wychodził całe trzy wieki; autor więc całe te trzy wieki jedną czarną plamą oznaczył, wszystkich królów, wszystkich hetmanów, wszystkich mężów stanu, wszystkie zwycięstwa, wszystkie instytucje i t. p. Dorywcość, cecha, która głównie odznacza cały wykład p. Bobrzyńskiego w obecném dziełku, nigdzie też nie wyraziła się tak dobitnie, jak w kreśleniu całej tej epoki. Wnioski bez zasad, połajania bez przyczyna, sprzeczności, obrazy i zdania bez rysów i nici loicznych, to jest charakter skreślonego przez autora zarysu całych tych trzech wieków. Dla objaśnienia przytoczymy tu po kilka własnych słów jego z kolejnych wypadków.

Jako na główne nadużycia z czasów pierwszego bezkrólewia i pierwszy płód rozuzdanej swobody, autor wskazuje na konfederację z r. 1573 (ogłaszającą między innymi tolerancją wyznań i konieczność spólnej elekcji królów przez dwie połowy państwa), oraz na *pacta conventa*, o których mówi: „*Pacta conventa*, słowo w Polsce dotychczas nieznanne, jest niewątpliwie najgorszym, potwornym, pierwszego bezkrólewia płodem." Wtrąćmy jednak, iż nie objaśnił autor co w samej tej idei paktów widział tak zdrożném. Iż np., wszyscy nasi królowie

wskutek przysięgi na *pacta conventa* starali się strzedz tolerancyi, że np., taki August II przywrócił Polsce Kamieniec; nie mówiąc już o najpierwszych *pactach conventach*, które podał był Władysław Jagiełło starając się o tron Polski i które dotrzymał, co te pakta miały w sobie tak złego i potwornego?

Batory był wielkim królem, wypadło więc złącać sam naród choćby za jego przeszłość, tak więc zaczął autor opowiadanie o jego rządzie: „Upadł naród dlatego, że się w bezczynnym pokoju zamknął, musiał się podnieść z chwilą, w którejby siły swoje znowu do wielkich zadań skierował i skupił. Pojął to wybornie Batory” (str. 311). Lecz cóż? „obłąd wolności zamącił głowy szlacheckie i uczynił z nich masę objawiającą swoje siłę w wykrętnych teoryach i szkodliwych krzykach, a niezdatną do żadnego silnego, zgodnego, samodzielnego występu.” (str. 310). Jakże bez tej zgody, choćby na pobory (jak miało to miejsce po kilkakroć), król ten mógłby odbyć tyle szczęśliwych wypraw? dokonać tylu organizacji trybunałów, kozaków, akademii i t. p.

Z rysów rządu Zygmunta III, za trafną uznać trzeba uwagę autora, iż rokosz Zebrzydowskiego stał się źródłem ujemnych następstw przez to, iż król mimo uśmierzenie go, zamiast cofnięcia zatwierdził prawa anarchiczne (mowa tu jest zapewne o konstytucjach z r. 1607 i 1609 *de non prestanda obedientia*). Zkądinąd jednak zagadkową jest dla nas następna charakterystyka tych rządów: „Wojna moskiewska skończyć się musiała na zajęciu kilku prowincyi, turecka na odparciu groźnego najazdu, szwedzka dłuższym rozejmem, (dotąd nic złego); naród zniechęcił się do wojny i nie miał udziału w 30-letniej, była to dobrowolna, *szkodliwa bez miary* abdykacja. Z martwym kolosem przestawano się liczyć” (str. 362).

Gorzéj jeszcze wypadła charakterystyka syna Zygmunta, Władysława i jest jeszcze większą zagadkowością. Oto jej słowa: „Pokojem Polanowskim zrzekł się Władysław IV praw swych do korony carów, Moskwa zaś odstąpiła wszelkich roszczeń swoich do ziemi siewierskiej, czernihowskiej, smoleńskiej, Estonii, Kurlandyi i Infant. Amurat Abazę śmiercią ukarał i pokój dla Polski korzystny w r. 1634 uroczyscie odnowił. Szwecya grody zajęte w Prusiech Polsce zwróciła.” Ale następna neutralność „przynosząca Polsce (co złego?) długoletni pokój, była zarazem *ostateczną oznaką* (?) jej zupełnego na zewnątrz i wewnątrz upadku” (str. 369). „Pauowanie Władysława IV jest w dziejach Polski tém panowaniem, które *przepelnilo czarę* naszej niedoli” (str. 375).

Po tém przepelnieniu czary nastały rządy Jana Kazimierza, ale charakterystyka tego króla (zapewne z powodu jego projektów burbońskich) niespodzianie przychylniej wypadła: „pan, mówi autor, mężny w boju, trzeźwy i doświadczony w radzie, energiczny w postanowieniu, nieugięty w nieszczęściu” (str. 376). (Dlaczegoż abdykował?).

Przy Sobieskim wypadło znowu połącać *naród*.

Oto są rysy tego króla, (najprzód jako hetmana):

„Sobieski poparty przez Prażmowskiego, człowieka rzadkiej stanowczości, postanowił z głupotą szlachecką raz skończyć, konfederacye siłą rozproszyć, niedołęzną lalkę (Wiśniowieckiego) z tronu strącić, a księcia de Longueville na nim osadzić i swawoli położyć tamę” (str. 399). „Górował niewątpliwie Sobieski nad całym społeczeństwem, które go otaczało miłością, poświęceniem, talentem i bohaterstwem, ale to społeczeństwo zepsute i upadłe i jego ku sobie zniżało” (str. 405).

Zagadką nad zagadki jest charakterystyka następcy Sobieskiego:

„Dopiąwszy pierwszego celu t. j. tronu polskiego, umiał też August II *wszystkiemi siłami* zwrócić się ku dalszemu celowi, ku złamaniu samowoli polskiej, a narzuceniu Polsce silnych, jeśli można absolutnych rządów. Na nieszczęście August nie był takim człowiekiem, hulaka i rozpustnik trwonił swoje dochody na czcze festyny i szalone orgie” (str. 413). Cóż więc znaczyły słowa, że *umiał wszystkiemi siłami* zwrócić się ku temu celowi?

Tu następuje z kolei wewnętrzny obraz kraju epoki saskiej. Jeżeli autor tak nie żałował farb czarnych kreśląc blaski, łatwo zgadnąć jaki być musi koloryt czasów, w których rzeczywiście większość rysów nie była białą. Autor objaśnia, iż był to już czas jawnego upadku i że głównymi hasłami owego czasu, a zarazem bezpośrednimi już sprawami upadku kraju były: *nietolerancya, oligarchia, niewola ludu wiejskiego, rozstrój wewnętrzny* i każdą z tych cech możliwie dobitnymi słowami stara się kreślić. Zdaniem naszym autor w tym razie miał wszelkie prawo do użycia dobitnych określeń. Lekarstwo, iżby skuteczne było, musi być gorzkie; lekcyja błado kreślona niebyłaby lekcyją, sztuka wreszcie bez pewnej przesady niebyłaby sztuką. Trafną jest nawet, zdaniem naszym lubo smutną następną uwagę, którą autor ze stanowiska wewnętrznego poglądu do owego czasu stosuje:

„Sejm pacyfikacyjny (z r. 1717 za Augusta II), jest objawem zupełnie podobnym do tego kompromisu, którym się sto lat przedtem rokosz Zebrzydowskiego zakończył. Wówczas naród i wszystkie jego stronnictwa powiedziały sobie: na co nam walczyć o przeprowadzenie formy rządu, skoro usiłowania nasze na bezowocne narażają nas trudy; wszakże ze złotą wolnością używać będziemy złotego na *wewnątrz* pokoju. Teraz cały naród powtórzył to samo rozumowanie i do polityki *zewewnętrznej* je zastosował; na co nam starać się o utrzymanie wielkiej siły zbrojnej i dawniej politycznej na zewnątrz przewagi, skoro to nas tak drogo kosztuje; abdykujmy lepiej ze wszystkiego głosu w Europie, dajmy naszym sąsiadom gwarancyą, że zawsze pozostaniemy bezsilni i słabi, a kiedy nie będziemy nikomu groźnymi, wszyscy nas zostawią w spokoju” (str. 423). Nie rozumiemy tylko zupełnie następnego do tych uwag dodatku: „Apatya ta narodu polskiego w epoce saskiej przetrwała i po tej epoce. Historya XVIII wieku to *jeden obraz* grubego materyjalizmu pozbawiony światła.” Dwie połowy XVIII wieku zbyt były u nas niepodobne do siebie tak pod względem wewnętrznym jak zewnętrznym, iżby je można mianować *jednym obrazem*.

Po przedstawieniu w ten sposób rysu dziejów krajowych, kończy go autor rozdziałem mającym napis *uwagi*, t. j. zapisaniem ogólnych wniosków, które zapewne były i kluczem i głównym celem całego dzieła.

Autor w wykładzie zarysu wskazywał na główne rany narodu o którym pisał, a w uwagach objaśniał dlaczego mianowicie te rany zakończyły się śmiercią. „Mieliśmy, mówi autor, liczne wady, ale któryż naród ich nie miał? Każdy jednak znosił je po kolei, a u nas nie nastąpiło to nigdy.” Czemu? oto dla tego iż: „nie mieliśmy rządu i to jest jedna, jedyna upadku naszego przyczyna.” P. Bobrzyński na każdej karcie wskazywał jednak na wady naszego rządu, ten więc był oczywiście; ale czegoż właściwie brakło? oto usposobionych należnie rządzców, na jakich niezbywało innym krajom i objaśniając to bliżej, dołącza autor dosyć ciekawą kolekcją swych ideałów: „Tak kiedy Francya, mówi, posiadała Franciszka I i Henryka IV, Anglia Henryka VIII (!) i Elżbietę, Hiszpania Karola V i Filipa II ¹⁾, Austrya Ferdynanda (któregoto z Ferdynandów autor pozazdrościł?), Szwecya Gustawa Wazę i Karola Sudermańskiego, Rossya Iwana Groźnego; my jedni mieliśmy słabego poczciwca w Zygmuncie Starym, tchórzącego przed każdym czynem (przed Unią czy Ketlerem?), Zygmunta Augusta, spiskującego na naszą zgubę ²⁾ Zygmunta Wazę i t. d.” (str. 447.)

Mało to jednak, że mieliśmy niedołężnych królów; nie mieliśmy nadto żadnej znakomitej jednostki w kraju przez całe ostatnie trzy wieki. „Wszystkie nasze najwybitniejsze osobistości, mówi autor, z trzech ostatnich stuleci: Tarnowski, Zamoyski, Zebrzydowski, Żółkiewski, Lubomirski, Potocki, Czartoryski, nie mówiąc o mniejszych, to ostatecznie postacie bez krwi i życia” (str. 448). Zwolennicy tych postaci cieszyć się tylko mogą, że autor wysilając się na wyszukanie zarzutów, położył tylko tak jawny kontrast z rzeczywistością; niektórym z owych postaci jak np. Zebrzydowskiemu, Lubomirskiemu, prędkójby już można zarzucić zbytek krwi.

I wreszcie kończąc swoje uwagi, autor wtrąca myśl jakby uboczną, ale szczególnie odbijającą we wnioskach ostatecznych i w książce, poświęconej z zadania rozmowemu wykładowi przebytych dziejów, czyli historyozofii. Oto wyraża i rozwija przez całą stronicę myśl, iż kraj polski byłby zapewne szczęśliwym, gdyby zamiast rozpraszenia swych kapitałów (?) po dalekim Wschodzie, zatrzymał się był w grani-

¹⁾ Autor zapomniał oczywiście co sam był wyraził na str. 343 o tymże królu: „Trzeba przeczytać wstrętne pismo Warszawickiego *de opt. st. lib.* zalecające Polsce despotyzm Filipa II, aby ocenić i t. d.

²⁾ Jestto oczywiście aluzya do sławnej plotki z pierwszych lat panowania tego króla, o której najtrafniej powiedział ówczesny podkanclerzy Tarnowski: „Możnaż dopuścić, iżby ktoś kopał dolki pod sobą samym?” i która była podobną do téj, jaką o tymże królu rozszerzał w Szwecyi Karol Sudermański, iż nie był on synem króla Jana, ale podrzutkiem.

całi i przy tym kształcie rządu, jaki był za Kazimierza Wielkiego (str. 450). Historia, a tém więcéj historyozofia, nie znają „gdyby” i niemamy bynajmnieéj prawa zaprzeczać autorowi trafności jego pomysłu, jak podobnie nie mielibyśmy prawa przeczenia, gdyby który z mieszkańców owego Wschodu, rozmyślając o swoich losach, wyraził uwagę naodwrot. Moglibyśmy rzec tylko, iż autorowie podobnych zdań uczyniliby trafnie, gdyby zamiast pisania książek o dziejach i celach dziejów, pisali je raczéj o dobrobycie własnym. Myśl ta jednak otwiera zarazem, wtrąemy, oczy czytelnikowi, a mianowicie, iż autor jéj, prawoznawca, o niewłaściwą dla siebie zaczepił sferę, chcąc zostać historyozofem. Ze sfera ta jest mu obcą, objaśnić to może i niejedno wyrażenie użyte w książce.

Tak np. na str. 455 autor mówi: „Nie przyszło żadnemu Polakowi, aż do ostatnich lat XVI wieku na myśl, że jakieś *wyjątkowe posłannictwo* dostało nam się w udziale.” Ze jednostce w dzieciństwie nie przychodzi to na myśl, co przychodzi w wieku dojrzałym, to bardzo naturalne. Nietylko Polakowi, ale żadnemu członkowi ludzkości, nie przychodziły podobne myśli za dzieciństwa ludzkości. Lecz dziś inaczej. Równie ziemia jak niebo, pojmuje to dzisiaj każdy, dziełem są jednéj Myśli, jednéj Harmonii (Mądrości). Każdy szczegół na ziemi, jak szczegół na niebie, ma swój cel, pewną czynność, jest pewném ogniwem. Każdy atom ma swój cel, posłannictwo, jakoż tém więcéj lud. Faktto tak naturalny i jasny, że i sam autor, jak to widzieliśmy, używa nieraz tego wyrazu posłannictwo, w tém tylko myląc się, że mówił o zaprzeczaniu przez lud swemu posłannictwu; twierdzić, iż ktoś może zaprzeczyć swéj misyi, jestto wyznawać, że się nie rozumie, co to jest misya. Daną misyę możemy pojmovać lub nie pojmovać, lecz ta spełnia się niezależnie od obcéj wiedzy albo niewiedzy. Każdy przytém ma misyą *własną*, ta więc nie może być inną jak *wyjątkową*.

Na stronie 12 autor mówi: „Unosiliśmy się nad wielkimi wypadkami przeszłości, nad postaciami wielu naszych królów, hetmanów, biskupów, szanowaliśmy przedewszystkiém *tradycyą historyczną*, jaka się wyrobiła o pojedynczych postaciach dziejowych.” Tradycya nie jest i być nie może wynikiem forsy; dziełem jest ona Woli, biegiem dziejów rządzącéj i jest więcéj właśnie jedną ze *wskazówek* historyozoficznych.

Na stronie 219: „Wydobywał się już w drugiéj połowie XV wieku brzask nowożytnych czasów, w których działalność człowieka o wiele szersze objąć miała zakresy, a myśl ludzka piąć się nawet *poza te naturalne granice, jakie jéj zakreśliła Opatrzność*.” O tém co zakreśliła Opatrzność, możemy właśnie dowiadywać się z tego dopiéro, co się staje.

Na stronie 430 wyrażając, iż cały wiek XVIII miał u nas jeden obraz, czy autor nie pamiętał o drugiéj jego połowie, o ustawie 3 maja? Pamiętał, ale taką z tego powodu dołączył naukę: „Niéma nie błędniejszego nad to, jeżeli ktoś głośnie wypadki z ostatnich chwil Rzeczypospolitéj rozciąga na cały naród. Wszystkie plany i przedsięwzię-

cia ówczesne wychodzą tylko od *szczupłego zastępu* ludzi i upadają wszystkie, nie wyjmując konstytucyi 3 maja."

Nie krocie Hebreów dawnych miały przymiot i dary proroków; nie krocie Greków: poezyi i filozofii; przymioty te w jednym i drugim kraju, miało zaledwo po kilka jednostek, od tych jednostek jednak mianowane są całe ludy ich charakterem. Tak i w państwie roślinnym imię i zaletę rośliny oznaczają nie jój gałęzie, jój liście, ale jój *kwiat*.

Lecz co najjawniej ujmuje historyzoficzności dzieła autora, jest to zakończenie dziejów krajowych rokiem 1772. Rok ten był owszem punktem zwrotu w tych dziejach; kraj się w nim spostrzegł, przerodził, a kończąc swą misyą dawną, przed śmiercią, ozwał się, że się tak wyrazimy, pieśnią łabędzią (3 maja), pieśnią pierwszą w rodzaju swoim w Europie całej (I ustawa paryzka była o rok późniejsza), a którą Europa cała w pół wieku miała naśladować, powtórzyć. Ta pieśń i owa dawna misya zjednały mu spótcucie obszerne. Autor jednak chce mu zaprzeczyć prawa do tego współczucia, chce mu je odjąć; płacze, iż obraz dziejów, które kreślił, nie mógł być jednym z tuzinkowych.

Co do głównych lekcyi autora, jak rzekliśmy, nie roztrząsamy ich zasad; obaczmy jednak czyli? i co? nam w tój rzeczy, nawet owo modne dzisiaj kryterium: doświadczenie, może powiedzieć. Zbliżymy tu kilka faktów, biorąc jeden z dziejów naszych krajowych, drugi z ogólnych.

Okres Sasów byłto zapewne z najsmutniejszych naszój historii, cóż w nim jednak ujrzyć też można? oto: obok stałego pokoju, obok dobrobytu jednostek, ten nadto fakt, iż na tój rozległej przestrzeni, na której w wieku XV tyle było odmiennych gwarów i ciągłych swarów, teraz widać było przeciwnie obraz jednostek połączonych jednym wewnętrznym duchem i jedną mową. Taki skutek wydały rządy owych słabych, łagodnych, a dla wymagań prowincjonalnych, ustępstwa tylko czyniących królów; kiedy tymczasem cała np. surowa i wytrwała (albowiem cztery wieki trwająca) energia Solimanów, Osmanów, nie widać wcale, iżby wydała podobny skutek na półwyspie Bałkańskim. Spójrzmy także, iż tę zasadę, za którą potępił autor nasz wiek XVI, w wieku następnym przyjął i umiejętnie rozwinął kraj inny. Na tronie tego kraju, od czasu przyjęcia tój zasady, zasiadają dotąd, mógąc wyrażeniem autora, „bezsilne lalki;" krajowi temu nikt jednak nie zarzuci zapewne braku potęgi.

Na tém skończymy przyczynę.

Panu Bobrzyńskiemu literatura nasza, mimo niedawno przezeń rozpoczęte prace, winna już wiele. Winna prawoznawcze oceny, opracowania źródeł, badania i traktaty w przedmiocie dawnych ustaw krajowych. Lecz świetny na polu monografii pracownik. Jest (w tém dziełku przynajmniej, o którym mówimy) żadnym historyzofem.

D o p i s e k.

Mówiąc głównie w powyższym *Przyczynku o rozumowaniach* w Zarysie p. Bobrzyńskiego, nie dotykaliśmy prawie faktów, kreślonych. Z powodu jednak pewnej nowości w przedstawieniu, i podniesieniu przez krytykę jednego z tych faktów, a mianowicie małżeństwa ks. Wilhelma z Jadwigą: dotknijemy tu tego przedmiotu. Według najpewniejszego świadectwa Długosza, który był domownikiem rodziny Jagiełłów, kanonikiem krakowskim, i stąpił po świeżych śladach tego wypadku: Jadwiga i Wilhelm połączeni byli związkim ślubnym w kościele, jeszcze w małości, ślub ten jednak nie miał waloru jako małżeńskich; panowie polscy przeto mając inne projekta, nie wpuścili przybyłego księcia na zamek, królowa w orszaku dworzan i pańien służebnych widywała się z nim czas jakiś w refektarzu klasztoru Franciszkanów; za zbliżeniem się jednak Władysława Jagiełły, książę zemknął, pozostawiwszy nawet swe skarby u przyjaciela Gniewosza. Pan Bobrzyński wypadek ten tak opisuje: „Wilhelm ujrzawszy Jadwigę na tronie, do Krakowa zjechał i *wspólnie z nią jako prawy małżonek na zamku zamieszkał*. Uroczyście ten dzień obchodzono w Krakowie, bo miasto to niemieckie rade było widzieć na tronie polskim niemieckiego księcia; wśród ogólnej uciechy uwolniono nawet więźniów zamkniętych w ratuszu i zapisano to w aktach” (str. 174). Profesor Szujski w uwagach o zarysie p. Bobrzyńskiego dotknąwszy tego faktu, mówi: „Z kłopotu zapewne wydobędziemy czytelnika, przytaczając źródło, na którym opiera się twierdzenie p. Bobrzyńskiego o doszłym rzeczywiście ślubie Jadwigi i Wilhelma. Jestto zapisek księgi miejskiej krakowskiej z r. 1385, w IV tomie *Monumenta medii aevi historica*, usuwający wątpliwość.” Naszém zdaniem wątpliwość ta nie jest jeszcze jednak zupełnie usunięta. Notatka o której tu mowa wyraża: „Nadmienia się, iż w wigilię św. Bartłomieja po odbytem weselu królowej Pani, poleconém i proszoném było przez nią królowę Panią, aby wszyscy więźniowie którzy się znajdowali wtedy w więzieniu miejskiém byli uwolnieni,” co też i nastąpiło, a uwolnieni więźniowie wymienieni tu szczegółowie, (tekst brzmi: *Notandum quod in vigilia Sancti Bartolomei post nuptiarum domine regine consummationem comissum et rogatum fuit per eandem dominam reginam ut captivi omnes etc*). Ślub Jagiełły z Jadwigą odbył się w dniu 17 lutego 1386 r., notatka powyższa odnosi się do dnia 23 sierpnia 1385 roku, wniósł więc p. Bobrzyński, iż uwolnienie więźniów nastąpiło z powodu przybycia do Krakowa i zamieszkania z królową księcia Wilhelma. Zwrócimy tu jednak uwagę najprzód, iż notatka nie wymienia nazwiska męża królowej, powtóre iż mowa tu jest nie o consummatione *matrimonii* ale *nuptiarum* t. j. o odbytem obrzędzie ślubnym; obrząd ślubny królowej nie mógł być inny jak uroczysty, przy asystencyi głównych dygnitarzy, i dopełnionym przez dygnitarzy: możnaż przypuścić, aby po tak solennym obrzędzie, mąż królowej mógł

być usuniętym z zamku, iżby jednocześnie ciż dygnitarze mogli zamyślać o projekcie, iżby Jagiełło mógł jechać do poślubionej pary, a nade wszystko, iżby w kilka miesięcy po tym obrzędzie ślubnym mógł nastąpić drugi obrzęd ślubny bez wyjednania dyspensy, i iżby śladów dyspensy oraz korespondencji o dyspensę nie było w aktach kapituły krakowskiej, a gdyby była, iżby o tém wszystkim nie wspominał Długosz. Nam się zdaje, że powyższa notatka o uwolnieniu więźniów odnosi się do ślubu z Jagiełłą i do r. 1386, uważać bowiem można (z tego przynajmniej co widzimy w druku), iż w utrzymaniu akt i szykowaniu foliów księgi miejskiej nie było ścisłego porządku; tak np. (na str. 18), znajdujemy notatki z r. 1370, a niżej dopiero (str. 23—27) z r. 1360; dalej podobnie (str. 34) rok jest 1371, a następnie dopiero 1370: folium na którym jest owa notatka, należy do folium na którym jest nadpis: *Actum sabbato ante sancti Barnabae*, a zatem około 11 czerwca, a w dniu tym nie mogło być wzmianki o tém co się stać miało około 24 sierpnia. Jeżeli folium o którym mowa należy do 1386 r., trudność zostałaby tylko co do dnia i miesiąca; wszakże jeżeli przypuścić można, że obyczaje wieku dozwalały aby z powodu *consummationis matrimonii* zawartego już przed kilku laty, uwalniano więźniów, tedy mogłoby to nastąpić i z powodu *consummationis matrimonii* zawartego przed kilku miesiącami; być mogło także iż uroczystości i nowe położenie królowej nie pozwoliły jej pomyśleć wcześniej o więźniach, lub też że teraz dopiero nastąpiły instancje za więźniami. W każdym razie jeżeli opowiadanie autora fundowało się tylko na téj notatce, tedy cała sielanka o radości Niemców w Krakowie była wprost wpływem fantazyi, uwolnienie bowiem więźniów nie przez Niemców ale z instancji królowej nastąpiło.

W KRÓLESTWIE POLSKIEM *).

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

II.

Prawowitość akcyzy od cukru nie może być podawaną w wątpliwość, skoro fabryki cukru nie mają żadnego tytułu do wyjątku od zasady ogólnej, wedle której każda gałąź przemysłu krajowego winna się przykładać do wytwarzania funduszu, potrzebnego na wydatki państwowe, wszędzie z konieczności będące ciężarem ogółu. Na budżet państwowy składają się wszędzie wszystkie bez wyjątku kategoriey ekonomicznej działalności kraju; więc i fabryki cukru do odpowiedniego w téj składce udziału pociąganemi są bardzo właściwie i najzupełniej sprawiedliwie.

Prawowitość podatku, a jego podstawa, wysokość i rozkład: są to przecież pojęcia najzupełniej odmienne. Przemysł cukrowniczy nie mógł się być łudzić, iż opodatkowania uniknie; miał przecież tytuł oczekiwać, iż podstawy, wysokość i rozkład akcyzy pomiędzy fabryki temu ciężarowi poddawane, nie odbiegną od wyników nauki i rozwojowi cukrownictwa nie położą tamy. Jeżeli zaś na wzmiankowaną wyżej ujemną stronę systemu podatkowego w Królestwie, można było niezwracać uwagi wówczas, gdy tenże podatek był umiarkowanym; dziś jednak ta kwestya przedstawia się zupełnie inaczej, skoro, jak to wkrótce wykazemy cyfrowo, rzeczony podatek przeistoczył się w ciężar bardzo wysoki i na losy przemysłu cukrowniczego wywiera wpływ bardzo doniosły.

Wprawdzie, dział o podatkowości jest działem bezwątpienia najtrudniejszym z całej nauki ekonomii politycznej i społecznej; podatek bowiem oddziaływa na wszystkie inne prawa i obowiązki jednostek w każdym społeczeństwie, na samą pracę i produkcją, a nawet i na zamianę międzynarodową. Nauka ekonomii jest przecież rozwiniętą do tego stopnia, że pewne jej zasady mogą być poczytywanemi za pewniki, z którymi każdy statysta ma obowiązek się liczyć i które winien przyjmować za punkt wyjścia, ilekroć pragnie by podatek przez niego projektowany nie oddziałął szkodliwie na rozwój pomyślności kraju.

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

Pewniki w przedmiocie podatkowości podawane przez naukę, a mające niezaprzeczoną dla społeczeństwa doniosłość, dają się streścić jak następuje:

a) Podatek powinien poprzestawać na odpowiedniej części w korzyściach otrzymywanych przez opodatowanego, zagarniać pewną część *dochodów*, jakie przynosi ta jego działalność, która ma się właśnie przykładać do ogólnych ciężarów państwa; nie zaś sięgać po część samej substancyi przyrządów, któremi się ona posługuje. Podatek padający na substancyę nie zaś na dochód z majątku, prowadzi społeczeństwo do zubożenia i bardzo łatwo może znieść źródło, z którego czerpać pragnie, zrujnować i zniweczyć sam przedmiot opodatowany (*matière imposable*)¹⁾.

W zastosowaniu do fabrykacji cukru, przeistaczającej materiał surowy (buraki) na towar i przedmiot spożycia, podatek powinien przede wszystkim i głównie brać za podstawę *czysty dochód* każdej fabryki w każdej kampanii, i zagarniać jedynie *odpowiedni procent tegoż dochodu*.

Podatek od czystego dochodu z każdej kampanii niema żadnego podobieństwa ani żadnej łączności z tak zwanym podatkiem *dochodowym*, usilnie przez pewną szkołę zalecanym, a przeciwko któremu społeczeństwa bronią się z bardzo wielu i bardzo poważnych względów. Podatek dochodowy opieraćby się musiał na zbadaniu, ile każdy mieszkaniec kraju ma czystego dochodu ze wszystkich źródeł razem; kiedy przeciwnie, podatek od czystego dochodu każdej kampanii fabrycznej, pada nie na mieszkańca kraju, nie na jednostkę, ale na proceder, na dane przedsięwzięcie pojmowane odrębnie od jednostek, na daną gałąź przemysłu, nie uwzględniając stopnia zamożności tych, którzy tenże przemysł prowadzą.

b) Podatek powinien być *umiarkowanym*, a więc pozostawiać dla opodatowanego część dochodów odpowiadającą poczynionym przez niego w dane przedsięwzięcie wkładom i zachodom, a tém samém ani jemu, ani innym nie odejmować części do zwracania kapitału i pracy w tę gałąź przemysłu, jaka do uiszczania składki na potrzeby publiczne jest właśnie pociągana²⁾. Do téj równowagi między interesem osobistym

¹⁾ *L'impôt doit être prélevé sur les bénéfiques, sur le revenu du contribuable* uczył już Sully (*L'impôt*, 2-e partie, p. 1.). *L'impôt doit être réparti de façon à n'exiger de chaque contribuable qu'une quote-part proportionnée au chiffre total de son revenu particulier* wyklada H. Passy. (*Dictionnaire de l'économie polit.*, str. 90, t. 1). *L'impôt est, en principe, assis sur le revenu* powiada Edouard Vigneau. (*Traité élémentaire des Impôts en France* (fr. 3). Téj treści cytacye możnaby zestawiać bardzo długo, patrz np. *Etude sur les impôts et sur les budgets des principaux Etats de l'Europe*, par Felix Cohen, Paris 1865, str. 9 i nast.

²⁾ „*L'impôt doit être modéré, c'est-à-dire n'exiger qu'une faible partie du revenu des citoyens.*” (Joseph Garnier, *Traité de Finances*, str. 178).

jednostek, a interesem budżetu państwowego należy zawsze dążyć, skoro ona jest bezwątpienia jednym z warunków ekonomicznego rozwoju w każdym kraju, i jedną z potężnych dźwigni ogólnego dobrobytu.

Zakreślenie granicy dla tego umiarkowania wchodzi już w zakres zadań statysty, powołanego do projektowania ustaw podatkowych. Spełniając to zadanie, nie może on wprawdzie zapominać ani o potrzebach budżetowych, ani o zamierzeniach fiskalnych; jednocześnie przecież ma obowiązek uwzględniać zdolność podatkową téj gałęzi przemysłu, jaką obciążyć zamierza, jój rozwój, jój ważność dla ogólnej ekonomii kraju, i przy ustanawianiu stopy procentowej, jaką odnosi do owego czystego dochodu, wzmiarkowaną równowagę zachować nienaruszoną.

e) Podatek powinien być rozłożonym *sprawiedliwie*, mianowicie zaś uszanować zasadę *równości* wobec każdego ciężaru publicznego, która znowu znajdując swój wyraz w *proporcjonalnym*, w *jednakowym* traktowaniu wszystkich, jeden i tenże sam przemysł podejmujących. Jestto zasada szczególnie doniosłości w stosunkach ekonomicznych, skoro każde odstąpienie od równości wobec podatku, nietylko się sprzeciwia pojęciom i poczuciu sprawiedliwości, ale wytwarzając zarazem przywilej na korzyść tych, którzy płacą podatek stosunkowo mniejszy, utrudnia lub uniemożliwia konkurencją dla każdego, obciążonego stosunkowo więcej ¹⁾.

W związku z tą zasadą: nauka stawia ten jeszcze pewnik:

d) Że wszelkie urządzenia podatkowe obmyślane być powinny w taki sposób, iżby dla każdego z opodatkowanych pozostawiały jak najmniejszą możność naruszenia owéj równości, czyli inaczej, by zapobiegały, ile się da, premiom obniżającym kosztu produkcji dla tych, którzy też premia dla siebie wytwarzając, zajmowałiby stanowisko mocniejszego względem wszystkich płacących podatek stosunkowo wyższy. Nie mogłaby bowiem ostać się wtedy harmonia społeczna, a tem

„Le législateur doit mettre la plus grande attention à ce que l'impôt ne dépasse jamais la portion du revenu que le contribuable peut économiser. C'est là le *maximum*, parceque, je le répète, au delà est la ruine du pays. (Rossi, *Fragment sur l'impôt*, t. 4, str. 235).

W regulach znowu stawianych przez J. B. Say'a (*Traité*, t. 3, roz. 9) czytamy co następuje: „Les meilleurs impôts ou plutôt les moins mauvais sont les plus modérés quant à leur qualité, ceux dont le fardeau se répartit équitablement, ceux qui nuisent le moins à la reproduction...”

1) „D'après les idées modernes sur la justice distributive au sein des sociétés, la répartition des charges doit se faire en vertu du principe d'*égalité* entre les contribuables. Ce principe d'égalité est conforme à l'*équité*. Toute exception et privilège a pour effet d'augmenter la charge des autres: elle est une iniquité au point de vue social et politique, de plus une erreur et une cause de perturbation au point de vue utilitaire et économique.” (Joseph Garnier *loco citato*, str. 42. Rozwinięcie tejże reguły, tamże str. 177).

samém konkurencya między produkującymi przeistaczałaby się w zapasy ze wszech miar niesprawiedliwe ¹⁾).

e) Nauka wskazuje jeszcze te reguły: podatek niepowinien w żadnym razie tamować swobody ruchu, potrzebnej dla pomysłności przemysłu, czyli kępować go formalnościami kontroli i poboru ²⁾, i sama podstawa podatku i sposób jego poboru, powinny być jak można najprostsze i o ile się da najoszczędniejsze ³⁾. Nauka zaznacza także, iż jest rzeczą pożyteczną poddawać rozkład podatku pod kontrolę opodatkowanych, jako w utrzymaniu owęj sprawiedliwości i równości zainteresowanych najbliżej ⁴⁾.

Główną wreszcie zaletę podatków pośrednich upatruje w tój ich właściwości, iż one się zespalają z ceną rzeczy opodatkowanej i w jej skład wchodzą; nie przypuszcza bowiem, iżby mogły nie wyłącznie dotykać konsumentów ⁵⁾.

III.

Każdemu, kto rzucił okiem na zasady zestawione w rozdziale poprzedzającym, nasuwają się pytania: czy i jak dalece te zasady uwzględnionemi są przez systemat podatku od fabrykacyi cukru, istniejący w Królestwie, i jakie na ten przedmiot poglądy przeważają w sferach, mających doniosły wpływ na przyszłe losy tój gałęzi przemysłu? Chcąc na te pytania odpowiedzieć, odczytaliśmy prace przygotowawcze od tych właśnie sfer pochodzące; szukając zaś zarazem wątku idei przewodniej, jaka tym pracom towarzyszy, cofnęliśmy się wstecz nawet do materyałów dawniejszych, mniemamy bowiem, że poznanie tój właśnie idei, byłoby w tym przedmiocie stanowczo decydującem ⁶⁾. A jakkolwiek za-

¹⁾ „L'assiette et la perception de l'impôt doivent être organisés de façon à laisser au contribuable la moindre facilité possible d'échapper à ses obligations.” (Joseph Garnier, *loco citato*, str. 181).

²⁾ „L'impôt ne doit en aucun cas entraver la liberté nécessaire au succès de son industrie.” (Sully, *loco citato*).

³⁾ L'assiette et la perception de l'impôt doivent être organisées de la manière la plus régulière, la plus simple, la plus économique.”

„L'impôt doit tendre à l'unité de base et de perception, c'est-à-dire à la simplicité.” (Joseph Garnier, *loco citato*, str. 181—185).

⁴⁾ L'impôt doit être contrôlé par les représentants des contribuables, pour établir de plus en plus l'équitable répartition des charges” (tamże).

⁵⁾ L'impôt indirect est moins sensible pour le contribuable, par ce qu'il se confond avec le prix des choses.” (E. Vignes, *loco citato*, str. 4).

⁶⁾ *Trudy Kommissiji Wysochajsze utwerzdennoj dla peresmotra sistemy podatej i sborow.* Tom IX. Petersburg, w drukarni Bezobrazowa, 1863. *Žurnal zasiedanij Kommissiji i czenow ekspertow po razmotreniju woprosow ob akcyzie z tuziemnaha i poszlinie z priwoznaha sahara.* Petersburg, w drukarni Majkowa, 1871. *Dokład predstavlenyj Gospodinu Ministru Finansów Ko-*

przezyć temu nie można, iż rzeczony prace statystów z r. 1879 stoją o wiele wyżej od takichże prac z r. 1862 i 1871 i niewątpliwie zaskują na uznanie; jakkolwiek z pism i publikacyi z r. 1879 płynie dowód, iż rozbiorowi materji o podatku od fabrykacyi cukru towarzyszy gruntowna znajomość strony technicznej, czyli sposobów tejez fabrykacyi; baczna uwaga na systemata takiegoż podatku w innych istniejące krajach, i staranne zebranie danych statystycznych zagranicznych i miejscowych: niepodobna przecież w tych materiałach, pomimo tylu ich zalet, dopatrzeć się owęj idei przewodnięj, któraby na sam systemat podatkowy wywieraa wpływ dominujący, i wybitną kładła na nim cechę.

Z odczytania wymienionych prac wyprowadziliśmy wprawdzie wniosek, iż rozpowszechnienie użycia cukru, zwłaszcza między ludnością włościańską, nie jest obecnie tą ideą przewodnią, w imię której projektowano w r. 1862, by do tanioci cukru dojść przez podwyższenie akcyzy, przy jednoczesném obniżeniu cła od puda cukru surowego, wchodzącego z zagranicy i lądem i morzem, do 1 r. 50 kop., od rafinowanego zaś do 3 rubli (!?)¹⁾; iż dzisiejsze zapatrywania zgodnemi są ze zdaniem złożoném w r. 1871 przez jednego z członków ówczesnej komisji, które to zdanie wyrażało, że wobec obniżenia się cen puda cukru z 12 r. 80 kop. w r. 1856, do 6 r. 80 kop. w r. 1871, kwestya tanioci straciła pierwotne swoje znaczenie²⁾.

Nie jesteśmy wszakże w możności z dostateczną pewnością wyzrec, jaki jest obecnie gówny cel tylu statystów: czy tym celem jest mianowicie dalszy rozwój przemysłu cukrowniczego i zachowanie dodatniego wpływu tegoż przemysłu na rolnictwo krajowe; czy protekcya dla fabryk krajowych w konkurencyi z zagranicznymi, czy rozwój międzynarodowego handlu i polepszenie stosunku między ogólnym wywozem i ogólnym przywozem towarów, przez ułatwienia wywozu cukru za granicę; czy wreszcie, zwiększenie dochodu skarbowego bez względu na skutki dla przemysłu i handlu. Każdą bowiem

missiej dla razsmatrienija woprosów ob akcyzie z tuziemnaho i poszliny z priwoznaho sahara. Petersburg, w tejez drukarni, tegoż roku 1871. Izsledowanija nad rabotoj sokodobywatelnych snarjadow, przez b. profesora Instytutu rolniczego rz. rad. st. Eugeniusza Andrejewa. Ekonomiceskija Usłowja swiekłosaharnaho proizwodstwa w Rossyi, przez starszego rewizora Departamentu dochodów niestałych Aleksieja Jermołowa. Obzor razlicznych sistem wzimania nałoga z sahara w Europie, przez tegoż. Kratkij oczerk sowromennaho sostojanija swiekłosaharnych zawodow Imperii i Carstwa Polskaho w techniceskom odnoszenij, przez technika Departamentu dochodów niestałych Wiktora Andrejewa. Razwitije swiekłosaharnaho proizwodstwa w Rossyi, przez rz. rad. st. Eugeniusza Andrejewa. Żurnał Kommissiji po peresmotru Ustawa ob akcyzie z saharnaho piesku.

¹⁾ *Trudy komm...* str. 66 i 67.

²⁾ *Żurnał zasiedanij* str. 95.

z tych konsyderacyi wyczytać można w wymienionych pismach, każda przecież postawioną jest luzno, a żadna z nich nie stała się wyraźnym drogowskazem, wznesionym na to, iżby zapobiegał zmyleniu kierunku w drodze już z samej natury przedmiotu nadzwyczaj do przebieżenia trudnej ¹⁾. Ponad wszystkimi innymi konsyderacyami zdaje się przecież dominować wzgląd na potrzeby budżetu państwowego, skoro cyfra zamierzeń fiskalnych, kilkakrotnie w rzeczonych pismach stawiana (10 milionów rubli), znalazła miejsce nawet w ostatecznych wnioskach komisji ²⁾.

Nie podnosząc w tém miejscu pytania, jaki los spotyka wszelkie zamierzenia fiskalne, ilekroć norma lub wysokość podatku do tego stopnia czynią tenże podatek uciążliwym, iż on nietylko powstrzymuje dalszy rozwój gałęzi przemysłu, na którą spada, ale nawet pociągając jej ruinę, zmniejsza przedmiot mający przynosić skarbowi dochód *matière impossible*; i nie roztrząsając, o ile staje się zadosyć owym zasadom nauki, ilekroć przy obmyślaniu podatków, zamierzenia fiskalne zajmują stanowisko górujące, skoro wtedy zasady te muszą zawsze pozostać w cieniu: jesteśmy wszakże w konieczności zaznaczyć, iż rzeczone pisma wyczerpując wszystkie inne strony przedmiotu, pominięły przecież stronę bardzo ważną, być może najważniejszą, a mianowicie, *stosunek między cyfrą podatku a cyfrą czystego dochodu fabryk*, i nigdzie nie wspomniwały, jaka część tegoż dochodu powinna pozostać na korzyść tychże fabryk.

Cyfra czystego dochodu większej liczby fabryk, a przynajmniej tych, które należą do spółek bezimiennych, nie mogła przecież być dla statystów żadną tajemnicą, skoro jest wskazywaną w drukowanych corocznie sprawozdaniach i bilansach tychże towarzystw. Bez zwrócenia zaś uwagi na stosunek między cyfrą podatku a cyfrą czystego dochodu fabryk, o granicach umiarkowania fiskalnego nie może być mowy ³⁾.

Mamy pod ręką sprawozdania i bilanse z pięciu fabryk w Królestwie, wykazujące, że one zapłaciły akcyzy w przecięciu: w r. 187¹/₂

¹⁾ Porównać: *Razwitijsje...* str. 231, 232. *Izslidowanijsa* str. 102, 103, 104. *Obzor* str. 18, 81. *Żurnał Komissii* str. 5, 6, 25, 26 i 27.

²⁾ *Żurnał Komissii*, str. 27.

³⁾ Cyfrę czystego dochodu każdej fabryki można także obliczyć temi sposobami: 1. od przecięciowej ceny sprzedażnej puda cukru odjąć koszt produkcyi tegoż puda; resztę, z odejmowania pozostającą, pomnożyć przez ilość produkcyi tegoż puda; albo 2. koszt produkcyi odniesione do jednego centnara, lub berkowca buraków, pomnożyć przez liczbę centnarów, lub berkowców przerobionych w ciągu kampanii, ten zaś iloczyn odjąć od sumy wypadającej z pomnożenia ceny sprzedażnej puda, lub kamienia cukru przez ogólną liczbę pudów lub kamieni cukru wyrobionych w ciągu kampanii. Te zaś dane widzimy w drukowanych sprawozdaniach fabryk na Ukrainie, Wołyniu i Podolu.

31,56⁰/₀, w r. 187⁶/₇ 37,1⁰/₀, w r. 187⁷/₈ 29,82⁰/₀ z dochodu, jaki pozostał ostatecznie do rozpłaty między skarb i akcyonaryuszów ¹⁾, Z przecięcia lat trzech, skarb pod tytułem akcyzy otrzymał więc 29,82⁰/₀, akcyonaryusze zaś 70,18⁰/₀ z dochodu przypadającego do rozdziału. Ten stosunek procentowy jest bezwątpienia wymowniejszym od wszelkich rozumowań i wywodów nauki; zauważony przez statystów, mógłby być wpłynąć na umiarkowanie samychże zamierzeń fiskalnych, wątpliny bowiem, iżby którykolwiek inny przemysł pociągany był do oddawania pod nazwą podatku tak wielkiej części pieniężnych swych rezultatów.

Jakoż, akcyza obliczana i pobierana wedle zasad dotychczasowych, właśnie dla tego, iż w rzeczywistości niejednakowo obciąża produkcją cukru, jest niewątpliwie *podatkem od fabrykacji* od procederu, *nie zaś podatkiem konsumcyjnym*.

Ściągając akcyzę od wódki z chwilą gdy ona, wychodząc z gorzelnii, wprowadzana jest w cyrkulacją handlową, można nie zwracać uwagi na stosunek między podatkiem a czystym dochodem przemysłu gorzelnianego; pobierając jak we Francji akcyzę od gotowego cukru w chwili, gdy on wychodząc z fabryki, wprowadzanym jest w taką cyrkulacją, można się także nie troszczyć o stosunek między podatkiem a czystym dochodem przemysłu cukrowniczego. W obu bowiem razach akcyzę płaci wyłącznie kupujący, czyli ostatecznie sam konsument; wysokość przeto podatku na dochód fabryki, a nawet na pobierane przez nią ceny za sprzedawany wyrób *nie ma bezpośredniego wpływu*, nie tworzy bynajmniej oddzielnej rubryki kosztów produkcji i na tenże przemysł oddziaływa tylko pośrednio w taki sam sposób, jak wszystkie inne postronne wpływy, podnoszące lub zmniejszające ogólny dobrobyt i stopień konsumcyi wszystkich wyrobów, jak na każdy przemysł oddziaływa rozwój lub zastój handlu.

Z podatkami pobieranymi od fabrykacji, od procederu, rzecz ma się zupełnie inaczej. Nie spadają one bowiem na konsumentów, ale zwiększają kosztą produkcji, przeistaczając się w jeden z jej czynników. Wysokość akcyzy *oddziaływa przeto bezpośrednio* na przemysł do podatku pociągany; na ogólny zaś dobrobyt, na mniejsze lub większe upowszechnienie użycia cukru, na jego ceny sprzedażne, na handel zresztą mają tylko wpływ *pośredni*.

¹⁾ Przeciętny czysty dochód tych pięciu fabryk może być właściwym punktem wyjścia do wszelkich obliczeń, skoro: a) jedna z tych fabryk jest największą w Królestwie, dwie są wielkości średniej pod względem siły dziennego przerobu buraków i liczby centnarów przerabianych w oiągu jednej kampanii, dwie wreszcie małe, skoro łącznie dorównywają dopiero każdej z dwu poprzedzających, pod jednym i pod drugim względem; b) przedstawiają oba systemata fabrykacji cukru, prassowy i dyfuzyjny i c) jedna z tych trzech kampanii była wyjątkowo pomyślną, druga wyjątkowo niekorzystną, rezultaty zaś trzeciej poczytywać należy za średnie.

Oto są cyfry wyjęte z drukowanych sprawozdań:

Istnieje więc radykalna różnica w znaczeniu, w cechach i w następstwach podatku od fabrykacji i podatku konsumcyjnego; o tój róż-

Fabryki Cukru.

Rozliczenie	Józefów	Ostrowy, Walentynów i Tomczyn	Dobrzelin	a w przecięciu z 5 fabryk.	
	Ruble i kopiejki			akcyzy	dywid.
rok 187 ⁵ / ₆					
przewyżka dochodu nad wydatki, nie strącając z niego akcyzy	178141,21	461623,99	187865,96	} 31,56 ⁰ / ₀	} 68,44 ⁰ / ₀
po strąceniu z niego rezerw, amortyzacji i t. d. wypłacił skarbowi akcyzy	55066,54	90007,83	31395,69		
akcyonaryuszom dywid.	68000	242640	72000		
ta wypłacona suma	123066,54	332647,83	103395,69		
rozdzieloną więc została w stosunku: skarbowi akcyzy	44,75 ⁰ / ₀	27,06 ⁰ / ₀	30,36 ⁰ / ₀		
akcyonaryuszom dywid.	55,25 ⁰ / ₀	72,94 ⁰ / ₀	69,64 ⁰ / ₀		
rok 187 ⁶ / ₇					
przewyżka dochodu nad wydatki przed uiszczeniem akcyzy	162890,03	304347,56	118401,59	} 37,1 ⁰ / ₀	} 62,9 ⁰ / ₀
po strąceniu z tegoż dochodu rezerw, amortyzacji itd. wypłacił:					
skarbowi akcyzy	36859,95	96252,19	32184,90		
akcyonaryuszom dywid.	59500	166680	54000		
	96359,95	262932,19	86184,90		
czyli skarbowi	38,25 ⁰ / ₀	36,60 ⁰ / ₀	37,34 ⁰ / ₀		
akcyonaryuszom	61,75 ⁰ / ₀	63,40 ⁰ / ₀	62,66 ⁰ / ₀		
rok 187 ⁷ / ₈					
przewyżka dochodu nad wydatki przed uiszczeniem akcyzy	157548,33	568089,71 ¹ / ₂	220771	} 22,86 ⁰ / ₀	} 77,14 ⁰ / ₀
z tój przewyżki po strąceniu rezerw, amortyzacji itd. wypłacił: akcyzy	19992,60	97485	31722,41		
dywidendy	68000	312480	112000		
razem.	87992,60	409965	143722,41		
czyli skarbowi	22,74 ⁰ / ₀	23,78 ⁰ / ₀	22,07 ⁰ / ₀		
akcyonaryuszom	77,26 ⁰ / ₀	76,22 ⁰ / ₀	77,93 ⁰ / ₀		
z sumowania zaś tych 3- ch kampanii: akc. r. 490,967,11 akcyonaryuszom 1,155,300 czyli dla skarbu 29,82 ⁰ / ₀ dla akcyonaryuszów 70,18 ⁰ / ₀					

Uwaga. W obliczeniu pominięte części tysięczne ułamków. Potrącenia na rezerwy, amortyzacje i t. d. objaśnimy niżej, we właściwym miejscu.

nicy nie można się wszakże niczego doczytać we wzmiankowanych pismach. Wnosić przeto należy, iż one nie zwróciły na nią uwagi, zaczęm znowu poszło, iż i ów stosunek między podatkiem i czystym dochodem fabryk był zupełnie przepomnianym.

IV.

Przystępując przed laty 30 do opodatkowania fabrykacji cukru, rzuciono okiem na systemata podatkowe w innych istniejące krajach, i z tych systematów wybrano jeden. Być może, wówczas trudno było postąpić inaczej, skoro cukrownictwo jako przemysł dopiero się rozwijający i w kraju nowy, nie dał był jeszcze tego poznać, iż całą swą organizacją oprze na zupełnej jawności rachunkowej, iż nad wszystkimi szczegółami fabrykacji sam zaprowadzi najdokładniejszą kontrolę; słowem, że działać będzie *au grand jour*, a nawet postawi się w niemożności działać inaczej. Nie były się też jeszcze potworzyły towarzystwa akcyjne fabryk cukru i więcej niż obecnie liczono takichże fabryk, będących w posiadaniu jednostek, nie zaś jak dziś, spółek udziałowych lub bezimiennych.

Wobec tej organizacji przemysłu cukrowniczego, jaka się ukształtowała przez sam czas, możnaby wszakże do innego na systemata podatkowe dojść poglądu, gdyby rutyna nie stawała temu na przeszkodzie. Rutyna ma jednak na sprawy ludzkie wpływ donioślejszy, niżby to na pozór zdawać się mogło: ulegają mu bezwiednie nawet umysły bardzo bystre. I temu wpływowi przypisać zapewne należy, iż nie została dotąd zwróconą uwaga na ową właściwość organizacji cukrownictwa w Cesarstwie i Królestwie, mającą ten skutek, iż ono należy do tych rzadkich gałęzi przemysłu, na które przychodzi najłatwiej ustanawiać podatek uwzględniający pewniki stawiane przez naukę i bez potrzeby szukania wzorów za granicą, gdzie organizacja fabryk cukru rozwinęta się być może inaczej.

Nic bowiem nie staje temu na przeszkodzie, iżby akcyza poprzestając na danej części czystego dochodu fabryk, przeistoczyła się w podatek sprawiedliwy, równo czyli jednakowo rozłożony, ściągany bez żadnego prawie kosztu, a więc najbardziej racjonalny. Nadanie akcyzie tych wszystkich cech ułatwia owa organizacja fabrykacji cukru, na jawności oparta.

Jakoż założenie i prowadzenie fabryki cukru, wymaga tak znacznego kapitału, iż zadanie to w regule ogólnej przechodzi siły i możność jednego człowieka. W regule ogólnej wszystkie fabryki cukru są własnością spółek albo akcyjnych albo udziałowych. I w jednych i w drugich kontrola, księgi i rachunkowość muszą i w rzeczywistości są prowadzone z wszelką możliwą dokładnością i ścisłością, a nawet z pewnego rodzaju pedanterią, jakiej szukalibyśmy nadaremnie w niejednej instytucji rządowej.

Fabrykami spółek akcyjnych administrują zarządy tychże spółek, obowiązane do składania rachunku ogólnym zebraniom akcjonaryuszów, tak bowiem mieć chcą odnośne przepisy i nawet sama natura rzeczy. Coroczne sprawozdania i rachunki tych zarządów ulegają przedewszystkiemu rozpoznaniu komisji rewizyjnych, wybieranych przez rzeczone zebrania ogólne. To wszystko, przy względzie na interes pieniężny znacznej liczby akcjonaryuszów, będący zawsze w grze, sprawia ten skutek, iż owe sprawozdania i rachunki są zawsze prawdziwym obrazem stanu każdej fabryki i jej corocznych rezultatów, tak dalece, że umieszczane w tych aktach cyfry czystych z każdej kampanii zysków są zawsze matematycznie prawdziwemi.

Bez żadnej przeto obawy o narażenie na szwank interesu skarbowego, możnaby na tych cyfrach podatek oprzeć i za podstawę do corocznego obliczenia je przyjąć.

Fabryki znowu należące do spółek udziałowych zarządzane są przez jednego z uczestników każdej spółki, wybranego na administratora przez tychże uczestników. Składa im on także co rok sprawozdania i rachunki, zupełnie tak samo jak zarządy w spółkach akcyjnych; cyframi zaś tych sprawozdań i rezultatom rachunkowym nie można również odmówić najpełniejszej wiarygodności.

Rękomią tej wiarygodności jest przedewszystkiemu interes osobisty akcjonaryuszów i uczestników tych spółek, będący, jak wiadomo, potężną dźwignią każdej działalności ekonomicznej. Żaden z agentów skarbowych nie strzeże interesu fiskalnego tak pilnie, jak oni strzegą swęj własnej kieszeni. Każdy uczestnik sprawdza i oblicza, jaka będzie wysokość przypadającej nań dywidendy, stanowiącej nawet jedyną dlań środek utrzymania, ilekroć w nabyciu akcji lub udziału spółkowego włożył całe swoje mienie. Każda zresztą korzyść spółki, w stosunku jej uczestników i akcjonaryuszów z jej administratorami i zarządami, przybiera znaczenie grosza publicznego: niedokładne jej wykazanie lub ukrycie byłoby nadużyciem, a raczej hańbiącym oszustwem. Przeszłość wszystkich spółek cukrowniczych w Królestwie żadnem tego rodzaju nadużyciami zaciemnioną nie jest, a nawet takie nadużycia są absolutnie niemożliwemi, skoro jeszcze obok tylu osób zainteresowanych w rezultatach fabryki, stoi jednocześnie na straży wiarygodności ksiąg i kontrol fabrycznych niemniej żywy interes dyrektorów, techników i całej służby działającej na miejscu w każdej fabryce. Każdy z nich otrzymuje corocznie mniejszy lub większy udział z korzyści obliczanych właśnie na podstawie rzeczonych ksiąg i kontrol. Oprócz cząstki uposażenia jedni biorą tantiemy, czyli oznaczone procenta od czystego zysku fabryki; inni wynagrodzenia dodatkowe, w razie gdy manco na ilości zakupionych buraków nie przechodzi pewnego *maximum* — wynagrodzenia stosunkowane miarą oszczędzonej fabryce na témże manco straty; inni zresztą jednorazowe gratyfikacje w pomyślnych dla fabryki latach. Każdy z nich jest nieodstępnym świadkiem i nieobojętnym widzem całego ruchu w fabryce; nadużycie przeto i fałszo-

wanie kontrol, ksiąg i rachunków, niedałoby się w żadnej fabryce pojąć inaczej, jak przypuszczając znowę dyrektora i całej służby fabrycznej z zarządami lub administratorami spółek, czyli niedowierzanie posuwając do *absurdum*.

Spółceństwo rosyjskie jest zupełnie nieznanem i obcemu piszącemu te uwagi; pomimo to jednak poważa się on mniemać, iż fiskalna nieufność, obawiająca się przyjmować w Cesarstwie za podstawę podatkową ksiąg i rachunków fabrycznych, jest posuniętą zadaleko i że społeczeństwo rosyjskie na taki brak wiary zasługiwać nie może. Że zaś także księgi i rachunki fabryk cukru w Królestwie dostarczają zawsze *danych* ścisłych, matematycznie dokładnych i najzupełniej wiarogodnych; to tenże piszący, w skutek studyów i własnego przeświadczenia, zalicza do pewników nieulegających żadnej wątpliwości.

Wzgląd na fabryki cukru, mające tylko jednego właściciela, przy obmyślaniu zasad podatkowych, nie może wprawdzie być dla skarbu obojętnym; znaną jest bowiem ogólna dążność jednostek, w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich rozwinięta krajach, do obchodzenia przepisów podatkowych, w celu nie ponoszenia całości ciężaru, jaki jest oznaczanym w tychże przepisach. Przeciwno tój dążności władze skarbowe są wszędzie w prawie oddziaływać za pomocą odpowiedniej kontroli, zamkniętej wszakże w pewnych granicach, strzegących, by ona w wykonaniu nie przeistaczała się w weksacją opodatkowanych. Mniejsza lub większa w obmyśleniu tójże kontroli trudność nie upoważnia przecież do przyjmowania takich zasad podatku, które ostatecznie musiałyby doprowadzić przedmiot opodatowany do nieuniknionej ruiny i jak to wzmiankowano wyżej, zniweczyć samo źródło dochodu skarbowego. W materii podatkowej ten ostatni wzgląd powinien być względem przeważnym zawsze i wszędzie; tém łatwiej zaś przychodzi uczynić mu zadosyć przy ustanawianiu zasad akcyzy od fabrykacji cukru, skoro obawa, iżby prawdziwy czysty dochód każdej kampanii przed okiem skarbu ukryty nie był, odnosiłby się mogła jedynie do fabryk, które własnością spółek udziałowych lub akcyjnych nie są, a więc do fabryk, będących wyjątkiem i skoro kontrola nawet co do tych fabryk, acz wyjątkowa, nie byłaby ani trudną, ani skutecznie udaremnianą.

I w tych bowiem położeniach, przy poborze akcyzy wyjątkowych, kontrola spotkałaby się zawsze z taką samą organizacją na miejscu w fabryce, jaka istnieje we wszystkich fabrykach, należących do spółek udziałowych i akcyjnych. Jakoż między temiż fabrykami, a fabrykami należącemi do jednostek, nie można żadnej dopatrzeć różnicy pod względem składu służby fabrycznej, jój tanyem procentowych i nagród pieniężnych, prowadzenia ksiąg rachunkowych i kontroli. Coż więc łatwiejszego, jak dla tych wyjątkowych przy poborze podatku położeń, oznaczyć w przepisach, sposób prowadzenia rachunkowości i kontroli w samej fabryce, tudzież zasady, zobowiązujące miejscową administracją do układania rachunku i bilansu każdej kampanii, podług tójże samej metody i reguły, jakiej się stale trzymają spółki

udziałowe i akcyjne. Jeden agent skarbowy byłby w możności sprawdzić, corocznie, w kilkudziesięciu fabrykach, zgodność tych rachunków i bilansów z księgami.

Nie należy też spuszczać z uwagi, że wszelkie ukrycie lub przeistoczenie cyfr nie dałoby się także wykonać inaczej, jak przy znowie właściciela fabryki z jej dyrektorem i z jej całą służbą, co znowu nie jest do przypuszczenia i czemuby zapobiegły przepisy, określające odpowiedzialność biorących udział w każdej znowie tego rodzaju.

Wobec takiej organizacji fabryk cukru, *podatek mógłby więc przyjąć za podstawę czysty dochód z każdej kampanii.*

Nie sięgałby on po część samęj substancyi rzeczy, nie umniejszałby samego przedmiotu opodatkowanego; lecz poprzestając na zapewnieniu skarbowi udziału w czystym dochodzie fabryk, byłby niewątpliwie podatkiem racjonalnym. I w istocie, przy ustanawianiu podatków, które nie mają być konsumcyjnymi, lecz mają obciążyć fabrykacyą, przeistaczającą materyał surowy na towar, wszędzie na głównym celu jest właśnie czysty jej dochód; wszędzie przeto podatek sięga tylko po część tegoż dochodu, przez co jednak, jak już powiedziano, nie przybiera bynajmniej cechy podatku dochodowego, skoro nie pyta, kto prowadzi fabrykacyą i nie zagląda do osobistój jego kieszeni.

Podatek, oparty na *rzeczywistym* dochodzie gałęzi przemysłu pociąganej do opłaty, jest podatkiem *najsprawiedliwszym* ze wszystkich, z tój znowu przyczyny, że na wszystkie fabryki rozkłada się jednakowo, czyli równo; w dziedzinie zaś podatkowej, równość wyraża się nieinaczej, jak przez zachowanie *jednakowego* stosunku pomiędzy wszystkimi do opłaty pociąganiem, czyli przez proporcjonalność.

Fabryka przynosząca korzyści 1,000, może i powinna zapłacić podatku 100, jeżeli takąż fabryka dająca czystego dochodu 10,000, pociągana jest do tegoż podatku w sumie 1,000.

Zachowanie zaś jednakowego stosunku podatkowego między fabrykami, pociąga jeszcze za sobą dwa następstwa, pożyteczne dla ogólnej ekonomii kraju: 1) nie przyśpiesza ruiny fabryki, dopóki ona dla jakichbądź przyczyn niema żadnego czystego dochodu lub nawet nie pokrywa wszystkich kosztów produkcyi; w razach przeto przemijających niepowodzeń, nieoszczędzających żadnej gałęzi przemysłu, fabryka łatwiej może przetrwać chwile kryzysu. Podatek nie wpłynie wtedy do skarbu, nie możnaby przecież znaleźć sprawiedliwój zasady do ściągania opłaty z fabryki, nieprzynoszącej chwilowo żadnej korzyści. Niedobór zaś podatkowy, taką spowodowany przyczyną, jest wtedy pozornym, skoro ocalenie fabryki od ruiny, zapewni skarbowi źródło dochodu podatkowego na przyszłość, gdy po ustaniu rzeczzonego kryzysu, dotknięta nim gałąź przemysłu nanowo zakwitnie. 2) Proporcjonalność do rzeczywistego dochodu danój gałęzi przemysłu, przyjęta za podstawę podatkową, nie tamuje rozwoju małych fabryk, czyli drobnego przemysłu, działającego w skromniejszym zakresie; kiedy przeciwnie, wszelka pod tym względem nierówność ułatwiając drogę do przy-

wileju tym, którzy stosunkowo niższy płacą podatek, musi ostatecznie wywoływać urządzenie fabryk olbrzymich, monopolizujących daną gałąź przemysłu, obok których drobne fabryki muszą w końcu upaść. Jestto zaś rzeczą wielokrotnie sprawdzoną, że przy podatkach rozkładających się niejednakowo, nie w stosunku rzeczywistego dochodu, wielkie fabryki płacą zawsze mniej, niż małe, od jednostki, przyjętej za skalę i podstawę podatku. Upadek drobnego przemysłu, jest wszędzie dowodem złamaniej równowagi między kapitałem i pracą; wszędzie wywołuje niechęć i krytykę ustroju ekonomicznego i nigdzie interesowi ogólnemu nie idzie na pożytek.

Tak więc podatek od fabrykacyi, *oparty na dochodzie rzeczywistym*, jaki ona otrzymuje ze swych nakładów i pracy, jest wszędzie ideałem podatku dobrze obmyślanego. Nie da się on wprawdzie zastosować do każdej gałęzi przemysłu, ponieważ nie każda gałąź działa tak jawnie jak cukrownictwo. Ilekroć zaś rzeczywista cyfra czystego dochodu z fabryki nie jest do tego stopnia jawną i widoczną, iżby bez wkraczania w stosunki prywatne, domowe, a więc dla obcych niedostępne, mogła być determinowana; wtedy, ale tylko wtedy *władza prawodawcza jest zmuszoną szukać téjże cyfry za pomocą norm* i na ich podstawie téż cyfrę oznaczać w przybliżeniu.

Ta cyfra korzyści, determinowana przez rachunek prawdopodobieństwa, a której część ma wpływać do dochodów budżetowych kraju, jest zawsze oznaczaną sztucznie. Skarb, będąc w niemożności dojść do prawdziwej cyfry dochodu fabryk, jest w konieczności stanowienia norm, wedle których mierzoną być ma siła produkcyjna każdej fabryki i na wiarę tych norm, domniemywać się cyfry tegoż dochodu. Jestto zło konieczne; unikać go należy, ilekroć cyfry prawdziwe są dostępnymi i mogą być wiadomymi; a właśnie przy opodatkowaniu fabrykacyi cukru, możnaby unikać tego zła z wyjątkową łatwością.

Przyjęcie za podstawę akcyzy rzeczywistego czystego dochodu fabryk, miałożby obalać zamierzenia fiskalne? Podnosząc to pytanie dajemy dowód, iż dalecy jesteśmy od odmawiania im *względnego* w téj materii wpływu; owszem, wyraźnie uznajemy, iż każdy podatek przynieść powinien skarbowi to *maximum*, jakie jest możliwém w danych warunkach przedmiotu opodatkowanego i w danych stosunkach ekonomicznych całego kraju. Mniemamy wszakże, że w tych warunkach i w tych stosunkach szukać właśnie należy granicy dla owych zamierzeń fiskalnych, że więc ich wpływ nie może być nigdy *ani absolutnym, ani wyłącznym*.

Zakreślenie téj granicy, jak to wyżej powiedziano, jest rzeczą statystów; wszelkie jej przekroczenie bardzo prędko odpłaca się im samym smutném rozczarowaniem i naraża ich na zawód. Nie do nas przeto należy mówić o tém, jaki procent od czystego dochodu fabryk cukru powinienby zastąpić dotychczasowy podatek, jaka zaś reszta tegoż dochodu pozostawać korzyścią samychże fabryk. Ograniczamy się więc na wykazaniu, jaka może być w przybliżeniu ogólna cyfra rzeczy-

wistego dochodu wszystkich 245 fabryk cukru w Cesarstwie i w Królestwie, ta bowiem ich liczba istniała w r. 1877/8 wedle urzędowych poświadczeń. Mówimy w *przybliżeniu*, nikt bowiem oczekiwać nie może, iżbyśmy w braku danych statystycznych i przy niemożności przejrzenia rachunków, sprawozdań i bilansów z tych wszystkich fabryk, podawali w tém miejscu cyfrę dochodu, jaką one rzeczywiście otrzymały.

Obliczenia nasze opierać się muszą *na rachunku prawdopodobieństwa*, na dedukcyi wyprowadzanej z danych wiadomych. Mianowicie zaś:

a) z cyfr rzeczywistych za lat trzy, w wymienionych już pięciu fabrykach Królestwa, bierzemy przeciętną czystego dochodu na jeden rok i na jedną fabrykę ¹⁾, tę przeciętną cyfrę mnożymy przez liczbę wszystkich fabryk, t. j. przez 245;

b) z cyfr rzeczywistych zaczerpniętych z bilansu rocznego tych 5-u fabryk, bierzemy przeciętną kapitału umieszczonego w jednej fabryce; tę przeciętną mnożymy przez 245, iloczyn zaś wykazujący w przybliżeniu ogólną sumę kapitału wprowadzonego w przemysł cukrowniczy w Cesarstwie i w Królestwie, powinien dawać temuż przemysłowi odpowiedni procent. Procent ten stawiamy więc znowu przed linią;

c) także samo obliczenie wyprowadzamy z urzędowych danych, wskazujących, za pomocą jakiego kapitału zakładowego i obrotowego odniesionego do berkowca buraków, prowadzoną jest fabrykacja cukru;

d) wreszcie z drukowanych sprawozdań 12-u fabryk: na Ukrainie, Podolu i Wołyniu, wyjmujemy ilość rzeczywiście wyprodukowanego cukru w r. 1877/8, koszta produkcji odniesione do puda tegoż cu-

¹⁾ W przypisku poprzedzającym rozróżniliśmy sumę wykazaną w sprawozdaniach za dochód z kampanii, od sumy rozdzielonej między skarż i akcyonaryuszów. Dość znaczna różnica między temi dwiema sumami została obróconą na tworzenie funduszów zasobowych, na amortyzacyą wydatków zaawansowanych poprzednio na ulepszenia fabryk lub sposobów fabrykacyi i na zakup nowych machin i przyrządów, wreszcie na koszta zwierzchniego zarządu. Z tych wszystkich wydatków, jedne tylko kwoty zatrzymywane na fundusz zasobowy mogą w przyszłości przy *warunkach pomyślnych* być rozplacone akcyonaryuszom; w razie przeto przyjęcia za podstawę akcyzy czystego dochodu fabryk, rzeczone kwoty musiałyby uleże opodatkowaniu w miarę i w chwili téjże rozpłaty. Wszystkie zaś inne z owego dochodu czynione wydatki są bezpośrednie; pokrywają albo koszta zwierzchniego zarządu fabryk, albo koszta postawienia ich w możności dalszego istnienia lub zapewnienia dodatnich na fabrykacyi rezultatów. Nie wyobrażają przeto rzeczywistój korzyści akcyonaryuszów, pod żadnym więc pozorem nie mogłyby podlegać opodatkowaniu. Obciążanie tych wydatków akcyzą, równałoby się ściąganiu podatku od kosztu sztucznych nawozów, sprawienia narzędzi do uprawy roli i zaprowadzenia ulepszeń w warsztacie rolniczym majątku ziemskiego.

kru i przecięciową cenę targową, a biorąc przeciętne owych cyfr i różnicy między ceną targową i kosztami produkcji, obliczamy zysk na pudzie. Z tego rachunku otrzymujemy znowu przybliżony dochód wszystkich 245 fabryk.

Żadna z tych czterech metod, sama i oddzielnie od trzech pozostałych, nie mogłaby posłużyć za podstawę obliczeń, któreby przy obmyślaniu systematu podatkowego, zasługiwały na uwagę. Przeciętna przecież z tych czterech metod rachunku prawdopodobieństwa, może być przyjętą za punkt wyjścia i dać prawdopodobną cyfrę czystego dochodu, do jakiego dochodzi przemysł cukrowniczy w Cesarstwie i Królestwie. Niepodobna dojść do niej w inny sposób; skutkiem czego, albo ją należy mieć na względzie, albo wyrzec się szukania innej, pewniejszej i podatkowość urządzić wtedy zupełnie pociemku, bez pomocy żadnych danych statystycznych i bez oglądania się na rzeczywistość.

Rachunek stawia się jak następuje:

a) 5 fabryk Królestwa miały dochodu z 3-ch kampanii (1875/6, 1876/7 i 1877/8 r.) rub. 2,359,679 kop. 38 $\frac{1}{2}$ i z tej sumy zapłaciły akcyzy rubli 490,967 kopiejek 11; dywidendy akcyonaryuszom rubli 1,155,300, czyli razem rub. 1,646,267 kop. 11; reszta, jak już objaśniono, obroconą została na tworzenie funduszków zapasowych i na wydatki niepowrotne. Wypada więc przecięciowo po rub. 548,755 kop. 70 $\frac{1}{2}$ na jedną kampanią, a po rubli 109,751 na jedną fabrykę (opuszczając kopiejki). Przeciętna zaś pobraną przez skarb akcyzy, odniesiona do jednej kampanii i do jednej fabryki, daje sumę rubli 32,731 kop. 90. Ogólny dochód z 245 fabryk, przypadający do rozplaty między skarb i prowadzących fabryki, czyniłby więc rubli 26,888,995, z czego na akcyzę przypadałoby wedle powyższej przeciętnej rubli 8,019,315 kop. 50¹⁾.

b) Bilanse wzmiankowanych wyżej 5-u fabryk z końca lipca 1877 r., wykazują ich kapitał zakładowy i obrotowy na rub. 4,871,415, kop. 38 $\frac{1}{2}$ ²⁾, czyli rub. 974,283 z przecięcia na jedną fabrykę. Iloczyn z pomnożenia tej przeciętnej przez 245, mógłby wyobrażać kapitał wprowadzony w przemysł cukrowniczy całego Imperyum; iloczyn ten czyni rub. 238,699,335³⁾. Ten kapitał powinienby przynosić dochodu

¹⁾ Z pracy E. Andrejewa: *Razwitiye* i t. d., jest dowód (str. 251), że skarb pobrał w r. 1878 akcyzy 4,670,455 rub.; cyfra ta porównana z powyższą przeciętną, przynosi więc przekonanie, jak dalece dotychczasowy systemat podatkowy jest wadliwym, skoro rozkłada się nierównomiernie pomiędzy fabryki. Z tego porównania jest widoczne, że te 5 fabryk Królestwa zapłaciły podatku stosunkowo więcej od innych fabryk.

²⁾ W fabryce Józefów rub. 1,158,014, kop. 89 $\frac{1}{2}$, w fabrykach Ostrowy, Walentynów i Tomczyn rub. 2,473,904, kop. 67, w fabryce Dobrzelin rub. 1,339,495, kop. 82, (cyfry wyjęte z drukowanych sprawozdań).

³⁾ Na samo Królestwo, wedle powyższej metody obliczenia, cyfra kapi-

przynajmniej 12% rocznie, z tego bowiem dochodu musi być przedewszystkiem pokrytą akcyza, reszta zaś przypadająca na rzecz prowadzących fabryki, przy dotychczasowym systemacie podatkowym, nie dochodziłaby więc 9%; ta zaś stopa procentu w naszych stosunkach ekonomicznych, może być uważaną raczej za niską, odstręczającą od zakładania nowych fabryk, niż za zbyt wysoką, zwłaszcza przy względzie na spekulacyjną naturę cukrownictwa.

Dochód z 245 fabryk w stosunku 12% wynosiłby więc rocznie rub. 28,643,920.

c) Wedle obliczenia oddziału kijowskiego towarzystwa technicznego, złożonego komisji ustanowionej w r. 1871 do zaprojektowania przepisów o akcyzie od cukru, kapitał zakładowy fabryk wynosił po rub. 1 kop. 95, kapitał zaś obrotowy po rub. 2, czyli razem po rub. 3 kop. 95 w stosunku do berkowca buraków, przerabianych na cukier ¹⁾. W urzędowym źródle zamieszczono wprawdzie cyfrę 16 milionów berkowców, jako ilość corocznie przerabianą na cukier; uczyniono przecież uwagę, iż ta cyfra została zaczerpniętą z wiadomości prywatnych ²⁾. Podnosimy ją przeto do 18,820,000 berkowców, taka bowiem przeciętna wypada ze sprawozdań 12 fabryk na Ukrainie, Podolu i Wołyniu ³⁾; mnożąc tę daną przez 3 rub. i 95 kop, kapitał umieszczony w przemyśle cukrowniczym wynosiłby rub. 74,339,000, od których dochód obliczony w stosunku 12%, jako fundusz na zaspokojenie akcyzy i na

tałów zakładowego i obrotowego, umieszczonych w 40 fabrykach wypadłaby na rub. 38,971,320.

¹⁾ *Żurnal zasiedanij.. aneks: zapiska kijewskaho otdielenija russkaho techniczeskaho obszczestwa po swiekłosaharnoj promyszlenności*, str. 11.

²⁾ *Razwitię*, str. 231.

³⁾ W roku 1877/8 fabryki przerobiły buraków 12 pudowych berkowców, (w urzędowych źródłach berkowiec obliczanym jest na 10 pudów).

Mironowka	165,729
Chochutwa	42,140
Pije	57,750
Piwce	46,155
Szpanów	74,256
Dziedowczyzna	64,816
Turków	100,560
Mizocz	52,924
Borszczo	40,589
Czyczelnik	84,795
Szczodrów	92,106
Jaropowce	100,039

Razem 921,859 berkowców

12 pudowych, po 76,821 ¹/₂ berkowców przecięciowo na jedną fabrykę, ta zaś liczba pomnożona przez 245 daje 18,820,000 berkowców fabrycznych, czyli 19,760,000 berkowców wagi rządowej.

procent dla właścicieli rzeczonych kapitału, wypadłaby znowu suma rub. 8,920,680.

d) Z drukowanych wreszcie sprawozdań z tychże dwunastu fabryk okazuje się, iż one w r. 1877/8 wyprodukowały razem 835,976 pudów cukru, czyli z przecięcia po 69,664 i $\frac{2}{3}$ pudów. Tę przeciętną mnożąc przez liczbę wszystkich fabryk, t. j. przez 245, otrzymujemy cyfrę ogólnąj produkcji cukru siedemnaście milionów pudów. Wedle tychże sprawozdań przecięciowy koszt produkcji puda cukru wyniósł po rub. 3 kop. 93 ¹⁾. Ten koszt obliczanym jest łącznie z akcyzą, która rozłożona na całą ilość wyprodukowanej mączki, nie zaś na tę tylko, jaka wedle dotychczasowych norm podlega opodatkowaniu, czyni przecięciowo po 35 kopiejek na każdym pudzie. Ze względu na to, iż w rachunku wedle poprzednich trzech metod obliczyliśmy przeciętną dochodu przed zapłaceniem akcyzy, t. j. mającą pokryć i akcyzę i procent od kapitału wprowadzonego w przemysł; dla jednostajności przeto powyższy koszt produkcji wypadła tu obniżyć o 35 kopiejek, wyniesie on więc rub. 3 kop. 58. Ze zaś przecięciowa cena handlowa w r. 1877/8 nieda się oznaczyć wyżej, jak po 4 rub. 50 kop. za pud, na dochód przeto mający pokryć i akcyzę i procent od kapitału, przypadałoby po 92 kop. na pudzie, czyli z całej produkcji cukru w cyfrze okrągłej, 15,640,000; te zaś cztery cyfry dodane tworzą sumę rub. 80,093,595: z której czwarta część czyli 20 milionów rubli w cyfrze okrągłej, jest ową ostateczną przeciętną, dającą się poczytać za prawdopodobną sumę dochodu otrzymywanego rocznie przez cukrownictwo w Cesarstwie i Królestwie, a z którego ma być pokrywaną i akcyza i procent od kapitałów w tej gałęzi przemysłu umieszczonych.

¹⁾ *Razwitiye...* str. 231, podaje ogólną produkcją cukru na 10,800,000 pudów, ale także na podstawie wiadomości prywatnych. Rachunek prawdopodobieństwa z produkcji rzeczonych dwunastu fabryk wypadła znowu inaczej. Wyprodukowały one:

Mironowka	128,151 pudów	Koszta zaś produkcji wynosiły na pudzie, łącznie z akcyzą.	rub. 3 kop. 78
Chochutwa	37,288 „		„ 4 „ 75
Pije	52,985 „		„ 4 „ 02
Piwce	34,775 „		„ 5 „ 39
Szpanów	78,189 „		„ 3 „ 28
Dziedowczyzna	59,640 „		„ 3 „ 81
Turków	87,138 „		„ 3 „ 19
Mizocz	54,721 „		„ 3 „ 94
Borszcze	31,359 „		„ 4 „ 35
Czczelnik	65,327 „		„ 4 „ 51
Szczodrów	90,439 „		„ 2 „ 95
Jaropowce	92,013 „		„ 3 „ 16
razem	835,976 pudów		

Wzmiankowane wyżej zamierzenia fiskalne, idą więc zadaleko, niemogłyby bowiem pochłaniać *połowy* dochodu fabryk, bez zrujnowania przemysłu cukrowniczego.

Bezpośredni w bliżkiej przyszłości skutek tak nieoględnych zamierzeń wskazuje sama przeszłość. Przy niższych niż dzisiejsze normach i przy niższej skali podatku, czyli przy akcyzie umiarkowanej dotykającej każdy pud rzeczywiście wyprodukowanego cukru, liczba fabryk w Cesarstwie wzrosła była w r. 1859/60 do 475 ¹⁾, w Królestwie zaś w r. 1854 było już fabryk 55 ²⁾. W r. 1877/8 było w Cesarstwie fabryk już tylko 205 (o 270 mniej), w Królestwie zaś tylko 40 (o 15 mniej) ³⁾. Zmniejszenie liczby fabryk w tak rażącym stosunku nie da się czemu innemu przypisać, jak owym częstym zmianom zasad poboru akcyzy, stopniowo podnoszącym koszta produkcji cukru do takiej wysokości, iż je z trudnością pokrywają obecne ceny targowe tego towaru; co znaczy, że właśnie dotychczasowy systemat podatkowy przede wszystkim i głównie pogorszył warunki téj gałęzi przemysłu i nawet sam jęj byt uczynił chwiejnym.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

¹⁾ Czterysta trzydzieści dwie fabryk czynnych i czterdzieści trzy nieczynnych: *Razwitiye* i t. d., str. 237.

²⁾ *Materyaly po dielam Carstwa Polskaho. Swiedienija po finansowej Czasti*. Zeszyt drugi z r. 1864, str. 199.

³⁾ *Kratkij oczerk...* str. 193.

Kronika poznańska.

8 lipca 1879 r.

Wśród zmian, jakie nastają, jedne po drugich w rzeszy niemieckiej i w państwie pruskiem, jest *nowe prawo o urządzeniu sądów i procedurze sądowej*, które z końcem września staje się obowiązującym, niemałego i dla naszego Księstwa znaczenia i niepodobna jest dla sumiennego kronikarza zamilczeć o takowym. Ta przecież zachodzi tu trudność, że zadanie jest zmusne, a dla czytelników może stać się aż nudnym. Uczynimy tymczasem co w naszej mocy, aby spełniając obowiązek, nie zapuścić się zbyt obszernie w tę materję. Reforma zmienia organizacyą sądów, prokuratoryi i adwokatur, oraz w znacznej części procedurę sądową, proces cywilny i kryminalny.

Dotąd mieliśmy *sądy powiatowe*, dalej *apelacyjne*, wreszcie *trybunał najwyższy*, a wszystkie te trzy instancje miały skład kolegialny. Z biegiem czasu zaczęto przychodzić do przekonania, że aparat kolegialny zbyt jest często ciężki w stosunku do wartości przedmiotów, z czego powstała dążność uproszczenia procedury. Dążność ta objawiła się w ordynacyi nowej konkursowej z r. 1855, a później w sprawach subhastacyjnych, hipotecznych i opiekuńczych, wreszcie w prawie z r. 1877 o urządzeniu nowym sądów. Prawo to znosi ostatecznie dla sądów pierwszej instancji system kolegialny. *Pierwszą instancją* stanowić będą *sądy okręgowe, oraz sądy ziemiańskie*. *Sąd okręgowy* składać się ma odtąd z jednego tylko podsędka, do którego kompetencji należy każda sprawa niesporna, a ze spornych: subhasty, konkursu, śledztwa. W sprawach cywilnych rozsądza podsędek sprawy, aż do 300 marek wartości, oraz podobne sprawy, jak np. spory między służbą a chlebobawcą; w sprawach karnych wszystkie te przestępstwa, które rozstrzygała dotąd policya, oraz takie przewinienia, których kara dochodzi do 600 marek; dalej sprawy o obrazę, pobicie, kradzież i oszustwo, aż do 25 marek wartości. Zaletą główną zmiany niniejszej, jest wszechstronne wtajemniczenie się podsędka w stosunki powierzzonego swęj pieczy okręgu, z czego wypłynąć powinna pewna ufność między sędzią a podsądnymi, umożliwiająca załatwianie sporów drogą dobrowolnej ugody. Ogólna ta premissa jakże się przecież przedstawia dla naszego Księstwa, jeśli podsędek z reguły nie będzie umiał po polsku i będzie posługiwał się tłumaczem? Zależy więc nam tutaj na tém, aby rząd odtąd nie wysyłał do innych prowincyi sędziów Polaków, jeśli mu chodzi o pewne zespolenie się sędziiego z publicznością.

Jak już powiedzieliśmy, stanowią pierwszą instancją: sąd okręgowy, o którym właśnie mówiliśmy, *oraz* sądy ziemiańskie. Do zakresu czynności tych ostatnich, należą procesa cywilne i kryminalne. Sądy te rozstrzygać będą w pierwszej instancji wszystkie sprawy cywilne, jakie wyjęte są z pod kompetencji sądów okręgowych. W sprawach karnych dzielą kompetencją sądy ziemiańskie z peryodyczną instytucją sądów przysięgłych. Obok tego tworzą przeciw sądy te ziemiańskie wobec sądów okręgowych, drugą instancją o tyle, że do nich należą apelacje od wyroków podsędkowskich. Bije tu w oczy, że podsędkowie przeciążeni będą pracą i że zadanie ich stokroć trudniejsze będzie od zadania sędziów ziemiańskich, podczas gdy *faktycznie* wyrobi się, mimo równości w pensjach i w randze, pewna wyższość sędziów ziemiańskich nad podsędkami.

Drugą instancją stanowią będą *sądy nadziemiańskie* i obejmować będą obszar prowincji pojedynczych. Rozpadają się na senaty dwa, cywilny i kryminalny i tworzą drugą instancją dla spraw, rozstrzyganych w pierwszej instancji przez sądy ziemiańskie. *Trzecią instancją* będzie *sąd państwa*; tworzy on instancją kasacyjną dla wyroków sądów nadziemiańskich i sądów przysięgłych, a zarazem jest jedyną instancją w sprawach, dotyczących zbrodni stanu przeciw cesarstwu niemieckiemu i osobie cesarza. Ma także dwa senaty: cywilny i kryminalny.

Oto zarys organizacji nowej sądownictwa.

Co do procesu cywilnego, tedy naśladuje nowa procedura prawodawstwo dotyczące francuzkie, t. j. ogranicza czynność sędziego na wysłuchanie stron i świadków, na przejrzenie dokumentów i t. d. i ostatecznie na wydanie wyroku, podczas gdy resztę czynności oddaje w ręce pisarzy sądowych i komorników. Pisarz sądowy będzie odtąd odbierał skargi, spisywał wnioski, oceniał takowe, wydawał pozwy, prowadził protokół, doręczał wyroki, udzielał poświadczeń egzekucyjnych. Komornik zaś spełniać będzie wyroki cywilne, jako samodzielny urzędnik, a rzeczą jest stron kontrolować jego czynności. Naturalnie, że tak pisarz jak i komornik mieć będą do pomocy podrzędnych wykonawców. Procedura ta cywilna nowa, opiera się na wręcz przeciwnych zasadach, aniżeli dotychczasowa. W miejsce piśmiennego postępowania nastaje ustne, wolno jest stronom w każdym okresie procesu przytaczać nowe fakta, a sędzia upoważniony jest do takich poszukiwań, których żadna z stron nie wymaga; wolno mu także rozstrzygać wedle moralnego przekonania, oraz wydawać w każdej sprawie i w każdej instancji, kilka t. z. częściowych wyroków. Jestto więc zupełna, radykalna zmiana. Sąd wyrokować ma odtąd li na podstawie ustnej rozprawy, skarga służyć tylko będzie do wyznaczenia terminu, znaczenie protokołu upadnie, referat piśmienny ustanie. Z tego wszelako wypływa, że obecność stron będzie teraz niezbędną, skoro w każdym terminie rozpoczynać się będzie mogła sprawa nanowo.

To, co dotąd powiedzieliśmy, dotyczy przeważnie procedury przed podsejdkiem, czyli przed sądem t. z. okręgowym. Postępowanie w innych sądach te same ma zasady, tylko że w sądach ziemiańskich i wyższych muszą mieć strony adwokatów. Nowa ordynacya zmienia bardzo jeszcze wiele w obecnych przepisach, ale o tém już rozpisywać się nie możemy. Napomkniemy tylko, że usuwa np. wszelki udział urzędników kościelnych w sprawach rozwodowych, stwarza procedurę tę samą dla spraw przeciw rozrzutnikom, co i przeciw obłąkanym, znośi różnicę dotychczasową między konkursem kupieckim a zwyczajnym.

Co do procesu kryminalnego, ścieśnia nowe prawo władzę sądów okręgowych. W sprawach cywilnych jest sędzia okręgowy samowładnym, w sprawach kryminalnych otrzymuje do boku dwu ławników, którzy rozstrzygać wspólnie z nim będą. Ławnicy wybierani są z ludzi prywatnych, bez fachowego wykształcenia, zamieszkujących w obrębie sądu okręgowego.

Ławnika urząd jest honorowym, a fiskus wraca ławnikom tylko te koszta, które wynikły z podróży. Sposób wyboru ławników jest następujący:

Zarząd gminy (wiejskiej i miejskiej) sporządzi co rok spis osób zdolnych do ławnictwa, a spis ten ma być przez dni 7 wystawiony w tej miejscowości, w której gmina odbywa posiedzenia. Przeciw spisowi wolno każdemu z interesowanych podać zażalenie. Na podstawie spisów gminnych, sporządza podsejdk spis ogólny dla swego okręgu i przysposabia materyał do rozstrzygnięcia zażaleń. Rozstrzygnięcie służy komitetowi, który sędzia powołuje raz w rok, a który składa się z sędziego; dalej z jakiego urzędnika administracyjnego i ze siedmiu mężów zaufania, mieszkających w okręgu. Komitet ten rozbiera podane przeciw spisom zażalenia i wybiera potém, na podstawie spisów sprostowanych, głównych ławników na przeciąg całoroczny, a zarazem wybiera z liczby osób mieszkających w miejscu, gdzie się mieści sąd okręgowy lub w najbliższej miejscu tego okolicy, ławników-zastępców. Nazwiska osób wybranych spisują się w odrębnych dwu spisach, t. z. spisach rocznych. Posiedzenia sądów tych wyznacza podsejdk na rok cały z góry, wybiera także z góry przez losowanie, na podstawie spisów owych rocznych, dwu na każde posiedzenie ławników. Że używanie obowiązkowe li języka niemieckiego utrudni w regule rolę ławników u nas, to niezawodna, tak jak znów z drugiej strony nie uprzyjemni także urzędu tego honorowego. *Sądy ziemiańskie* rozstrzygać będą sprawy przez deputacye. Dla wygody publiczności urządzone być mają deputacye z stósowną kompetencyą w miejscach, w których sąd okręgowy mieć będzie większą liczbę członków. W deputacyach tych, które nazwać należy wędrownymi, zasiadać będą sędziowie okręgowi. Wyborczy żywioł nie będzie miał w sądach tych udziału, bo zasiadać w nich będą tylko prawnicy z zawodu. Co się tyczy sądów przysięgłych, każdy obywatel, zdolny na ławnika, będzie mógł być obrany przysięgłym. Ważne znaczenie mieć tutaj będą owe spisy

pierwotne, o których wspomnieliśmy wyżej: wydział bowiem czyli komitet, zbierający się raz na rok przy każdym z sądów okręgowych, układać będzie na podstawie spisów, listę tych osób w okręgu, które chce przedstawić na sędziów przysięgłych, listy zaś te oddawane będą prezesowi sądu ziemiańskiego. Prezes wyznaczy sesyą, na której sędziowie roztrząsać będą podane przez kandydatów zażalenia i protesta i wybierać będą tak sędziów przysięgłych, jako i ich zastępców. Obok przysięgłych zasiadać będzie trzech sędziów z zawodu, a różnica między ławnikami a sędziami przysięgłymi ta jest, że ławnicy sądzić będą nie tylko o winie lub niewinie, ale i decydować wspólnie z podsejdkiem o wysokości i rodzaju kary, podczas gdy sędziowie przysięgli rozstrzygać tylko będą o winie oskarżonych, wymiar zaś kary pozostanie zadaniem wyjątkiem sędziów z zawodu. Układ ten sądów karnych niewidzi nam się szczęśliwym, bo i czemuż np., w sądach ławniczych i w sądach przysięgłych biorą udział nie prawnicy, a w deputacjach ziemiańskich sądzą tylko prawnicy z zawodu? Nie widać w tym urządzeniu jednolitej podstawy, przedewszystkiem zaś przedstawia nam się owo sądownictwo ławników jako ciężar. Albowiem tylko do małych, bagatelnych przeważnie spraw, będzie powoływana publiczność t. j., ławnicy, a rola ich albo będzie niemal żadna, (jeśli nie będą dosyć wykształceni); albo deprimować będzie podsejka. W każdym razie trudno pochwalić, że udział ławników rozszerzono i do wymiaru kary. Zmysł słusznego odmierzenia kary mógłby się wprawdzie wyrobić w ławnikach, ale nie w danych warunkach, skoro urzędować mają tylko kilka razy w przeciągu lat dwu. Co zaś do sądów przysięgłych mniemamy, że nie zarobią na znaczeniu przez usunięcie ograniczeń, istniejących dotąd pod względem majątkowym. Tyle o układzie sądów karnych. Procedura kryminalna przedstawia nam się daleko lepiej, aniżeli układ sądów kryminalnych. W procesach kryminalnych przygotowuje śledztwo akt oskarżenia, proces zaś sam ma li wyrok na celu. Inicyatywa w oskarżeniu przypada w regule prokuratorowi, który z pomocą policji lub innęj władzy, rozporządza śledztwo, a tylko w razach wyjątkowych zwraca się do sądu z rekwizycyą, jak np.: gdy chodzi o przesłuchanie, mające być stwierdzone przysięgą. Poszczególne takie rekwizycye załatwiać będą sądy okręgowe, a na wniosek prokuratora może nawet śledztwo przejść od sądu ziemiańskiego do okręgowego. W pewnych wszelako razach może całe śledztwo wstępne prowadzone być przez władzę sądową, podczas gdy prokuratorowi przypada tylko rola wnioskodawcy. Dziś przysługuje prawo wniosku o śledztwo tylko prokuratorowi, podług nowej procedury ma mieć to prawo i obwiniony. Obwiniony ma w pewnych razach prawo protestowania przeciw rezolucji sądowej, nakazującej śledztwo, może nawet podać zażalenie do wyższej instancyi, jeśli sąd nie przychylił się do wniosku jego o zaczęcie śledztwa. Dalej wolno będzie obwinionemu przybrać sobie już podczas śledztwa adwokata, albo też w niektórych razach prywatną jaką osobę, a obrońcom tym przysługuje prawo przejrzenia akt i czynienia wnios-

ków na korzyść obwinionego. Obwiniony tedy zaraz z początku znać będzie co mu zarzucają, będzie więc wolniejszy stokroć niż dzisiaj, mianowicie zaś będzie miał prawo w pewnych razach wyjść z więzienia za stosowną kaucyą. Gdy śledztwo ukończy się, prokurator wniesie oskarżenie, a sąd obowiązany będzie udzielić obwinionemu akt oskarżenia i wyznaczy zarazem termin, do którego wolno będzie obwinionemu stawiać wnioski i czynić zażalenia. Po upływie tego terminu przystąpi sąd do decyzji i albo oskarży obwinionego, albo zasystuje dalszą procedurę, nawet bez względu na wniosek prokuratora, który w takim razie będzie musiał wnieść oskarżenie nie własne, ale takie jakiego wymaga rezolucya sądu. Tutaj decyduje w sprawach tych, które sądom ławniczym przypadają, odpowiedni podsędek, w innych sprawach deputacye sądów ziemiańskich. Następuje wreszcie termin ustnej rozprawy, a postępowanie w takowym pozostanie w głównych zarysach takim samym, jakim jest dzisiaj. Ostatnie słowo przysługiwać będzie oskarżonemu, poczem sąd przystąpi do ferowania wyroku. Dziś potrzebną jest do potępiającego wyroku większość absolutna, wedle nowej procedury wystarcza $\frac{2}{3}$ głosów. Właściwiej apelacyi podlegać będą tylko wyroki ławniczych sądów. Apelujący może w drugiej instancyi nowe przytoczyć dowody, tak samo i strona przeciwna. Wyroki sądów ziemiańskich i sądów przysięgłych mogą być tylko zaczepione rewizyą. Wyższą instancją względem sądów ziemiańskich stanowią sądy nadziemiańskie, względem sądów przysięgłych, trybunał najwyższy.

W stadium rewizyi oprzeć się wolno na tém, że przekroczony został poprzednio ten lub ów przepis prawny; w pewnych zaś razach będzie można wnieść o podjęcie na nowo procedury. Wykonanie wyroków karnych będzie rzeczą prokuratora, ale ministrowi sprawiedliwości służy prawo zlecenia egzekucyi wyroków, ferowanych przez sądy ławnicze, sądom okręgowym.

Oto jak się przedstawia zwykły proces karny.

Nadmienim tutaj jeszcze co następuje: wedle obecnych przepisów niewolno prywatnym osobom wnosić oskarżeń, nowe natomiast przepisy zezwalają na to w pewnych przypadkach, jak np., w przypadku obrazy, okaleczenia; wszelako tylko wtenczas, jeżeli dochodzenie tego wykroczenia zależy od wniosku poszkodowanego. Oskarżenie poszkodowanego udzieli sąd obwinionemu i pozwoli mu poczynić przeciw oskarżeniu swoje wnioski i zarzuty. Po upływie pewnego czasu, pozostawionego w tym celu obwinionemu, może go sąd oskarżyć, poczem sprawa przychodzi przed sąd ławniczy. Prywatny oskarżyciel w razie uwolnienia obwinionego, płaci kosztu procesu. Oskarżenia te prywatne ustanowione są w interesie osób, poszkodowanych materialnie przez przestępcę.

Nowe prawo o urządzeniu sądownictwa, skraca wprawdzie o jeden rok czas próby prawniczej, stanowi bowiem, że po trzech latach studyów uniwersyteckich, wystarczą trzy lata praktyki sądowej, (a nie cztery jak dotąd), aby otrzymać zupełne prawo do wszelkich posad są-

downicznych w całych Niemczech, wszelako Prusy oświadczyły na mocy § 1 prawa wykonawczego, zezwalającego poszczególnym państwom rzeszy niemieckiej przedłużyć peryod przygotowawczy, że pozostają przy czterech latach praktyki sądowej.

Adwokatura, którą dotąd rozdawała władza krajowa tak samo jak i inne urzędy, staje się według nowego prawa wolną. Kandydat na adwokata poda odtąd wniosek do ministryum sprawiedliwości, z wymienieniem miasta, w którym chce praktykować. Ministryum z wyjątkiem pewnych, ściśle określonych przypadków, nie może odmówić pozwolenia. Wszelako nowe to prawo ustanawia, z obawy aby zbyt wielu etatowych sędziów nie przeszło naraz do adwokatury, że wolno jest władzy odmawiać konsensu sędziom w pierwszych trzech latach istnienia nowego prawa. Aby tylko władza nie użyła tego zastrzeżenia względem sędziów naszych, chcących wrócić do Księstwa, to zresztą zastrzeżeniu temu niémamy nic do zarzucenia.

Kwestya lichwy coraz bardziej zatrudnia u nas umysły. Jak może wam wiadomo, lichwę zniosło prawo na całym obszarze państwa, a więc i w naszym Księstwie, ale zapomniano o stawieniu zapór przeciw wyzyskiwaczom bezczelnym, którzy nie wahali się odtąd rzemiosło swe w biały dzień prowadzić dalej. Ile klęsk poniosły u nas całe wsie, jak wyzyskiwano bezwstydnie tysiące gospodarzy chłopskich, ilu mieszczan padło ofiarą, nie da się opisać. Palcami wskazać można na setki lichwiarzy, tuczających się mieniem ludzi poczciwych, a prawo jest bezsilnem wobec ich działania zgubnego. Znamy całe wsie, a nawet okręgi, w których wszystkich niemal wyssała już lichwa. Na sejmie radzą o téj klęsce, a czas już wielki położyć tamę skutkom zniesienia lichwy. Nie chodzi wprawdzie o powrót do dawnych przepisów, ale drogę jakąś wynaleźć trzeba koniecznie, na którejby się zapobiedz dało dalszej ruinie całych warstw społecznych. Procenta wysokie dadzą się wyłómaczyć, gdy pożyczka dotyczy interesu, który przedstawia ryzyko; natomiast nie dadzą się uniewinnić tam, gdzie tego ryzyka niéma i gdzie chodzi tylko o eksploatacyą potrzebujących, nieświadomych i lekkomyślnych. Jeżeli np., chłopu, który pożyczony kapitał zabezpieczył na swęj posiadłości, wypowiedziany zostaje takowy nie wczas i on zmuszony przez to zostaje do obietnicy procentów na setki idących, albo do dopisania do długu trzeciej lub choćby i piątej części waloru długu i tym sposobem stawa nad przepaścią straty majątku, ażaliż manipulacya taka nie powinna być uznana za lichwę? Powinna przecież postawiona być różnica w ocenianiu pożyczek na wielkie procenta, wedle tego, czy kapitalista ponosi podwyższone ryzyko pożyczając, lub czy tóż nie ponosi żadnego, a wyzyskuje tylko bezczelnie biędę lub głupotę cudzą. To rozróżnić możemy wszyscy, a więc może i sędzia. Moralna zasada powinna tutaj wpłynąć na ukształtowanie dotyczących przepisów. Pisma nasze poznańskie wszelkiej barwy biją jednogłośnie w potrzebę choćby ścieśnienia prawa wystawiania weksli i popierają myśl, wypowiedzianą przez pośta Rejchenspergera, który uczynił wniosek na

sejmie, aby pozostawić prawo wystawiania weksli członkom towarzystw pożyczkowych, konsumcyjnych i t. d., w stosunkach ich z temi towarzystwami. Byłoby to bardzo zbawienne ograniczenie powszechnego prawa wystawiania weksli, a przydałoby się nam mianowicie i z innego jeszcze względu, przyzwyczaiłoby bowiem masy do idei asocjacji, która przeznaczona jest do odgrywania coraz większej roli w stosunkach ludzkich.

Przegląd bibliograficzny z ostatnich miesięcy każe nam wymienić nasamprzód tom II *dzieł Platona*, przekładu zasłużonego na tém polu profesora gimnazjum ostrowskiego, Antoniego Bronikowskiego.

Realizm dzisiejszy chce z gruntu wyrugować dotychczasową metodę gimnazjalną, opartą na podstawie języków starożytnych, łacińskiego i greckiego. Jestto dążenie niesłuszne, bo podstawą cywilizacji prawdziwej pozostanie, wedle naszego zdania, literatura i sztuka starożytna, do poznania zaś ducha starożytności, który nierozzerwanym węzłem kojarzy się z rozwojem ludzkości, za wielce potrzebne uznajemy dobre tłumaczenia łacińskich i greckich znamienitych autorów. P. Bronikowski już od lat przeszło dwudziestu położył sobie za zadanie pracować w tej dziedzinie i pracuje też z wielkiem zamiłowaniem i znajomością przedmiotu. Przetłumaczył już Homera, Herodota, Ksenofonta, Tucydidesa, a w ostatnich latach zajął się tłumaczeniem Platona. Niedawno wyszedł tom drugi dzieł Platona w komisie księgarni Żupańskiego. P. Bronikowski stara się przedewszystkiem o zachowanie jaknajzupełniejsze indywidualności każdego z autorów i nie szczędzi niczego, aby zadaniu sprostać. Powtarzamy, że nie szczędzi niczego, a w tém naszym powiedzeniu tkwi tak dobrze pochwała, jak i nagana. Archaizmy i odrębna składnia przystoi wprawdzie tym dawnym pomnikom duchowym, ale te archaizmy i ta składnia nieraz też rażą mocno, bo gwałcą ducha i prawa języka naszego. Następstwo wyrazów przenosi p. Bronikowski żywcem z oryginału na polskie, przez co nieraz traci tłumaczenie na jasności i na udatności. Szanowny tłumacz chce wprawdzie temu zapobiedz przez częste w odsyłaczach objaśnienia, ale to właśnie dowodzi, że przesadza przez zbyt ścisłe zastosowywanie się do słów oryginału. Pod względem wartości pedagogicznej traci tym sposobem tłumaczenie, bo nie wprawia ucznia w stosowne władanie językiem ojczystym. Mimo te wady, całość tłumaczenia składa się na nielada całość cenną, która zasługuje na uznanie wszystkich tych, którzy lubują się w starożytnych językach i czują potrzebę zapoznania się z niemi w przekładzie. Najlepiej może potrafił nam szanowny autor przepolszczyć Herodota.

Wyszedł w ostatnim czasie także trzeci tom *Kodeksu dyplomat. Wielko-polskiego*, oraz tom drugi *Listów Lelewela*. Tom ten zawiera 145 listów do braci Jana i Prota, oraz siostry, p. Majewskiej. Ciągną się szeregiem lat, począwszy od roku 1833. Przyczyny umieszczenia wśród nich, dziesięciu listów nie do rodzeństwa pisanych, nie rozumie-

my. Tom niniejszy do poznania Lelewela nader cenny dostarcza materiały. Autor nie miał wcale usposobienia na polityka, tém więcej na człowieka naukowego. To też nader zajmującym jest szereg szczegółów, dotyczących każdego jego naukowego dzieła, a już z pewnością odkrywa nam zbiór tych listów smutny, chociaż zarazem i wzniosły obraz męża, który walczył z biędą, a znosił ją z tym stoicyzmem, jakiego dziś z latarnią szukaćby potrzeba.

Poczet pism naszych peryodycznych pomnożył się od 1 lipca *Przeglądem kościelnym*, pod redakcją ks. Jaskólskiego, autora gramatyki hebrajskiej, a w ostatnim czasie współpracownika *Kuryera*. Mamy tedy w Poznańskim piśmie trzynaście, a mianowicie: *Dziennik, Kuryera, Gońca Wielkopolskiego, Orędownika, Ziemiańina, Wartę, Niedzielę, Gwiazdę, Lechu, Kuch społeczno-ekonomiczny, Tygodnik powieści, Oświatę i Przegląd Kościelny*. Liczba nie lada, ale czy pożywienie liczbie odpowiada, to inna kwestya, nad którą później może nieco zastanowimy się.

O wyjściu *Kocznika V Kółek włościańskich*, już doniosłem w poprzedniej kronice i chyba kilku słowy dopełnić mi wypada wzmiankę tę. Otóż w jednem i drugim miejscu kwitują Kółka, w innych tyle tylko że wegetują, podczas gdy w trzecich tak dobrze jak nic o ich działalności nie słyhać. Patron téj arcy-zbawiennéj instytucyi, p. Maks. Jackowski z Pomarzanowic w powiecie Sredzkim, dokłada wprawdzie wszelkich starań, aby nietylko ją podtrzymać, ale i rozszerzać coraz bardziej, ale, jak to bywa nieraz, skoro tylko niedostaje kogoś, coby wziął rzecz do serca, chrama takowa. Przyjedzie patron, rozjaśni umysły, zagrzeje serca, znajdzie się ten i ów, co w jego ślady wchodzi, to rzecz idzie; w ogóle przecież instytucya Kółek nie przeszła jeszcze w soki i krew. Pocieszać się trzeba, że wszelki początek trudny, a niech tylko myśl będzie na czasie, zdrowa, zdrowo podjęta i wykonywana, chociażby tylko częściowo, z pożytkiem dla członków, a przyjąć się musi w społeczeństwie niezepsutem zbytnią negacyą. Obecnie sto kilkanaście Kółek wylicza sprawozdanie; interesujących się bliżej tą sprawą, odsyłamy do *Kocznika* samego.

Nasze zgromadzenia nie koniecznie cieszą się tego lata udziałem członków. Na dopiero co odbytym zjeździe delegatów filialnych Towarzystw agronomicznych pospołu z zarządem centralnym, bodaj dzieściu przybyło delegatów, a walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, trzeba było dla braku dostatecznéj liczby członków, odłożyć na później. Kiedy już mowa o Towarzystwie Przyjaciół Nauk, wspomniemy o pracy przez samego prezesa czytanéj p. t. *Ślady historycznych wypadków polskich w dwu dramatach Szekspira, Zimowa powieść i Burza*. Prelegent nadmieniał na początku zaraz, że prof. Caro w dziele swém o Szekspirze, wykazał miejsca w dramatach jego kilku, które przypominają żywcem wypadki historyczne polskie. *Dramat Burza*, ma być, wedle prelegenta ustępem z wojen Jagiełły z Krzyżakami. Pierwsza wyprawa dość liczna, przysłała z Anglii na pomoc

Krzyżakom w roku 1390, druga w dwa lata później jeszcze liczniejsza, przyplęnęła aż na dwustu kilkudziesięciu statkach. Naczelnik pierwszej wyprawy Derby, był w dobrych z Witoldem stosunkach i mógł nie jedną, za powrotem do Anglii, udzielić ziomkom wiadomości o Polsce i jej stosunkach, Prelegent zastanawiając się nad osobami w dramacie przedstawionemi, sądzi, że król neapolitański to Jagiełło, Prosper ks. Medyolanu, to Skirgiełło i t. d. *Noc Zimowa* przedstawiać znów ma ustęp z historyi Mazowsza, a mianowicie zamordowanie Ludmiłły przez Ziemowita, który niesłusznie ją podejrzywał o stosunek miłosny z dworzaninem i zgładzić oboje rozkazał. Ale gdy wyszła niebawem na jaw niewinność obojga, Ziemowit z zgryzoty umarł. Było to pod koniec (daty dobrze nie spamiętaliśmy) XIV wieku. W *Nocy Zimowej* król jakiś sycylijski nie mogąc miłego sobie gościa, króla czeskiego, uprosić aby pozostał dłużej, namawia żonę swą aby to wymogła na gościu. Żona cel życzony przez męża osiąga. Aliści naraz robak zazdrości ukąsza sycylińczyka, który w nadmiarze rozpaczy wtrąca żonę do więzienia, i godzi zarazem ua życie króla, gościa. Przekonawszy się wkrótce, że niesłusznie oboje posądził, głęboko uczuwa popełnione okrucieństwo.

Kto przed mniej więcej trzydziestu, a nawet tylko dwudziestu laty znał Poznań w czasie, gdy interesa z chęcią porozumienia się wzajemnego w kwestyach bieżących, sprowadzały napływ obywateli do miasta, tego uderzyć musi zmiana, jaką dziś spostrzega. Dziś każdy kto do Poznania dla załatwiania interesów przybywa, zaledwie je ukończy, odjeżdża, nie pytając o drugich, nie zajrzawszy nigdzie. Prawdą jest z drugiej strony, że trudnoby przyszło znaleźć w Poznaniu dom otwarty, któryby chociaż w części przedstawiał jakiś punkt zborny towarzyski. Domu takiego brakuje zupełnie. Jeżeli więc przyjezdny obywatel chce zasięgnąć języka, zobaczyć się z kimś, musi iść do resursowego lokalu lub do jakiej, notorycznie przez znajomych swych bliższych a choćby i dalszych, uczęszczanej restauracyi lub piwiarni. Obraz świetny towarzyskości, jaki przedstawiał Poznań w czasie tegorocznego karnawału i podczas odczytów profesorów krakowskich, mieć trzeba za jaknajzupełniejszy *hors d'oeuvre*. Ginie całkiem to, co znamionowało nasz żywot, ginie towarzyskość, a wraz z towarzyskością niksąca, niksze i wyrazistość opinii powszechniej, która, bądźco bądź, stanowić powinna siłę publiczną.

WARSZAWA,

JÉJ ŻYCIE UMYSŁOWE I RUCH LITERACKI

W CIĄGU LAT TRZYDZIESTU *).

(od 1800 — 1830 r.).

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

VIII.

Wojciech Bogusławski i jego dzieła dramatyczne.—*Spazmy modne*, komedia.—Powód do ich napisania.—Molier na scenie Teatru Narodowego.—Lessing.—Ryszard Scheridan.—Znakomitsi aktorzy polscy.—Szekspir.—Hamlet.—Alfieri.—Pierwsza opera polska.—Maciej Kamieński, kompozytor.—Stuletni jubileusz opery polskiej.—Rok 1821.—Upadek *Pamiętnika Warszawskiego*.—*Astrea* Franciszka Grzymały.—Wartość literacka tego pisma.—*Iliada* Homera w przekładzie Franciszka Dmochowskiego.—Stanisław hr. Potocki, książę mówców.—Pierwsze objawy romantyzmu.—Posągi: Jana Sobieskiego w Łazienkach królewskich i księcia Józefa Poniatowskiego, dłuta Thorwaldsena.—Obrona klasycyzmu.—Recenzja Fr. Grzymały, pierwszych tomików poezyi A. Mickiewicza 1822 r.—Usiłowania klasyków, oddawania przedmiotu z natury, harmonijnie i malowniczo wierszem.—I. U. Niemcewicz.—Jan Kruszyński.—Franciszek Wężyk.—J. N. Kamiński brzmienie dzwonu naśladuje.—Ludwik Rajszel, bajkopisarz. Jan Gorczyzewski, tłumacz satyr i listów Boala Despro.—Stefan Witwicki.—Jego ballady i romanse, piosnki sielskie.—Poezye biblijne.—Fryderyk Szopen (Chopin).—*Podróż do Ciemnogrodu* „Świszka krytycznego.”—Oburzenie księdza Surowieckiego.—Krytyka: *Świszta wyświsztany*.—Romans czy satyra obyczajowo-społeczna?—Żarzewie rozniecone pomiędzy romantykami a klasykami.—*Świątynia Wenery w Knidos*, poemat Józefa Szymanowskiego.—Wydanie jego w Parmie—Co jest romantyczność?—Wiersz A. E. Odyńca.—Jan Śniadecki: *O pismach klasycznych i romantycznych*.—*Romantyczność*, wiersz Mickiewicza.—Sonety Mickiewicza i jego rozprawa objaśniająca romantyczność.—Tryumf klasyków.

Dzieła dramatyczne Bogusławskiego dają nam dokładną wiadomość o stanie Teatru Narodowego z końca upłynionego i z początko-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za lipiec r. b.

wych lat bieżącego stulecia, a zarazem objaśnienie, jak się rozwijała literatura dramatyczna.

Dwie tylko sztuki oryginalne swoje, pomieścić w tym zbiorze autor. W tomie II *Spazmy modne*, komedią w 3-ach aktach, wystawioną w r. 1797 i *Henryka VI na łowach*, komedią w 3-ach aktach także, w której sam przedstawiał z wielkiem powodzeniem główną rolę téj sztuki.

Szczególne powody miał do napisania *Spazmów modnych*, która na scenie zyskała świetne powodzenie. Objasnienie tych powodów znajdujemy na czele téj komedii przez Bogusławskiego, który jako zajmujący obrazek ówczesnej społeczności podajemy.

„Przed dwudziestu laty (a zatem około r. 1777) spazmy, migrena i drżenie serca tak powszechną prawie po wszystkich wyższych domach były chorobą, że ją ledwie nie epidemiczną nazwać można było. Czy złość powietrza, czyli dobroć mężów, czyli nakoniec niezręczne sprawowanie się ówczesnych amantów, były tego powodem, do dziś dnia nie dali nam objaśnienia doktorowie, którzy z wszelką Hipokrata umiejętnością uwijali się około cierpiących piękności.

„To wszelako było istotną prawdą, która się nietylko poznać, ale nawet wielu mężom, a najprzyczniej służącym uczuć dawała, że ta choroba zjawiała się zazwyczaj wtenczas, kiedy jéj było potrzeba. Każde nieledwie niezadowolenie (naówczas jeszcze nieukontentowaniem zwane) sprowadzało ją natychmiast. Często używaną była za sposób usprawiedliwienia się z jakowych zarzutów, a częściej jeszcze za sposobność zasłużenia na nie. Nigdy zaś nie ustawała prędzej, aż póki, jak pogańskie bożyszczka, drogą jaką ofiarą ubłaganą nie była. Jeżeli gdzie zobaczono niespodziewanie nowy ekwipaż, nowe brylanty, nowego przyjaciela, zaraz się domyślano (bo czegoż się nie domyśla złość ludzka), że tam spazmy albo migrenę leczyc musiano. Świadek takowych nie w jednym domu przypadków, nieraz zastanawiałem się nad szkodliwą społeczeństwu słabością, a chociaż ani stopą nie postąłem w świątyni Galena, domyślałem się wszelako, że ona nie we krwi, nie w ciele, ale w umysłach miała swoje siedlisko. Kilkakrotnie zabierałem się do wystawienia onéj na scenie, ale ilekroć brałem pióro do ręki, zawsze mi wypadało z przestachu, gdy sobie przedstawiałem skutki zuchwałości mojej, porywać się na słabości płci pięknej, wyjawiać tajemnicę, jéj tylko i uprzywilejowanym jéj lekarzom wiadomą. Następujący przypadek przymusił mnie do uskutecznienia tego długo wstrzymywanego przedsięwzięcia.

„Znajdowałem się naówczas we Lwowie. Pewna panienska, w grono artystów dramatycznych policzona, przy pięknej postaci, powabnej twarzy i świeżych młodości wdziękach, tak niezgrabną, nieczułą i niezdatną do sztuki scenicznej, przy początkowych rolach okazała się, że cała publiczność, załując mocno uprzyjemniających ją darów natury, jednomyślny wydała wyrok, że nigdy i do żadnej roli nie będzie zdatną. Chociaż nie pierwszy już raz udało mi się było, z nieczy-

niących żadnej nadziei, wystawić później ulubionych publiczności artystów, wyznać wszelako muszę, że i sam o ulepszeniu wspomnianej młodej aktorki wątpić zaczynałem; kiedy wchodząc raz do jej pomieszkania, zastałem u nóg jej kochanka w rozpaczy pogrążonego, onę zaś najstraszliwsze drżenie serca tak przewybornie udającą, że zdawała się być w ostatnich konwulsjach śmierci. Spojrzawszy na mnie wchodzącego wzrokiem, który w uśmiechu twarzy, udanie choroby potwierdził, dała mi sposobność poznania, jak wybornie i naturalnie podobne spazmy wystawiłaby na scenie.

„Siadłem nieodwłocznie do pióra, a w skończonej w ciągu dwu miesięcy komedyi *Spazmy modne*, umyślnie dla niej rolę starościny, doskonale wprzód wyprobowałszy jako aktorkę w pierwszych rolach grać zaczynającą, wystawiłem na scenę. Nie potrafię opisać zadziwienia i zadowolenia patrzących, równie jak doskonałego przez tę młodą osobę wystawienia rozlicznych sposobów młodości, jęków, wzdychań i konwulsyi, które zdawały się wyrzucać serce z jej piersi. Tysiączeni uwielbiona oklaskami, wystąpiła w innych rolach i zyskała świetne powodzenie.”

Komedia *Spazmy modne* przychylnie na scenie przyjęta, w pięknym towarzystwach wiele na autora zagniewanych spojrzeń i dotkliwych ściągawszy przycinków, przetrwała nakoniec burze, a jak wszystkie rzetelne prawdy, rzuciwszy światło na tajemnicę modnej choroby, niejedno zaprawdę małżeństwo od przykrych uwolniła udrczeń.

Z literaturą dramatyczną obcą, a szczególniej téż prawdziwemi arcydziełami, Bogusławski wczesnie poznał publiczność polską. Molier ukazał się na scenie narodowej w r. 1781 z komedją: *Szkola kobiet*, jakkolwiek prozą z wiersza przełożoną w V aktach, oraz *Przekory miłosne* tegoż w r. 1783. Drukując *Szkolę kobiet* w dziełach swoich Bogusławski, dołączył zarazem życiorys Moliera.

Sławną w owe czasy *Lessinga* tragedją w pięciu aktach, przetłumaczył i na scenie warszawskiej przedstawił w r. 1790. We trzy lata później ukazała się komedia wyborna Ryszarda Scheridana (r. 1793), p. t. *Szkola obmowy*, w V aktach, ale nie w tłumaczeniu z angielskiego, ale przerobiona i do świata polskiego i osób zastosowana. Przy zmianie układu wielu scen, dana w coroczną uroczystość koronacyi Stanisława Augusta, zyskała oklask powszechny. Przedstawienie jej było wzorowe, do czego przyłożyli się głównie najznakomitsi ówczesni aktorzy: jak Owsiniński zwany „Garrikiem polskim” (w roli starosty), Truskolawska przy pięknej postaci i wdziękach, wykwiintnym ubiorem, wesołością humoru, w roli starościny; Swierzawski, przedstawił po mistrzowsku cześnika, jak Mierzyński regenta, a przybyły z piotrkowskiej palestry Każyński, nieporównanie oddał rolę nadętego młodego adwokata. Role kobiet aktorki: Ludwika Iwańska, Deszner, Pjerożyńska i Maranowska, doskonale w myśl przybranych charakterów odegrały, jak znakomity Hempiński dobitnym w pierw-

szłej scenie opisaniem wszystkich osób, występujących na scenę, zwrócić ciekawość i zajęcie całej publiczności.

Bogusławski chlubił się tём, że król, czytając jego przeróbkę w rękopiśmie, w wielu miejscach ją własnoręcznie poprawiał.

Później, bo w siedm lat ujrzała publiczność warszawska Szekspirowego *Hamleta* (1797 r.), przełożonego z niemieckiego i zastosowanego do wymagań ówczesnych teatru.

Alfierięgo tragedia w 5 aktach *Saul*, przedstawioną została już za czasów Księstwa Warszawskiego 1809 r., gdy krąk ten po napaździe wojsk austriackich, chwilowo odetchnął po burzy wojennój, wstrząśnięty nią do gruntu.

Nie możemy pominąć opery w 2 aktach: *Nedza uszczęśliwiona*, która jakkolwiek nie napisana przez Bogusławskiego, w zbiorowém wydaniu dzieł jego wydrukowaną została, z objaśnieniem, „że nie w chęci przywłaszczenia sobie cudzjej pracy, ale jedynie w zamiarze zachowania onjej od zupełnej zczasem zraty w tym zbiorze pomieszczona.” Jakoż była to najpierwsza oryginalna opera polska. Dzieje jej są ciekawe: pomiędzy kadetami korpusu królewskiego w Warszawie, znalazło się w r. 1776 kilku z młodzieży, którzy ucząc się muzyki, szczególny talent do śpiewu pokazali. Stanisław August objawił życzenie, ażeby mógł ich słyszeć razem śpiewających. Ks. Franciszek Bohomolec, w chęci spełnienia woli królewskiej, znany jako autor komedy grywanych w kolegiach jezuickich i pijarskich przez młodzież szkolną, ułożył komedyjkę w jednym akcie p. n.: *Nedza uszczęśliwiona* z dodaniem kilku piosnek. Została ona wydrukowana, ale graną nie była.

Maciej Kamiński muzyk, powziął myśl przedstawienia jej na Teatrze Narodowym, napisał muzykę do piosnek w niej umieszczonych i ofiarował ją ówczasowemu przedsiębiorcy teatru Montbrun, który gorliwie starając się o wydoskonalenie polskich artystów w tragedyi i komedyi, chciał jeszcze i śpiewaków wystawić. Przyjął więc z zapalem pracę Kamińskiego, ale że komedyjka z kilku tylko scen złożona, nie mogła nazwać się operetką, dorobiono do niej nowe sceny, oraz kilka pieśni nowych, na dwa akty podzielono i w takim stanie przedstawioną na scenie narodowej została. W zeszłym roku przypadała właśnie stuletnia rocznica pojawienia się w r. 1778 pierwszej opery polskiej i przypomniał nam ją Aleksander Wejnert w swojej rozprawie. Maciej Kamiński urodzony w Edemburgu, miasteczku węgierskiem 1734 r., w nadworniej kapeli hrabiego Henkela nabywszy początków muzyki, stale osiadł w naszej ziemi i serdecznie do niej się przywiązał, gdzie był cenionym nauczycielem muzyki gry na fortepianie. Lubo przyjęcie *Nedzy uszczęśliwionej* na scenie Teatru Narodowego świetnego doznało przyjęcia, gdy i głosy niechęci zabrzmiały, rozgniewany muzyk partyturę spalił, później jednak uproszony przez właściciela teatru Ryxa starosty piaseczyńskiego, nanowo ją napisał i udzielił. Ostatniem jego muzycznem dziełem była muzyka do kan-

taty, śpiewanej przy odstonieniu posągu konnego króla Jana Sobieskiego na moście w Łazienkach królewskich. Inne jego opery, jak do tekstu Zabłockiego: *Balik gospodarski* i innych, *Słowik* i *Tradycja załamiona*, zaginęły w niepamięci. *Nęcza uszczęśliwiona*, pozostała zawsze jako szczęśliwa próba pierwszych usiłowań opery polskiej, rozwijającej się z powijaków niemowlectwa. Pod zarządkiem bowiem W. Bogusławskiego, Teatr Narodowy śmiało się kusił w wystawianiu większych zagranicznych oper i w tej gałęzi sztuki dramatycznej niemałego doznawał powodzenia.

Rok 1821 w dziejach ruchu zmysłowego Warszawy, stanowi ważny a nowy okres. W tym roku bowiem pojawiły się *Poezye Kazimierza Brodzińskiego*, które więcej oddziały na ogólny smak społeczeństwa polskiej niż piękne jego i uczone rozprawy. W tym roku dokonywał żywota swego *Pamiętnik Warszawski* pod redakcją Feliksa Bentkowskiego, nie mogąc współzawodnictwa dotrzymać *Astrei* pod sterem Franciszka Grzymały. Ubywało coraz prenumeratorów, wreszcie wydawcy: Zawadzki i Węcki, nie mając zwrotu wydatków na druk i papier niezbędnych, dalszych kosztów ponosić nie chcieli. *Astrea, pamiętnik narodowy polski: historii, literaturze, poezyi, filozofii moralnej, ekonomii politycznej, rzeczom krajowym i dziejom współczesnym poświęcony*, nie tylko samym tytułem zaimponował, ale i treścią swoją, żywotną, mocno obchodzącą każdego wykształconego czytelnika. Grzymała był niepoślednim publicystą, a mając rozgałęzione stosunki z literatami, chętną u nich znalazł pomoc i poparcie; tembardziej, że do współudziału poruszył tym godłem Jana Kochanowskiego, położonem na czele:

„Służmy poczeiwój sławie, a jako kto może,
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.”

Zaraz też na początku pierwszego zeszytu *Astrei*, z taką przedmową wystąpił:

„Rozpoczynam nowy zawód, przejęty będąc czystym przywiązaniem do kraju i szczerą chęcią stania się wam użytecznym, ziomkowie! Przekonany jestem o wielkości obowiązku, które na siebie wkłada każdy piszący, a szczególnież każdy wydawca publicznego pisma. Wiem, że ten zawód jest trudniejszy, im więcej jest sprzeczności, które pogodzić z sobą należy. Dlatego też waszemu światłu zostawuję, ziomkowie! ocenienie przyszłych i terażniejszych usiłowań moich, pewnym będąc wyrozumiałości i pobłażania z waszej strony, przez wzgląd na ważność i trudność zamiaru.

„Żyjemy w czasach, które wymagają większego umiarkowania i rozwagi; lecz i w obecnej ważnej chwili, godzi się nam, a nawet powinniśmy troskliwie pielęgnować i kształcić język narodowy, tę najdroższą po przodkach spuściznę, którą (wypłacając się z długu ojcom naszym) w czystości odległym wnukom zachować jesteśmy obowiązani.

„Pole nauk jest zbyt obszerne. Niemało narodów pochłubić się może, iż żadnej cząstki téj niwy odłogiem nie zostawiło. My w wielu rzeczach wielkie poczyniliśmy postępy i w wielu względach niemyśmy potrzeby zazdrościć postronnym. Lecz ileż nam jeszcze zostaje do uzupełnienia? W jakże wielu przedmiotach jesteśmy dopiero uczniami, do nas więc należy dopełnić ten niedostatek! Kochajmy kraj własny, bo miłość ojczyzny jest najpierwszą cnotą cywilizowanego człowieka; a razem kochajmy nauki, rozszerzajmy w ziemi rodzinnej światło gruntowne, jako najtrwalszą chwałę każdego narodu, rękojmią i główną podstawę szczęścia społeczeństw ludzkich.”

Pisał to Grzymała w lipcu 1821 i podpisał się jako obywatel województwa Augustowskiego, wydawca i redaktor *Pamiętnika Polskiego Astrea*.

Słowa powyższe żywo przemówiły do serca ogółu; znaleźli się zaraz liczni prenumeratorzy i gdyby niepункtualność Grzymały nie odstręczała ich coraz więcej, mógłby się liczyć na parę tysięcy. Ale cóż, wydawał on pismo swoje własnym nakładem; prenumerata wychodziła na prywatne jego potrzeby, a papier i drukarnia regularnie nie odbierały należności. Ztąd zatargi i zwłoka, a przez lenistwo redaktora i brak często rękopismów. *Astrea* wedle prospektu miała wychodzić 1 i 15 każdego miesiąca, ale opóźnianie się ciągle zeszytów, tworzyło zaległości niedoścignione. Dość powiedzieć, że *Pamiętnik* ten rozpoczęty w lipcu 1821 do końca r. 1823, a zatem przez półtrzecia roku, obejmuje tylko cztery tomy niewielkich rozmiarów; pierwsze dwa po trzyzsta kilkadziesiąt stronic, tom trzeci i czwarty niespełna po trzyzsta. Pismo to pomimo usterków w prasie polskiej zaszczytne zajmuje stanowisko, a Fr. Grzymale przyznać trzeba, że był wyborynym redaktorem umięjącym dobierać zajmujące i pouczające przedmioty, będące na czasie i przeto pożądane dla czytelników. Znając uwielbienie niewygaste i wielką miłość, a nawet słabość dla Napoleona I swoich ziomków, którzy pomimo klęsk bohatera i niewoli na pustej samotnej skale Ś-tój Heleny, zwracali baczną uwagę na niego i chciwie każdej o nim wieści nastuchiwali, pomieszczał w *Astrei* tak pożądane wiadomości jak: *Ostatni rękopism Napoleona. Wiadomości historyczne o drugiej jego abdykacyi, przez Beniamina Constant. Rozmowa z generałem Rapp, po wyładowaniu z Elby* i wiele innych.

Historya zajmowała dział poważny i szeroki. Mamy tu materyały dziejowe zajmujące do dziejów starożytnych Polski, dzieje współczesne obok tego.

W dziale *literatury i sztuk pięknych* znajdujemy rozprawy gruntownie pisane i rozbiory najnowszych dzieł wychodzących. Pomiędzy pierwszymi dwie zasługują na szczególną uwagę: pierwsza o przekładzie *Iliady* Homera Franciszka Dmochowskiego. Nieznany nam z nazwiska krytyk-lingwista, zbija niedorzeczną plotkę, że Dmochowski tłómaczył z prozy pani Dacier.

„Wielu zarzucają (pisze na początku swęj krytyki) i dotąd jeszcze zarzuca Dmochowskiemu, że Homera przelęwał na język polski nie z oryginału, ale z tłumaczenia pani Dacier. Nie myślę zgłębiać jak dalece sprawiedliwym jest ich domysł, powiem tylko, że porównyując uważnie przekład polski z oryginałem, dostrzegłem w wystowieniu dziwnęj trafności, prostoty i wdzięku, co godnie odpowiada naturze języka greckiego. Przymtem oddanie prawie zawsze jednego wiersza Homera, jednym wierszem polskim, zbija już poniekąd ów zarzut: kiedy tłumaczyć z prozy pani Dacier, a nieumiejąc po grecku, żadną miarą nie byłby tego dokazał. Krótko mówiąc, Dmochowski jest wzorowym tłumaczem *Iliady*, a przekład jego uznalibyśmy najdoskonalszy, gdyby nie uchybienia w miejscach nawet piękniejszych.”

Te uchybienia w miejscach znaczniejszych gruntowny krytyk przywodzi, przytaczając tłumaczenia ich w językach włoskim (Cesarotti'ego), w niemieckim Vossa, nakoniec w angielskim Aleksandra Popego.

Tak obok oddania należnego hołdu pracy Dmochowskiego, nie pomija jego usterków, błędów i opuszczeń przy ściśtem porównywaniu z tekstem oryginału.

Zbliża się coraz więcej okres wybuchu walki pomiędzy klasyczością a romantykami. Jeżeli o romantyczności głucho było w czasach pełnych zapału całej społeczności naszęj za czasów *Księstwa Warszawskiego*, w pierwszych latach *Królestwa Polskiego* wyraz ten jak złowieszcze widmo dla konserwatystów klasycznych, zaczął się we mgle z początku ukazywać, następnie w coraz groźniejszęj postaci, z zachmurzonem obliczem zbliżać i grozić.

Stanisław hr. Potocki, *Książę mówców*, jak go zwano powszechnie w ową dobę, pierwszy użył wyrazu *romantyczność* na oznaczenie ciemnoty i barbarzyństwa w *Pamiętniku Warszawskim*, pisząc pod pseudonimem *Swistka krytycznego*. Ale pojęcie jakie do niego wówczas przywiązywał ten mąż zasługi, nie miało najmniejszego związku ze znaczeniem, jakiego nabrał w rozwoju następnym literatury polskięj. Już K. Brodziński w pięknych estetycznych rozprawach swoich, wraca mu właściwe znaczenie, odróżniające od klasycyzmu. Józef Kalasanty Szaniawski w tęj myśli kreśli tóż swoje uwagi o utworach i kierunku literatury naszęj; *Astrea* zaraz w pierwszym tomie swego istnienia, pomieściła *Listy o literaturze polskięj*, z których jak widzimy, już pierwsze jakby błędne ogniki zaczynają przeblęskiwać, owęj walki, która początkowe żarzewia w stos gorejący i palny zamieniła. Co czytamy w *Astrei*, wykazuje głębszego myśliciela i estetyka, który bezstronnie ocenia oba kierunki i ich wartość wykazuje; z tego powodu nie możemy pominąć szerszych z nich ustępów, które tém są ważniejsze dla badacza, że pisane były przed pojawieniem się Mickiewicza. Owóz czytamy w pierwszym liście:

„Po długięj przerwie, szanowny przyjacielu! przystępujesz jak widzę, do wznowienia ulubionęj ci walki między klasyczością a romantycznością, a przebiegając w krótkości stan literatury polskięj,

uważasz za zbyt liczne pochwały dawane Felińskiemu, Osieńskiemu, Koźmianowi i innym dziś znamienitszym poezji naszej pisarzom. Winą ich całą naśladowanie wzorów klasycznych. Rzuciłbyś, podług ciebie należało ten tór, tylu świetnymi gieniuszu pomnikami ozdobny. Wcałe nowa pod ojczystym niebem zrodzona, wszystkimi świeżości powabami jaśniejąca, lekka, więzów żadnych niecierpiąca bogini wzywa do wcałe odmiennych, daleko dla nas stosowniejszych zawodów. W tej nowój smaku krainie zrobili już znaczne postępy Dant, Lopez de Vega, Szekspir, Szyller, Goëthe, Lord Byron i inni romantyczni pisarze. Skoro się ich duchem przejmiesz, natenczas jak mniemasz, zrodzi się szczęśliwie nowy, wielce upragniony rodzaj poezji, na nowoczesnych wyobrażeniach oparty.

„Niesądź, abym klasycyzmowi czciciel zabobonny, hołd wyłączny starożytnym wzorom przeznaczał; abym mniemał, że rozbiorowy gieniusz Arystotelesa, zakreślił sztuce nieprzystępne granice; abym zachwycony pięknoscią budowy, jaką Francuzi na klasycznej wznieśli posadzie, wyłączać i potępiać miał wszelkie nam dotąd nieznanne pięknosci, dotąd jeszcze w łonie gieniuszu zawarte, które się przeciwczasem rozwijać mogą i pewnie rozwiją. Nie zrodziłem się w arkadyjskich gajach, nie zrodziłem się pod wiecznie pogodnym niebem, gdzie tyle wielkich, tyle rozkoszą upajających widoków natury, do słodkich i radosnych natchnień pobudza. Wznosi się nademną niebo posępne, puszcze ponure szumią dokoła ziemi rodzinnej, mróz drętwi strumienie, śnieg przyodziewa pola, łąki i gaje smutną jednostajności szatą! Zamiast wesołych mitologii urojeń, która z pochlebnych człowiekowi namiętności, bóstwa tworzyła; która rzecz każdą w pięknej i uszczęśliwiającej malowała postaci—surowe prawdy religijne każą mi rzekać się obecnych rozkoszy, padół ziemi za kraj wygnania uważa i do dalekiej nieznannej, za grobem istniejącej tęsknić krainy. Tyle odmian, taka strefa, religii, języka, zwyczajów i obyczajów różnica, musi zapewne do wcałe różnych pobudzać uniesień, i utworem wyobraźni, nowych, nam jedynie właściwych używać kolorów.”

W tym ustępie już widzimy pierwsze obudzające się uczucie narodowości w literaturze, i żywiołów jej dla odżywienia omdlewającego klasycyzmu. Posłuchajmy co dalej nasz estetyk z pierwszjej połowy bieżącego stulecia mówi, i jak wymownie w obronie klasycyzmu staje.

„Tak usprawiedliwiając śmiało romantyków zapędy, chcąc stargać jarzmo klasycznych prawideł; nie gardzimy jednak lekkomyślnie upominkami, jakich nam dostarczyły wieki poprzednie: nie posuwamy zadaleko uprzedzeń naszych za romantyczności bożyszczem, i zupełną bezstronnością powodowani, zapytajmy czyli niemasz w naturze powszechnych własności, któreby wszystkim strefom i wszystkim czasom były wspólne? Czyli wszelkie religie niemasz pewnej styczności? Czyli zdrowy, niczem nie ujarzmiony rozsądek we wszystkich krajach i wiekach, nie ulega pewnym powszechnym prawdom? Czyli przeto i dzie-

ła smaku, bez względu na czasów i na miejsc różnicę, nie gruntują się poniekąd na ogólnych i powszechnych zasadach?

„Któż obejmie i określi dokładnie całą różnorodność charakteru jedynéj ojczyzny mieszkańców? Jak każdy z nich ma coś właściwego! Jak trudno wynaleźć dwu zupełnie sobie podobnych ludzi? Jak mnogie, jak rozmaite, jak delikatne pomiędzy nimi zachodzą odcienia? Jak daleko większa jeszcze pomiędzy nimi spostrzegać się daje różnica, pomiędzy mieszkańcami pod względem strefy, religii, zwyczajów i obyczajów od siebie zupełnie odmiennych narodów? Pomimo téj atoli różnicy, gdzież jest zakąt ziemi, czyli gdzież był dotąd ucywilizowany naród, w którymby ludzie nieprzystępni byli lubéj uczuciom miłości? Nie znali gniewu, zemsty i innych namiętności uniesień; nie poczuli wyższej nad sobą, niewidoméj Istoty i nie przenosili się wieszczym pomysłem za okres nikłego życia? Wyobrazenie nieśmiertelności jestże wyłącznie religii chrześcijańskiej utworem? Główne to chrześcian wyobrazenie, byłoz zupełnie obce starożytnym narodom? Nie zachodzą jeszcze inne liczne pomiędzy dawnymi religiami, a tegoczesną wiarą styczności? Czyli zdrowy, nieuprzedzony rozsądek dawnych, pod tytuł rozmaitemi względami wzorowych wieków, stoi w sprzeczności z takimże rozsądkiem czasów obecnych? Bynajmniej: co u starożytnych było od miejscowych okoliczności niezależną, wszechwzględą, na naturze człowieka opartą, to i po upłynieniu najodleglejszych wieków, faktem być niemoże.

„Czemużbyśmy prawdy takie we względzie nauk nadobnych, zpod tego powszechnego wyłączać mieli prawidła; wyłączenie to byłoby zaiste większą dla dobrego smaku, daleko zgubniejszą arystokracją, aniżeli jest ta, o którą zwolennicy *romantycznej mary*, obwiniają mylnie, mniej może za popędem wyobraźni, lecz bardziej za surową logiką idących przeciwników, niczem nie powściągnionéj, z dzikości, niesforności i zupełnego rozprzężenia nawet zalety szukających pisarzy. Wszakże natura poprzedziła sztukę i dostarczyła jéj wszelkich wzorów. Sztuka poprzedziła przepisy, któreby bez niéj nie istniały; powszechne przeto prawidła, ze starożytnych wzorów wyczerpnięte, odnoszą się do natury, do owego najczystszejszego i niepomylnego źródła.

„Lecz od tych ogólnych, zadaleko prowadzących rozumowań, przystępując do uwag bliżéj rzeczy naszych dotyczących, nie zgodziliśmy się na to, że czyn jaki jasny, rozwijający się śmiało i porządnie, opowiadany z całym wdziękiem wymowy, podoba się i zawsze i wszędzie daleko więcej, aniżeli obnażone ze wszelkich wdzięków, albo téż mnóstwem ozdób przeciążone opowiadanie tłumy dziwotwornych zdarzeń? Że opowiadanie powinno budzić ciekawość, skoro bowiem zajmować nie będzie, któż wytrwa do końca? Że jedna rzecz tak przedstawiona, iżby wszystko inne przyczyniało się jedynie do podniesienia głównego przedmiotu, snadniej pojętą być może, aniżeli kilka razem zawikłanych ubocznych okolicznościami przyćmionych przedmiotów?

Że utwory poezji łatwo i mile wpływać powinny na umysł i serce słuchacza; nużąc go podobać się nie mogą? Że przeto są pewne, ogólne, powszechne zasady gustu, które aczkolwiek dawno odkryte, nigdy jednak świeżości swojej nie tracą i w późne wieki utworom geniuszu nie przewodniczyć, lecz towarzyszyć będą.

„*Klasyczność* je odkryła i czuwa nad niemi, nie idzie jednak za-
tém, aby nam zabobonne naśladowanie wszystkich starożytności szczegó-
łów zalecać miała. Tak jest zaiste, *klasyczność* nie pragnie bynaj-
mniej, abyśmy *nektarem* poili dzisiejsze niebiany, abyśmy którego
z nich pod postacią łabędzia do nowój Ledy przywiedli; abyśmy zazdro-
snego malowali Wulkana, pod Lipsk w greckie tarcze i dzidy zbroj-
nych prowadzili rycerzy, ani też ażeby bóg męztwa i boju Mars krwa-
wy, dzisiejszym rotom przodkował.

„Jak Homer wierny swojemu czasowi, nie maluje gromów ze śpi-
żu miotanych, Achilla orderem Orła białego nie zdobi, ani Hektorowi
marszałkowskiej nie daje butawy; podobnie też nie strójmy bohaterów
naszych w szaty Rzymian i Greków: tego *klasyczność* nie żąda, naucza
owszem najwierniejszych dobrać kolorów, podaje ogólne na naturze
wszystkich miejsc i wieków oparte prawidła.”

Pięknie to brzmiące są słowa, ale w zastosowaniu nie miały za-
dnego znaczenia, czego widoczne mamy dowody. Jan Sobieski w Ła-
zienkach królewskich na moście, tratując koniem rozbitych mużułma-
nów, w rzymskim hełmie i stroju galopuje, to pomnik zeszłego wieku.
Nawet w naszym stuleciu gdy składką kraju polecono sławnemu rzeźbia-
rzowi Thorwaldsenowi wykonanie posągu księcia Józefa Poniatowskie-
go, położono za główny warunek, ażeby go po rzymsku przystroił: ar-
tysta spełnił życzenia, a gdy w Warszawie go odlano, towarzysze broni
bohatera, ze zgrozą oburzenia spoglądali na postać ulubionego wodza
i swój niechęci bynajmniej nie taili. Taką to jeszcze *klasyczność* miała
przewagę. Ale idźmy dalej za jój obrońcą.

„W wymowie naszój nie naśladowujemy wszystkich szczegółów Izo-
krata, Demostenesa i Cycerona, nie zwracamy wyrazów do Kapito-
lińskiego Jowisza; ale objawmy cele dotyczące się mowy, ale zbierzmy
wyjaśniające i utwierdzające rzecz naszą dowody: ale zachowujemy
w całym ciągu, ciągły, jasny i przyzwoity postępek. W poezyi malujemy
czyny, malujemy uczucia, obyczaje i zwyczaje naszego narodu; czer-
pamy we własnym życiu; życie przenieśmy w poezją, ale przenieśmy
rządnie, przenieśmy tak żywymi, tak prawdziwymi kolorami, jakiemi
przedmioty swoje wydawali starożytni pisarze.

„Otóż to właśnie czego *klasyczność* wymaga, to, w czém staroży-
tne wzory naśladować należy.

„*Klasyczność* jest-li owym tyranem, który swoje więzy i urojenia,
bezwarunkowo narzuca? Jestto owszem doświadczeniem wieków upo-
sazony, łagodny doradzca; jestto bóstwo opiekuńcze wolnej nauk Rze-
czypospolitej, niedopuszczające, aby ginęła zbytnią i wyuzdaną wolno-
ścią. Słodkie jest jego jarzmo, jak słodkie są więzy czystej miłości,

za których granicą, niemasz lubój, niemasz niebiańskiej rozkoszy: jest tylko burzliwe i prędki niesmak rodzące uczucie. Ktoby zaś w klasyczności kodeks despoty upatrywał, ten widziałby więcej niżeli jest w istocie, i walcząc przeciwko urojouemu widmu, przypominałby rycerza w Cerwantesie, staczającego boje z wiatrakiem.

„Bo i któż każe trzymać się ślepo martwych przepisów? Któż każe z Arystotelesem, Homerem, lub Boalem w ręku ważyć na szali szkodliwości, czyli ta lub owa scena wrażenia na sercu i duszy czynić powinna? Kto z prawdziwych znawców sztuki utrzymywać może, że starożytne jedynie przedmioty obrabiać należy, że form dawnych udoskonalać i nowych, ale przedmiotów właściwych, ale na powszechnej zasadzie rozsądku opartych form, tworzyć nie wolno? Klasyczni pisarze nie sąż nam w tój mierze swobody dowodem? Czy poszedł Wirgili niewolniczo za śladami Homera? Nie jestże wcale nowym Owidyusz w swoich *Przemianach*? Nie postrzegamyż w tragedji greckiej od Eschila do Eurypidesa wielkiego postępu? Zostałaż zawsze na jednym stopniu tragedya francuzka? Ester, Atalia, a mianowicie Polieukt, Mahomet, Templaryusze, Cyd, Alzyra i Zaira nie sąż duchowi nowożytnemu, nie sąż romantyczności właściwemi przedmiotami? Niemniej przeto utwory te do rzędu klasycznych należą. Nie zachowanie martwych prawideł, jak mianowicie z Cyda przekonać się można, ale prawdziwe dzieła doskonałości, stanowi klasyczność znamiona.

„Doświadczenie zaś przekonało, że doskonałość takowa, przy samowolném, żadną rządnością, nie powściągnioném bujaniu wyobraźni, w żaden sposób osiągniętą być nie może.

„Oreża przeciw klasyczności dostarczają dzieła tych pisarzy, którzy nie wzbogaceni zasobem potrzebnych wiadomości, nieobeznani z duchem czasu swojego, bez własnych uczuć i pomysłów, otoczyli się światem dawnym, przenoszą w dzieła swoje czcze formy, i jak papugi, lub martwe echo, powtarzają niejasne, przeistoczone, zeszkaradzone starożytnych obrazy.

„Stargajmy wreszcie wszelkie, tyle romantykom nienawistne klasyczności prawidła; porzućmy te pogańskie muzy, które wieszczom starożytnym boskie natchnąwszy utwory, wskazały drogę nieomylną do przybytku sławy: puścimy się za romantyczności natchnieniem! W jakąż to nową krainę, w jaki świat nowy, ta nas nowa gwiazda zaprowadzi?

„Oto z pewnością powiedzieć można, że ta ulubiona *Fea*, ta rozwiąztój żadnym prawom nieulegającej miłośnica wolności, wraz z grobem Sylfów swoich, długo nas po różnych utrudniwszy bezdrożach, doprowadzi nakoniec do tego samego, dawno ubitego toru, po którym stapał Homer, Sofokl i Wirgili, którym poszli Tas, Kornel i Rasyń, na którym zbierał Jan Kochanowski (po upływie trzech wieków) całą świeżością jaśniejące laury, którym poszedł nasz nieśmiertelny, a w utworach swoich tak narodowy, duchowi wieku swego zupełnie właściwy Krasicki; którym biedz się zapędził, nieco zbyt niemiem naśladownictwem

grzeszący, niemniej jednak znakomity i z wielu miar wzorowy Feliński, a który to tór dziś niestety! niestosowną dla nas *klasycznością* zowiemy.

„Lecz kiedy nam się tak podoba, kiedy upominki wieków niemożą być dla nas nauczającą przestrogą; doświadczajmyż o własnym koszcie: zdążajmy powoli i niepewną drogą do tego, czemeśmy odrazu, a przynajmniej prędzej być zdołali. Nie zaczynajmy postępów w sztuce od punktu na którym dotychczasowi najznakomitsi stanęli pisarze: zwróćmy ją owszem do pierwiastkowego nieudolności stanu. Snadziejszym to będzie od tworzenia dzieł, któreby surową na zasadzie zdrowego rozsądku opartą wytrzymać mogły krytykę. Ale jak mniemam, przykład Krasickich, Trembeckich, Felińskich, Koźmianów i innych w zawodzie literackim znakomitych mężów; dobrym smakiem i wymowy powabami jaśniejące rozprawy Osińskiego o literaturze, i własne nareszcie bezstronne zastanowienie się, ustrzedz nas zdołają od tej dobremu smakowi zagrażającej kolei.”

Ze zdumieniem, przyznajemy, odczytywaliśmy tę rozprawę P. H. Kalińskiego, który już poprzednio w *Astrei* oddając hołd talentom i zasługom Stanisława hr. Potockiego (autora *Swistka Krytycznego*), wykazywał uchybienia tego *księcia mówców* przeciwko naturze języka polskiego, ze zdumieniem, powtarzamy; gdyż pisał ją i drukował w r. 1822, kiedy dopiero pojawił się Mickiewicz ze swemi poezjami.

Wprawdzie grono jego zwolenników olbrzymio wzrastało, ale jeszcze walka romantyków z klasykami była w zaczątku, i tylko harce lekkie staczano; dopiero w lat kilka później, jak to zobaczymy, w otwarte szranki turniejowe wjechali w pełnej zbroi gorący zapastnicy i rozpoczęli z sobą bitwę *na ostre*, której się bliżej w dalszym ciągu szczegółowo rozpatrzemy, bo ciągnęła się blisko lat ośm bez przerwy.

Widać przecież z tego, że trwoga panowała w obozie klasyków, chociaż wokoło cisza panowała głęboka; przeczuwali, że nadchodzi burza, chociaż zwiastunów jęj nie widzieli. Horyzont literacki w Warszawie pogodny, bez chmury; organa prasy zajmując się polityką, mało co dotykały literatury, i to najwięcej francuzkięj. Zkądże obawa, z kąd pochwały klasyczności, a wstręt do romantyzmu; kiedy to dzikie widmo, jak go sobie wystawiano, niecierpiące żadnych więzów, najrozumniejszych przepisów, jeszcze się we właściwej nie ukazało postaci. Widać zdaleka jak czujne oczy i uszy klasyków, przeczuwszy je, oczekiwały ażeby na nie gromadnie uderzywszy, za pierwszym pojawieniem zdławić i zdusić.

Tymczasem przyszły wieku hetman *romantyków* siedział spokojnie w Kownie, i jako profesor literatury zajęty był lekcjami, przygotowując zbiór poezyi swoich do druku, wykończając poetyczną powieść *Grażynę*. Dwa małe tomiki miały składać to wydawnictwo, jakoż w ciągu dwu lat 1822 i 1823 ogłosił je w Wilnie w drukarni Józefa Zawadzkiego. Druk drobny, ścisły, ale wyraźny; okładziny czerwono-ceglaste. Lista prenumeratorów pomieszczona na czele pierwszego

tomiku wykazuje ich liczbę sto trzydzieści dziewięć, między temi Joachim Lelewel na trzy egzemplarze.

Sam redaktor Grzymała, w tomie III *Astrei* (rok 1823), wystąpił z pierwszym rozbiorem tych poezyi. Przywiedziemy z niej ustępy, jako ciekawy zabytek owych sądów, które na pierwszym wstępie w szranki literackie ten geniusz spotkały w Warszawie.

Grzymała wyliczywszy treść obu tomików, pisze dalej:

„Podobne rzadkie zjawisko w literaturze niemieckiej lub francuzkiej ściągnęłoby liczne rozbiory i recenzje; lecz nasze pisma krytyczno-literackie obznajmiając nas z dziełami hiszpańskimi, szwedzkimi i duńskimi (przymówka do *Gazety Literackiej*) i t. d., nie poczynały za obowiązek zwracać uwagi na wiele dzieł narodowych, a między innymi nic nie wyrzekły o pismach Mickiewicza.”

„Pisma p. Mickiewicza (pisze dalej) wcale nie mogą być lekceważonemi, nie mogą zasługiwać na obojętność. Owszem śmiało powiedzieć mogę, że jego poezye w dzisiejszych czasach *rozdwojenia estetycznego*, w walce stronnictw poetycznych, toczących się od niejakiego czasu w Europie, a nawet i w Polsce, tém większą powinny zwracać uwagę piszących rodaków, bo p. Mickiewicz pierwszy prawie z rodaków poszedł otwarcie tak okrzychaną drogą *romantyczną*, bo wykształcony na wzorach romantyków angielskich i niemieckich, w mowie narodowej przemawia ich językiem, nie jako tłumacz, ale jako pisarz oryginalny, czerpający w łonie przeszłości, w łonie wieków odległych swego narodu, osnowę do swych utworów. Pieśni, podania a nawet zabobony ludu litewskiego i pogranicznych narodów, są główną podstawą jego poezyi. Chce on stworzyć poezją ludu, w czém mu obfita mitologia litewska i obfite źródło śpiewów i podań ludu tamecznego na wielkiej są pomocy. Albo więc gorliwsi stróże smaku, kształconego na wzorach klasyczo-francuzkich, powinni mu wydać otwartą wojnę i w samym zarodzie stłumić niebezpieczną zarazę; albo umiarkowani, szukający jakiejś średniej drogi, pragnący pojednania stronnictw rozjątrzonych, powinni bezstronnie ocenić wartość pism jego, w rzetelném świetle wystawiając zalety i wady.

„Nie wdając się w ocenianie szkoły, jakiej jest zwolennikiem p. Mickiewicz, przyznać należy, że natura obdarzyła go wszystkimi przymiottami, które są poecie niezbędnie potrzebne, to jest: ma mocną, żywą i obfitą imaginacją, jest czułym, tkliwym i tę czułość i tkliwość, we wszystkich tworach swoich stara się rozlewać: najczęściej przebija się łatwość, zrećność i rozmaitość w wyrażaniu myśli i uczuć. Słowem, o ile pana Mickiewicza niemożna podawać bezwarunkowo za wzór do naśladowania młodzieży, rozpoczynającej zawód poetyczny, o tyle odmówić mu niemożną najdojrzałe umysły prawdziwego talentu, i jeżeli jako prawdziwy talent dalekim zostanie zawsze od zarozumiałości; jeżeli w trudnym zawodzie dążyć będzie stale do ostatecznego wydoskonalenia, Pol-

ska, w nim wkrótce ujrzy prawdziwego i oryginalnego poetę, czego jęj właśnie w tych czasach potrzeba."

Zamknawszy w tych słowach wiadomość o pojawieniu się młodego poety, z *Dziadów* przedrukowyya na czele pomieszczony wiersz *Upiór*, a w następnych zeszytach podaje z ballad: *Powrót Taty*, *Switezianka*, i krótki wierszyk: *Pierwiosnek (Primula veris)*.

Widzimy z tego, że przyjęcie pierwszych utworów Mickiewicza, nawet w obozie klasyków było przyjazne, bez żadnej cechy nienawiści, która się dopiero później objawiła, po obustronném, długim rozdrażnieniu.

Tymczasem poeci klasyczni odbywali narady, wysilali głowy nad wynalezieniem sposobu takiego dobierania wyrazów, ażeby one samém brzmieniem dosadnie, harmonijnie i z całą ułudą, pomyślany przedmiot malowniczo oddawać mogły.

Zgodzono się po długich debatach na to wreszcie, że pewne litery powtarzane, wielce temu dopomódz mogą.

Zacny, sędziwy J. U. Niemcewicz, który chętnie stawał zawsze albo na czele, albo w pierwszym szeregu do podjęcia pracy, która mu do myśli, smaku lub serca przypadła; pisarz z prawdziwém pojęciem piękna poszedł za tém marzeniem wierszopisarzy klasyków, i niedługo napisawszy wiersz, mający naśladować turkot wodnego młyna, i plusk spadającej z koła wody; na jedném zebraniu skandował swój wiersz brzmiący w tych słowach:

„Kołacącego młyna, kręcące się koło.”
 - - - √ √ √ √ - - - - √ √

a skandował go po sylabie, ażeby uwydatnić obrót koła i plusk spadającej wody.

Słyszając to obecni, przyklasnęli jednomyślnie autorowi, przyznając że wybornie naśladuje naturę.

Wówczas wystąpił Jan Kruszyński, zacny i zasłużony pisarz, który nieraz z obcych języków szczęśliwie tłómaczył. Ten pragnął oddać harmonijnie szmer spadającego śniegu na ziemię. Trzymał się on położonej na poprzednich zebraniach zasady, ażeby zadanie trudne ułatwić sobie powtarzaniem jednej litery w wyrazach użytych. Wymozolił więc dwa następne wiersze:

„Szum, świst, szelest szumi w suchym lesie;
 Śnieg sypie ślady: śniady śnieg ściele się.”

Skandował podobnież sylabę po sylabie, i tyle szumu wywołał, że obecni spoglądali, czy na prawdę śnieg gęsto nie pruszy.

Albo malując drzenie ziemi pod kopytem licznej jazdy:

„A ziemia drżała pod tententem koni.”

Kasztelan Franciszek Wężyk, pragnąc oddać harmonijnie wytrysk krwi z rany zadanej, umyślnie, jak mi sam opowiadał, w wyrazach dobierał litery *r* i napisał w tragedyi swój: *Glinski*, wiersz taki:

„Wnet krew w ranach wezbrana, trysnęła potokiem.”

który Ignacy Humnicki, żywcem do swéj tragedyi: *Żółkiewski pod Cecorą* wcielił.

Jan Nepomucen Kamiński, tłómacz *Obozu Wallensztecjna* F. Szylera i wielu jego ballad, poeta władający po mistrzowsku ojczystym językiem, w téjże saméj myśli nie mało się napocił. Wreszcie ażeby dobrze oddać głos dzwonu, napisał wiersz p. t. *Myśl pod krzyżem*, wydrukowany w kilka lat później w piśmie zbiorowém Chłędowskiego p. n. *Haliczanin*, (tom pierwszy,) w którym taką strofę na początku pomieścił:

„Czas, wieczność karmi światowym wyszczerbem.
Był! Czasu pieczęć! *Był!* grobowym herbem.
Był! i grobowe skrzypnęły zawiasy,
 Po wszystkie czasy.”

Owóz ten wyraz *był*, wymawiany przeciągle z pewnym naciskiem, miał naśladować bicie dzwonu. Trzeba było styszcć, jak ja miałem sposobność we Lwowie, gdy sam Kamiński wymawiał, przeciągał ten wyraz *był*, nadając mu brzmienie jakby metalowego echa. W jego ustach rzeczywiście coś przypominało uderzenie dzwonu.

Była téż wielka liczba wierszopisarzy, którzy głęboko rozmyślali nad wynajdowaniem najtrudniejszych rymów. Szkolny mój kolega Ludwik Rajszel, bajkopisarz, oficer czwartego pułku piechoty liniowej, całe życie troskliwie wyszukiwał nadaremnie rymu do wyrazu *bęben*. Niech mu Bóg niepamięta, a dawno pocziwy ten koleżka spoczywa w grobie, ile on mnie o ten rym namęczył.

Klasycy do téj pory stali górą i tryumfowali, umieli téż zręcznie wyzyskiwać każde pojawienie się pracy z ich szkoły wychodzące, które nosiło chociażby drobny ślad talentu i sumiennosci wykonania.

Żył pod owe czasy zacny kapłan, opat komendaryjny sulejowski, członek Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ks. Jan Górczyzewski († 1823 r). Mąż ten w zawodzie pedagogicznym oddał niemałe usługi krajowi, jako profesor i rektor w szkołach publicznych. Zapalony zwolennik literatury pięknej, wydał w r. 1803: *Satyry Boileau Despreaux*, przekład z francuzkiego. Nie można odmówić ani talentu, ani staranności przekładu. Wiersz płynny i okrągły, język czysty i wytworny, wskazywały dorazu wytrawnego pisarza. Nie był to gorszy tłómacz od Fr. Dmochowskiego, ale nie był téż i lepszy. Ale klasycy niemając pod ręką lepszego dzieła, któreby odpowiadało ich widokom i tak zgodnego z przepisami istniejącego kodeksu literackiego, tę pracę wysuwali naprzód, oddając jéj wielkie pochwały. Nie powiemy, żeby ona ze wszelkich względów na ten hołd zasługiwała, ale zawsze była i pozostanie pracą poważną w dziejach literatury naszej. Rozgłos jéj nadany skłonił tłómacza, po wyczerpaniu pierwszėje dycyi, do przejrzenia jéj na nowo w celu poprawek, jakie za stosowne uznał i powiększenia. Znalazł téż chętnych nabywców. Jakoż firma Zawadzkiego i Węckiego wydała tę pracę w okazalszėje niż zwykle edycyi, w dwu tomach (w 8-ce) 1818 r., p. n.: *Satyry Boala Despro z przystosowaniem ich do rzeczy*

polских, w powtórném wydaniu poprawione. Tudzież *XII listów* tegoż autora i kilka innych innéj ręki, wierszem polskim przełożone przez ks. Jana Górczyczewskiego w dwu częściach, (w Warszawie 1818 roku).

Autor jakkolwiek w skromnéj przemowie do czytelnika, przypisuje sobie niemały wpływ na owoczesną społeczność, że położył tamę „napływowi ladajakich pism, któremi oświecenie publiczne i czystość języka polskiego były zagrożone; potem krzywdzącym cnotę, religią i charakter narodowy obyczajom, przycisnąć piętno tyle odrażające, aby oddani tym wadom, przynajmniej w publiczności przestali się z nimi popisywać. Obydwom tym zamiarom pożądaný skutek odpowiedział.”

Przywodziśmy dosłownie wyrażenia zacnego tłumacza, bo to jest cechą wydatną owoczesnych klasyków, że mieli przekonanie, iż ogromny wpływ na smak, kierunek myśli i ducha narodu wywierają. Uważali się jako kapłani oświaty, rozszerzyciele wiedzy, apostołowie prawdy i moralności; chociaż te bez ich wpływu, szły swoją zwyczajną drogą, kierowane ręką Opatrzności.

Niemaléj téż pociechy i tryumfu doznali, gdy po zjawieniu się pierwszych dwu tomików poezyi Mickiewicza, znalazł się najpierwszy ale i najniefortunniejszy jego naśladowca w Warszawie.

Był nim młody uczeń szkół krzemienieckich Stefan Witwicki, pisarz prawdziwego talentu gdy wszedł na drogę samodzielna, ale wówczas zapalony wielbiel, ślepy naśladowca. W gorącym pośpiechu napisał i wydał swoim nakładem w dwu tomach *Bullady i romanse*, które chciwie jako nowość rozkupywano. Słabe te utwory, niegodne pióra Witwickiego, sam autor najlepiej osądził. Pisarz prawdziwej nauki, wytwornego smaku, gdy ochłonał z pierwotnego szału, zaczął z równą gorliwością *Bullady swoje i romanse* wykupywać od księgarzy i palić w piecu. Tak się zawiął w téj sprawie energicznie, że w ciągu jednego roku zniknęły już z obiegu i stały się prawdziwie osobliwością bibliograficzną, *białemi krukami*. Cios jednak, jaki *romantyczności* zadał nieogłędném swém wystąpieniem, nie łatwym był do zagojenia. A klasycy mieli słuszny tryumf.

— Gdzież dojdzie nasza literatura?—wołali—jeżeli takich wywoływać ma Mickiewicz naśladowców; toć chyba zdziczeje ona, a praca przeszłych wieków pójdzie w marność. Nam potrzeba pisarzy ze smakiem i gustem, z uczuciem piękna, a nie takie dziwolągi.

I mieli prawdę za sobą; przecież w kilka lat, ten sam jak go nazwali *bazgracz*, wybił się wysoko nad ich poziom, wydaniem *piosenek sielskich i poezyi biblijnych*: w pierwszych umiał prostotę, wdzięk i naiwność pieśni ludowych zachować; w drugich zadziwiał powagą stylu prawdziwie biblijnego i poetycznością obrazów. Odtąd szedł Witwicki samodzielnie i stanął w rzędzie poetów i prozaików, których do najznakomitszych policzamy. *Piosnki sielskie* szczególnego doznały powodzenia, poparte przez genialnego Fryderyka Szopena. Muzyk ten wy-

brał kilka, które sobie upodobał jak: „Szynkareczko, szafareczko,” albo „O! gdybym ja była słońcem na niebie” i kilka innych i podłożył do nich muzykę. Tak ilustrowane piosenki rozbiegły się po kraju w najdalsze jego zakątki i ochotnie wszędzie były powtarzane, a imiona poety i muzyka nabierały zasłużonego rozgłosu.

Kiedy spoteoczność wykształcona Warszawy, żywo zajmowała się pojawieniem się Mickiewicza i jego naśladowców, to wrzawą klasyków zacięta, nagle uwaga jęj w inną stronę zwróconą została.

W roku 1820, nakładem swoim wydał Natan Glücksberg w czterech tomikach: *Podróż do Ciemnogrodu* przez autora *Świstka krytycznego*. Ten *Świstek krytyczny* znanym już był dobrze z *Pamiętnika Warszawskiego*; wiedziano że był nim minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego: Stanisław Kostka Potocki, mąż wielkich zasług dla oświaty krajowej i sam pisarz niepośledniego talentu. Równocześnie rozeszła się wiadomość o jego uwolnieniu z ministerstwa i chorobie z głębokiej zgryzoty, że usunięty został z godności, którą sobie najwyżej cenił. Publiczność, której był ulubieńcem, zaledwie wyszła wiadomość o pojawieniu się *Podróży do Ciemnogrodu*, rzuciła się skwapliwie do jęj rozkupu. Jakoż w ciągu trzech miesięcy, z nakładu 2,500 egzemplarzy (co na owe czasy zjawiskiem było osobliwém), wykupiono wszystkie prawie.

Dziełko to, jak i poprzednie *Świstki w Pamiętniku Warszawskim*, były celem ostręj krytyki, wywoływały okrzyki zgrozy i niechęci zjadliwej przeciw autorowi.

Był wówczas ks. Surowiecki, brat rodzony uczonego historyka Wawrzyńca, ale w niczem do tego czcigodnego męża niepodobny. Miał duzo nauki, lingwista niepośledni, ale fanatyk, który potrzeby oświaty i postępu pojnować nie mógł; ten sarkając ciągle przeciw Potockiemu jako *masonowi*, teraz bezimiennie wydrukował ostrą krytykę, pełną brutalnych wyrażen, mieszając z błotem i autora i dzieło, p. n.: *Świstak wyswistany*. Jakkolwiek cenzura ówczesna nie pozwoliła na druk, ks. Surowiecki potrafił tę publikacją wydać zpod prasy i rozpowszechnić wpierw, nim władza właściwa mogła przedsięwziąć odpowiednie kroki do powstrzymania tego paszkwilu. Odczytał go Potocki z uśmiechem pogardliwej litości dla autora, który w swęj zaciekłości nie miał miary i granicy.

Niedługo też dostojny wędrownik do Ciemnogrodu też zakończył życie (umarł w Willanowie pod Warszawą, d. 14 września 1821 r.). Zgon jego był prawdziwą żałobą między światłymi obywatelami, dla fanatyków i zwolenników zakonu smorgońskiego dniem radości i wesela. Pozbywali się bowiem kaptana światła i postępu, mogli oddychać swobodnie i drogą ulubioną bez przeszkody postępować.

Autor dziełko swoje przypisał hrabinie Janowej z Potockich Potockiej, a powód wydania we wstępie objaśnia:

„Wahałem się z ogłoszeniem *Podróży do Ciemnogrodzkiej krajiny*, bym nie pomnożył liczby książek, co się postarzawszy na półkach

księgarzy, a rzadko pozyskawszy zaszczyt oprawy, rozlatują się arkuszami po korzennych i piekarskich sklepach. Lecz zaspokoilo tę obawę pisemko umieszczone w numerze 32 *Tygodnika*, mianowicie te jego słowa: „A ty śpisz *Swistku!*” Z nich bowiem wniosem, że kiedy pisarz tak dowcipny wzywa *Swistka*, by stanął na pomoc dobrej sprawie, miał on czytelników, a może więcej niż ci wielcy ludzie, których uczenie tęskne lub heroicznie komiczne, spoczywają u ich księgarzy *in pace*. Wziąłem się więc natychmiast do zredagowania dziennika *Pielgrzymki mojej do Ciemnogradu*.”

Główną treścią całej pracy jest satyra, barbarzyńskich pozostałości dawnych wieków, a szczególnie też ukazanie potrzeby oświecenia, które leżało tak na zacnym sercu Potockiego. Publiczność z niezwykłym zajęciem czytała: *Wyjazd autora z Warszawy do Portu Osłego*. Szczęśliwe do niego przybycie, pobyt w nim przez dni kilka. Wizerunek gubernatora Osłego portu i wyjazd. Dzień pierwszy popasu u Bonzów. Nocleg w domu barona Derus'a. Walka z duchami, czarownicami i rozbójnikami niewidzialnymi; tryumf i zwycięstwo. Dalsza droga, popas u księcia Bojosława. Postać to wydatna i sympatyczna, w pośród wielu, którymi nas autor dotąd otaczał; przybywają wreszcie nasi podróżni do stolicy kraju: Ciemnogradu.

Niepodobna nam za autorem w szczegóły się wdawać drobne, które wszystkie ściągają się do jednego celu, do wykazania, czém państwo jest bez prawdziwej oświaty, jak nisko spada moralność społeczna. Obok tego mimochodem ciekawą wyczytujemy wiadomość (t. II, str. 173). „Któż wie, pisze Potocki, czyli po pół wieku, widzowie komedyi Niemcewicza: *Powrót posła*, nie wezmą ją za przesadzoną karykaturę i wierzyć nie zechcą, że był to wierny wizerunek podówczas żyjących przeciwników konstytucyi 3 maja.”

Autor nazywa dzieło swoje *romansem*, lubo w pierwszych dwu tomach jest raczej satyrą społeczną, moralną, obyczajowo-ekonomiczną, gdyż maluje administracyą Ciemnogradu, wysokich dygnitarzy, ich sposób zapatrywania się na zarząd powierzonyj im części kraju, moralność w ich urzędowaniu, handel, przemysł, rolnictwo i stan najniższej warstwy ludowej. Dalej za przybyciem do stolicy, daje nam obraz samego monarchy Ciemnogradu, jego otoczenia i dygnitarzy, rządu, skarbu, policji, inkwizycyi świętej, przedstawia siedmiu winowajców osądzonych przez tę inkwizycyą i ich spalenie żywcem. W opisach powyższych nieraz stawia porównanie pomiędzy starą z XVII stulecia Rzeczpospolitą polską a Ciemnogradem, wynajdując je, lubo nieraz w przesadzonej paraleli.

Prawdziwym romansem zaczyna być *Podróż do Ciemnogradu* od trzeciego tomu i dramat pełen życia, nadzwyczaj się szybko rozwija. Śmierć nagła panującego monarchy, wywołuje liczne katastrofy. Córka jego, księżniczka Pięknosława, obejmuje po nim najwyższą władzę i opiekę nad młodszym bratem, prawym następcą, jakkolwiek pełnoletnim. Książę Bojosław, mąż zarówno rozumnej rady, jak wojownik

doświadczony, staje w obronie młodego następcy tronu. W wychowawcy jego Wandzie, kocha się właśnie Wacław, towarzysz podróży naszego autora, dowódca szwadronu jazdy, nie tylko dzielny kawalerzysta i rębacz, ale człowiek wykształcony i dorodny.

Od pierwszego poznania uroczą i powabną Wandą, towarzyszką i przyjaciółką księżniczki Pięknosławy, zajęta jego myśl i serce. Widział przeszkody i zawady, ale te powoli usuwa. W ciągu romansu Wacława i Wandy wybuchła wojna domowa, do której daje hasło księżniczka, opiekunka i protektorka starego zwyczaju i rządu, poparta przez zuchwałych baronów i ich nadworne wojska. W stoczonym przeciw bitwie pod murami Ciemnogrodu, wojska burzycieli, jakkolwiek o wiele silniejsze od zastępów młodego króla, pod wodzą księcia Bojostawa, pobite na głowę zostały, duma baronów ukorzona, a księżniczka w przestraszu szukała schronienia w klasztorze Bonzów; ale nie ścigali jéj bynajmniej wspaniali zwycięzcy.

Po uspokojeniu burzy wojennej, za pozwoleniem księcia Bojostawa, z którego córką następcą tronu się ożenił, poślubił Wacław piękną Wandę i wraz z przyjacielem swoim a autorem podróży, zaczęto się gotować do powrotu. Księżniczka Pięknosława na morową zarazę umiera. Zanim nasi wędrownicy opuścili Ciemnogród, zaszły wielkie w téj krainie przemiany, gdyż zaprowadził młody król, przy energicznej pomocy księcia Bojostawa, ład i porządek w rządzie, zrównoważenie wydatków z przychodami, uporządkował siłę zbrojną, poskromił swawolę dawnych baronów, karcąc nadużycia i przynosząc ulgę biednemu ludowi wiejskiemu.

Z upadkiem dawnego rządu w Ciemnogrodzie, runęły dwie akademie podobne w zastosowaniu do kierującej w nim myśli. Że one musiały mieć licznych u nas zwolenników, dowodzi tego ustęp następny, który Potocki pomieścił w tomiku IV swéj podróży, pisząc o wstępie na tron młodego, ale światłego i żądnego postępu następcy.

„Tak upadł sławny ten zakon, już w zasadach swoich zachwiany, od śmierci nieodżałowanej dla niego pamięci Mieczysława V, co był wzniósł sławę jego do najwyższego stopnia. Tak pozbawieniśmy zostali pożądanego widoku wspaniałych obrzędów jego, których pono już jedyny ślad został w *Swistkowych* opisach. W nich się nauczyć możesz, czytelniku, jak znakomitemi dla nieoświecenia prace Zakonu były. Lecz szczęściem snują się jeszcze cienia jego wśród europejskiej oświaty: a Smorgońska i Pacanowska ¹⁾ akademie, mają u nas gorliwych stronników.”

¹⁾ W przysłowiach narodowych przechowały się oba te miasteczka. Smorgoń na Litwie, w gubernii Wileńskiej, służyło z przemysłu mieszczańskich, którzy się trudnili hodowaniem i uczeniem niedźwiedzi, oprowadzając je po całej niemal Europie, i okazując zdziwionemu gminowi ich tańce i nadzwyczajną karność tych drapieżnych zwierząt. Słynęła więc po całej dawnéj Polsce i Litwie ta szkoła, żartobliwie „Akademią smorgońską” przezwana,

Znał ich dobrze jako minister oświecenia publicznego Potocki, bo walczyć z nimi musiał prawie na każdym kroku i usuwać przeszkody i zawady, jakie mu z wielką zręcznością umieli stawiać, sami napózór nie biorący w tém żadnego udziału.

Nie powiemy, że *Podróż do Ciemnogrodu* niema stron ujemnych i wielu miejsc słabych, że autor nie ukrywa swój niechęci do duchowieństwa; ale jeżeli poważna, surowa a rozsądna krytyka miałaoby nie mało do zarzucenia, całość jak i dążność autora przeważy zawsze ujemne strony.

Podróż ta przecież nie zasługiwała na tak bezwzględną krytykę, jaką napisał ks. Surowiecki w swoim *Swistaku wyswistanym*, gdyż nie była to ani recenzja, ani krytyka, ale wystąpienie brutalne przeciw osobie znieprawionego ministra oświecenia. Takie sprawy należą już do sądów kryminalnych, których szczęśliwie uniknął autor tego paszkwilu.

Równocześnie żarzewie rozniecone przez pierwsze objawy *romantyczności*, zaczęło gorzeć, a po zjawieniu się Mickiewicza, zamieniać w ognisty płomień, rozszerzający się coraz więcej. Nowe organa prasy warszawskiej jak *Gazeta Polska*, *Kuryer Polski*, wreszcie poważny zeszytami organ naukowy *Dziennik Warszawski*, te trzy pisma stanęły razem w jednym szeregu, jako najgorliwsi szermierze i obrońcy nowego kierunku literackiego, a głównie téż poezyi polskiej. Rzeczywiście cała społeczność nasza już była znudzona i zmęczona czczością tak zwanęj poezyi klasycznej. Niezręczność, ba, nawet zarozumiałość krytyki klasyków, tę niechęć wzmagala.

Zasłepieni dla literatury francuzkiej i nieograniczone dla niej uwielbienie, były powodem ostrych przycinków i słusznego śmiechu. Dość tu przypomnieć wypadek z drobną powiastką Montesquieu'ego p. t. *Świątynia Wenery w Knidos*. Józef Szymanowski w ostatnich latach zeszłego wieku, z prozy francuzkiej przerobił ją na poemat. Sam, zanny życiem i zasługami dla kraju obywatel, w wolnych chwilach od prac publicznych krajowych, zajął się tą przeróbką prozy francuzkiej na wiersz polski, jako miłą dla siebie rozrywką; ani myśląc, ani przypuszczając, że z téj drobnostki ktoś zechce zrobić jakieś ważne, literackie dzieło.

Józef Szymanowski w r. 1801 umiera, i w tymże samym roku Potocki, autor *Podróży do Ciemnogrodu*, wystąpiwszy z jego pochwałą

a zatem poszły różne przysłowia: „Uczeń ze Smorgońskiej szkoły;” „Gagatek smorgoński;” „Uczył się w Smorgoniach” (na głupca i nieuka używane).

Pacanów w gubernii Radomskiej, powiecie Stopnickim, dało powód przez jakieś niepomyślne wypadki, licznym z siebie uragowiskom. Niedowarzonego, niezgrabnego i zarozumiałego młodzieńca, oddawna u nas nazywano: „Uczniem akademii Pacanowskiéj.” Liche zapewne musiały być szkoły, lecz rzemieślnicy doskonali, gdy kozę robiącą w ogrodzie szkody, bez skaleczenia okuł kowal; zkąd powstało przysłowie, że „w Pacanowie i kozy kuja.”

w zgromadzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ogłasza z niezwykłym zapałem, uniesieniem i wymową *Świątynię Wenerę w Knidos*, jako „arcydzieło stanowiące epokę w literaturze polskiej.”

Powaga jakiej używał Potocki wśród inteligencji polskiej, sprawiła, że Jan Feliks Tarnowski, tego arcydzieła przygotował nowe wspaniałe wydanie w Parmie, w drukarni J. B. Bodoni'ego, (w 8-ce wielkiej, str. 63).

Niezręczna i przesadzona przyjaciela pochwała, stała się następnie powodem szyderstwa, na które czcigodny Szymanowski nie zasłużył.

Klasyki przez długi czas, nieumieli zdać sobie sprawy co to jest *romantyczność*? Jedni uważali za główny ich cel *średnie* wieki, czasy *rycerstwa*, gonitw i turniejów, przesadzonej grzeczności i galanterii dla kobiet; drudzy lubo ten żywioł za jeden z ważniejszych mieli w poezji *romantycznej*, za główną jej treści podstawę i zasadę, brali przesady, zabobony i zwyczaje ludowe, trzymając się *Dziadów* Mickiewicza. W tém byli tylko zgodni wspólnie, że *romantyczność*, która żadnych prawideł ani przepisów niecierpi, a w zaślepieniu swém i zarozumiałości głosu rozsądku, ani rozumu nie słuca, prowadzi prosto do barbarzyństwa, deprecjując po swjéj drodze wszystko, co praca upłynionych wieków na pożytek duchowy ludzkość zgromadziła, i czem przez tyle stuleci Opatrzność pokolenia karmiła.

W tém zakłóceniu umysłów, wśród przestרחu klasyków ukazała się ballada A. E. Odyńca, najlepiej malująca ich położenie i zamęt w samej definicyi samego wyrazu. Dał jej tytuł:

Romantyczność.

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,

Aż pies czarny bieży drogą:

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego:

„Czy ty widzisz psa czarnego?”

Żaden nic nie odpowiedział,

Żaden bowiem nic nie wiedział:

Czy to pies?

Czy to bies?

Lecz obadwa tak się zlekli,

Że weszli w rów i przyklekli;

Drżą, potnieją, włos się jeży:

A pies bieży, a pies bieży...

Bieży, bieży, już ich mija,

Podniósł ogon i wywija:

Czy to pies?

Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,

Oni wstali i patrzali:

Czy to pies?
 Czy to bies?
 Wtém, o dziwy! w oddaleniu
 Na zakręcie znikł im w cieniu:
 Czy to pies?
 Czy to bies?
 Długo stali i myśleli,
 Lecz się nic nie dowiedzieli:
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Po długim staniu i dojściu do przytomności uznali jednozgodnie, że to *bies*, a nie *pies*. i postanowili obronę przeciw złemu duchowi.

Odyniec szczęśliwie pochwycił tę niepewność klasyków w definicyi *romantyczności*, i lęk ich, którym przejęci w owe czasy byli. Kto nie żył w nich, trudno może sobie wyobrazić, jakimto była ona postrachem dla poważnych wierszopisarzy i literatów. Przeczuwali oni burzę która na nich spadnie, ale byli spokojniejsi, że na sięgnięcie gromu mają oni swoje konduktory.

Zacząto się pilniej rozczytywać w poezjach Mickiewicza, ale egzemplarze wileńskiego wydania stawały się coraz bardziej rzadkością; wreszcie stały się *białemi krukami* bibliograficznymi. Przez ten czas genialny poeta niepróżnował, i tworzył wciąż nowe arcydzieła. Wydał poemat: *Konrad Wallenrod*, i zbiór sonetów, pomiędzy którymi znaczna część *Sonetów krymskich*. Zarazem opracowywał rozprawę: *O recenzentach i krytykach warszawskich*, którą chciał umieścić na czele nowego a w porządku *drugiego* wydania swoich poezyi, które wyszły w Petersburgu, nakładem autora, drukiem Karola Kraya, 1829 r. (W 8-ce, t. I, str. 284, t. II, str. 298).

Jasne pojęcie o *romantyczności* jeszcze więcej zamglił sławny nietylko na owe czasy, Jan Śniadecki matematyk i filozof, jeden z najznakomitszych pisarzy XIX stulecia, rektor uniwersytetu Wileńskiego, który w IV tomie wydanych swoich *Pism rozmaitych* (Wilno, w 8-ce, 1822 r.), na czele pomieścił obszerną rozprawę p. t. *O pismach klasycznych i romantycznych*, i tém większą obawę a nawet trwogę pomiędzy polskimi klasykami rozniecił. Oto wstęp, w którym rozróżnia pisma klasyczne i romantyczne.

„W pięciu numerach *Pamiętnika Warszawskiego*, od marca aż do lipca, znakomity w języku naszym pisarz Kazimierz Brodziński, uczenie i przyjemnie opisał własności pism klasycznych i romantycznych. Są tam zbawienne rady i rozsądne przestrogi dla poezyi polskiej. Przeszły mi w czytaniu tego pisma niektóre myśli, które posłużą może do wyraźniejszego widoku rad podanych od autora, a silniej powściągną młodź naszą od polubienia i naśladowania przywar sąsiedzkich.”

„Że romantyczność jest oddzielnym i niby nowym rodzajem poezyi, że się zajmuje i ożywia żałosnym wspomnieniem do rzeczy prze-

szyłych, albo wznowieniem i tęsknotą do rzeczy przyszłych, albo wznowieniem zdarzeń, jakie bawiły ludzi w wiekach rycerskich, wcale to do mojej uwagi nie wchodzi. Uważam ją ją, z jej niezaprzeczonem znamieniem i pod względem jedynie dla literatury i oświecenia prawdziwie szkodliwem, to jest jako niesłuchającą prawideł sztuki, i w swobodnym bujaniu *imaginacyi* szukającą zalet, i jakby nowych dróg zbawienia i nauczania. Dla tego piękności greckie i rzymskie, jakoby forenne i postrzyżone ogrody, nie tak przypadają jej do smaku, jak bujne stopy i zarośle azyatyizmu: kocha się radziej w dzikięj, jak w przyzodobionęj sztuka naturze. W mojem więc rozumieniu, to wszystko jest *klasycyzmem* co jest zgodne z prawidłami poezyi, jakie dla francuzów Boileau, dla polaków Dmóchowski, a dla wszystkich wypolerowanych narodów przepisał Horacy; *romantycyzmem* zaś to, co przeciwko tym prawidłom grzeszy i wykracza."

Po tak dobitnym wstępie, dowodzi że romantycy nic nowego nie wynaleźli, ale wskrzesili dawno zapomniane rzeczy, do stanu dzisiejszego towarzystwa wcale nieprzystające: porównywa romantyków na polu dramatycznem z pisarzami greckimi i łacińskimi. Objaśnia że wymysły romantyków nie są ani naturą, ani obrazem społeczności; wykazuje trafnie wskazany cel komedyi i tragedyi przez Horacego. Stawia Szekspira jako wzór romantyków i poświęca mu obszerny ustęp. Określa jego powołanie, naukę i stan umysłowy Anglii za jego czasów. Dowodzi że pisałby inaczej, gdyby miał nauki i pomocy ile pisarze dzisiejsi: wspomina że bez jedności *rzeczy, miejsca i czasu* nie może być *iluzyi* teatralnej. Wreszcie, że wskrzeszenie romantyczności wypadło z filozofii transcendentalnej niemieckiej: jedno i drugie jest wywołaniem z grobu zapomnianych. Skwapliwe ubieganie się za oryginalnością, bez natchnienia prawdziwego talentu, prowadzić może do szaleństwa. Zamyka wostatku rzecz swą temi słowy:

„My polacy! słuchajmy nauki Lokka w filozofii, przepisów Arystotelesa i Horacego w literaturze, a prawideł Bakona w naukach obserwacyi i doświadczenia. Uciekajmy od *romantyczności*, jako od szkoły zdrady i zarazy!

„Romantyczność radzi porzucić wszystkie prawidła sztuki, żeby nabyć znaczenia w niepodległości; my postanówmy sobie unikać bezprawia i rozwiozłości, bo te prowadzą nie do znaczenia, ale do nierządu i barbarzyństwa.

„Romantyczność mówi: durzmy ludzi, pokazujmy im *duby*, znieśmy prawa nauki i rozsądku, żeby niebyło prawidła do sądzenia nas! My szanujmy od dwu tysięcy lat przepisane prawa, które potwierdziła prawda i doświadczenie: bądźmy im posłuszni, bo one wydały tak wielkich ludzi, jakich jeszcze nie urodziła, i podobno nigdy nie urodzi romantyczność. Pomyślmy sobie, że nowość bez prawideł może być dziwactwem, albo rozpaczą głów dumnych, a zatem środkiem niebezpiecznym dla oświaty krajowej. Starajmy się tak pisać i myśleć, żebyśmy się nigdy nie bali sądu w trybunale prawdy, przyjemności i smaku.

„Romantyczność odrzuca jeszcze doświadczenie, burzy imaginacją przeciwko rozumowi, i zapala jak wojnę domową między władzami człowieka. Nie słuchajmy tych poduszczeń spiskowych: bo najpiękniejsze twory umysłu ludzkiego są to dzieci pokoju, zgody i harmonii między wszystkimi siłami duszy, które się nawzajem w ich wydaniu łączą i posilkują. Nie wchodźmy w zapasy z żadnym obcym narodem, nie zazdrośćmy żadnemu jego chwały i zaszczytów; ale starajmy się pomnażać nasze własne. W domu tylko, w dobru i pożytkach naszych ziomków szukajmy znaczenia i stawy; bo wziętość narodu u zagranicznych, rodzi się i wynika z wielkiej masy zaszczytów domowych.”

Tak zamknął swą rzecz Jan Śniadecki, pisząc tę rozprawę w Wigilią Bożego Narodzenia, d. 24 grudnia 1818 r.

Jak pojmował romantyczność sam Mickiewicz, wymownie nam określa w wierszu swoim i przedmowie do pierwszego wydania, 1822 r., pierwszych swoich tomików poezyi. Na czele wiersza położył za godło wiersz Szekspira:

„Zdaje mi się że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojej.”

Przypomnijmy ów wiersz wielkiego poety:

Romantyczność.

Słuchaj dziewczeczko!
— Ona nie słucha,
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie niema żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz? z kim się witasz?
— Ona nie słucha!
To jak martwa opoka,
Nie zwróci w stronę oka;
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niby chwytą, coś niby trzyma:
Rozpłacz się i zaśmieje.
— „Tyżeś to w nocy? To ty Jasieńku!
Ach! i po śmierci kochał
Tutaj, tutaj, pomaleńku:
Czasem usłyszysz macocha;
Niech sobie słyszy, już niema ciebie,
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
Czego się boję, mego Jasieńka?
Ach! to on! lica twoje, oczki twoje!
Twoja biała sukienka!

I sam ty biały jak chusta,
 Zimny, jakie zimne dłonie:
 Tutaj połóż, tu na łonie,
 Przyciśnij mi do ust usta!
 Ach! jak tam zimno musi być w grobie!
 Umarłeś, tak, dwa lata!
 Weź mnie, ja umrę przy tobie:
 Nie lubię świata.
 Żle mi w złych ludzi tłumie!
 Płaczę, a oni szydzą;
 Mówię, nikt nie rozumie:
 Widzę, oni nie widzą!
 Śród dnia przyjdź kiedy! To może we śnie?
 Nie, nie, trzymam ciebie w ręku.
 Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku?
 Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!
 Mój Boże, kur się odzywa,
 Zorza błyska w okienku.
 Gdzie znikłeś? Ach! stój, Jasieńku!
 Ja nieszczęśliwa!
 Tak się dziewczyna z kochankiem pieści:
 Bieży za nim, krzyczy, pada;
 Na ten upadek, na głos boleści,
 Skupia się ludu gromada.
 „Mówcie pacierze! krzyczy prostota,
 Tu jego dusza być musi,
 Jasio być musi przy swój Karusi:
 On ją kochał za żywota.”
 I ja to slysze i ja tak wierze,
 Płacze i mówię pacierze.
 „Słuchaj dziewczę! krzyknie śród zgiełku
 Starzec i na lud zawoła:
 Ufajcie memu oku i szkiełku,
 Nic tu nie widzę dokoła.”
 „Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
 W głupstwa wywarzone kuźni;
 Dziewczyna duby smalone bredzi
 A gmin rozumowi bluźni ¹⁾.”
 Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie
 A gawieź wierzy głęboko,
 Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
 Niż mędrca szkiełko i oko.

1) Te cztery wiersze obejmują wyrazy i wyrażenia, użyte przez Jana Śniadeckiego przeciw romantyczności.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
 Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskieerce;
 Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu:
 Miej serce i patrzaj w serce.

Ostatni wiersz nietylko stał się przysłowiem dla społeczności całej, ale dla młodego pokolenia jakby religijnym dogmatem. Gdziekolwiek bowiem słyszałeś rozmowę o literaturze polskiej, a szczególnie o poezji, zawsze „Miej serce i patrzaj w serce,” stawało na czele dysputy lub ją zamykało.

W Moskwie wyszło pierwsze wydanie sonetów Mickiewicza (w małej 4-ce 1826 r.). Edycja ta zaimponowała wielce klasykom, a okrzyk radości w obozie romantyków wywołała. Na czele bowiem pomieszczona litografowana stronnica, obejmowała sonet V (z początku *Sonetów krymskich*), przetłómaczony na wiersz perski. Przetłómaczył go Mirza Dżafar Topczy-Basza, profesor adjunkt w uniwersytecie St. Petersburskim, tłumacz w kolegium Azyatyckim.

Widok gór ze stepów Kozłowa.

Pielgrzym.

Tam! czy Allah postawił wpoprzek morze lodu?
 Czy aniołom tron oddał z zamrożonej chmury?
 Czy *diwy* ¹⁾ z ćwierci ładu dźwignęli te mury,
 Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze Wschodu?

Na szczycie jaka łuna! ²⁾ pożar Carogrodu!
 Czy Allah, gdy noc *chylat* ³⁾ rozciągnęła bury,
 Dla światów żeglujących po morzu natury,
 Tę latarnią zawiesił wśród niebios obwodu?

Mirza.

Tam? Byłem: zima siedzi, tam dzioby potoków
 I gardła rzek widziałem pijące z jej gniazda.
 Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał; pomykałem kroków,
 Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
 Aż tam, gdzie nad mój turban była tylko gwiazda:
 To *Czatyrdah!* ⁴⁾

1) *Diwy*, według starożytniej mitologii Parsów, złośliwe geniusze, które nigdy nie panowały na ziemi, potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata, za górą Kaf.

2) *Na szczycie jaka łuna?* Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni, przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

3) *Chylat*, suknia honorowa, którą sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

4) *Czatyrdah*, najwyższy w pasmie gór Krymskich na brzegu południowym, daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 wiorst, z różnych stron, w postaci olbrzymiej chmury sinawego koloru.

Pielgrzym.

Aa!!

Zatrzymać musimy uwagę nad rozprawą Mickiewicza, pomieszczoną na czele pierwszego wydania poezyi jego (Wilno, 1822 r.), w której objaśnia, co rozumieć należy przez poezyą romantyczną.

„Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginacyą i zdobyć się na wcale nowy rodzaj poezyi. Hordy te, ile ich być mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinie, wyobrażenia mityczne i podania; lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mogły świata bajecznego użyć, wpłynąć na uobyczajenie ludów, charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinięciu się w tym sposobie talentu poetycznego liczne stawały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z drugimi, udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obyczajów i wyrazów języka sprawiły: że mitologia północna, jakkolwiek po niektórych stronach, w poezyą bogatszych, kształcona, nigdy nie ustaliła się jednak, wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnój, pięknej i harmonijnej jedności, czyli systemu świata mitycznego. Zawsze tam przebijała się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla téjże samój przyczyny, język tych ludów długo był nieokrzesany, mógł być śmiały w wyrażeniach, ale mniej dobitnych i ścisłych. Lecz ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezyi pomyslnie, aż się nareszcie ustalić musiał; ztąd i poezya, idąc statecznie za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter. Nowe uczucia i wyobrażenia samym barbarzyńcom właściwe, tak nazwany *duch rycerski* i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknej, Grecyi i Rzymianom obcy, ścisłe i przestrzeganie praw honoru, uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcian pomieszane razem: oto jest co stanowi w wiekach średnich *świat romantyczny*, którego poezya zowie się *téż romantyczną*.

Poezya ta miała swój stały charakter, miarkowany tylko miejscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesołych Minsingerów, czułych Trubadurów. Zewnętrzne wydanie, czyli język zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, nazwany został *romaniczkiem*; zkąd poszło, że późniejsi i ową poezyą i *duch czasu romantycznego* mianowali.”

Przywiedliśmy ten ustęp z tego powodu, że klasycy uderzali nim jak taranem w zastępy romantyków, pokazując im, że cała ich literatura i poezya od dzikich ludów i barbarzyńskich bierze początek. A gdy występowali z obroną młodzi romantycy, odpowiadano im z pogardą:

„Czytajcie waszego mistrza, wszakże sam Mickiewicz okazuje z jakiego kału wypłynęła romantyczność. My trzymamy się zawsze pięknej, zawsze pogodnej *Hellady*, wraz ze starożytnym Rzymem, co

światem rządził i przepisywał mu prawa. Wolimy boskiego Homera, nieporównanego Wergilego, niż waszych Minesingerów i Trubadurów, co po zamkach rozbójniczych baronów i rycerzy średniowiecznych, wznosili im pieśni pochwalne i wynosili ich cnoty.

d. 14 lipca 1879 r.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wystawa rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich.—Walka w dziedzinie sztuki.—Nowa szkoła impresjonistów.—Obrzy religijne, historyczne, mitologiczne i rodzajowe, portrety, krajobrazy, rzeźby.—Salon oświetlony elektrycznością.—Walka w akademii: Henri Martin i Emil Olivier.—*Sztandar*, powieść Juliusza Claretie—*Cztery sierżanci z Roszelli*, dramat.—Pomnik księdza de l'Epée w Instytucie głuchoniemych w Paryżu.—Wystąpienia koncertowe panny Kamili Morzkowskiej w Nicoi.

Paryż cały zajęty wystawą rzeźb i obrazów na Polach Elizejskich, zwaną najniewłaściwiej salonem. Tradycyjna ta nazwa sięga czasów, kiedy jeden salon w Luwrze obejmował prace artystów, wystawiane na widok publiczny. W końcu wieku zeszłego, do tego salonu przybył drugi i trzeci, liczba dzieł sztuki rosła szybko. Diderot jeden z pierwszych sprawozdawców, utyskuje na zbyt ni nawet dzieł wystawionych. „Wśród czterechset obrazów, mówi on, oko błąka się, nim trafi na przedmiot rzeczywiściej wartości.”

Cóżby dziś powiedział Diderot na widok tych trzydziestu kilku sal, zawieszonych obrazami, na tę galeryą pełną akwareli, rycin, pasteli i rysunków, na ten oszklony ogród pełen grup, posągów i popiersi? Jeżeli słynny krytyk błąkał się w chaotycznym nawale czterechset dzieł sztuki, różnych wartością; o ileż dziś trudniejszym zadanie sprawozdawców, zabłąkanych w tym istnym lesie, wśród sześciu tysięcy dzieł pędzla, dłuta i ryłka?

Niepodobna nam ze względu na szczupłe ramy nasze, wdawać się w szczegółowe ocenienie tych rzeźb i obrazów; pragniemy tylko w najogólniejszych zarysach wskazać rozliczne drogi, jakimi artyści francuzcy dążą dziś do urzeczywistnienia myśli swojej. Drogi te rozchodzą się w odrębnych zupełnie kierunkach. Podczas gdy jedni pilnują wiernie klasycznych podań, do czego pomaga stypendystom rzymskim

kilkoletni pobyt wśród szczątków cywilizacji starożytnego świata; drudzy odtrącają z pogardą wszelkie tradycje, zrywają całkiem z przeszłością, torują sobie nowe ścieżki, nie przez uroczę smugi rzeczywistego życia, jak to czynili romantycy, ale przez topieliska i odmęty najniższego realizmu. Między temi dwoma wprost przeciwnemi kierunkami, jest jeszcze trzeci pośredni, usiłujący podnieść i uszlachetnić rzeczywistość. Zwolennicy tej szkoły szanują klasycyzm, w tém co miał w sobie dodatniego, pragną tylko ściągnąć go z abstrakcyjnych wyżyn, natchnąć nowém życiem. Słowem troisty kierunek sztuki, wiernie w oczach naszych wyobraża troistą dążność społeczeństwa dzisiejszego: abstrakcyjny klasycyzm odpowiada ideom legitymistycznym, krańcowy realizm równoważny z nihilistycznym prądem, szkoła pośrednia będąca dalszym rozwojem romantyzmu, idzie w parze z postępem idei demokratycznych. Szkoła ta przeważa nad innymi, szerokie pole otwarte dla przyszłych jej tryumfów; potrzeba jej tylko podnieść swój ideał do tych wyżyn, z kąd świeci słońce prawdy i rozsiewa promienie twórczych natchnień.

Dodajmy tu, że nowo zrodzona szkoła ultra-realistów, wyłączoną została z salonu jednomyślnym głosem sędziów przysięgłych. Zwolennicy tej szkoły przyjęli nazwę *impresyonistów*, z powodu, że zasadą ich przyjmować tylko wrażenia z natury i oddawać je według pojęć własnych, z zaparciem się wszelkiej wyższej myśli, z odrzuceniem wszelkiego ideału. Ci nowatorowie urządzili osobną wystawę, zapełnili ją stekiem najbrzydliwszych hażgranin. Kilku z nich jednak, dzięki biegłości pędzla, znalazło wyjątkowo miejsce w salonie. Dzienniki realistyczne unoszą się nad ich utworami, zowiąc tych wrogów ideału, odrodzicielami malarstwa.

Liczba sześciu tysięcy dzieł zapisanych w tegorocznym katalogu, przechodzi o ośmset liczbę wystawionych w roku zeszłym; świadczy to wymownie o żywotności ducha francuzkiego. Dodajmy, że sąd odrzucił do dwu tysięcy nadesłanych utworów. Jak wszędzie w świecie, tak i tu wkradły się niejakiemu nadużycia. Mieliliśmy sposobność widzieć kilka obrazów, które wartością przechodziły wiele pomieszczeniów w salonie, odrzuconych skutkiem zabiegów i protekcji. Sprawiedliwość bezwzględna nie jest udziałem ludzkim! To pewna, że zbytnia względność sędziów w przyjmowaniu protegowanych miernot nadzwyczaj utrudnia zwiedzanie salonu, nuży cierpliwość i rozrywa uwagę.

Obrazów religijnych niewiele stosunkowo. Łatwo to pojąć gdy weźmiemy na uwagę, że katalog wymienia do dziesięciu kościołów, tak w Paryżu jak w innych miastach, ozdobionych w tym roku obrazami i freskami najbieglejszych malarzy. Nad wszystkimi, jakie widzimy na wystawie, panuje *Chrystus w grobie*, Hennera. Nie pierwszy to raz mistrz podejmuje ten wielki przedmiot, ale w tym roku prześcignął on sam siebie. Wszystko tu godne podziwienia: i doskonała znajomość anatomii i promienisty koloryt, właściwy tylko Hennerowi; szczególnie jednak przemawia do nas ten nieporównany spokój rozlany w całej postawie, ta świętość tryskająca z oblicza pomimo grobowej ciemności.

Innemi arcydziełem jest obraz Mersona Oliwiera, przedstawiający *Ucieczkę do Egiptu*. Przedmiot tylokrotnie obrabiany przez mistrzów, znalazł w Mersonie oryginalnego tłómacza. Noc cięży nad pustynią. Na drugim planie sterczy olbrzymi sfinks; z pomiędzy łap potwora wybiega jasne światło i rzuca blask na cały obraz. Zkądże ten snop złotych promieni? Oto Marya z Dzieciątkiem utuliła się tam na wypoczynek nocny. Poniżej Ś-ty Józef spi na gołej ziemi z głową wspartą o kamień; dalej osioł rozkulbaczony skubie bezmyślnie trawę. Dym z gasnącego ogniska, wążuchnym słupkiem ubiega wprost ku niebu. Wśród ciemności i grozy powszechnej, promień bijący od Chrystusa, zapowiada nowy ład w świecie, zorzę nowo zbudzonych pojęć. Na całej wystawie niema wymowniejszego obrazu.

Drugie płótno tegoż artysty przedstawia *s. Izidora* patrona rolników. Po lewej ręce święty kmiotek klęczy na zagonie, wyraz natchnienia rozpromienia jego rysy, w oku widoczny zachwyty. Postać cała pełna wzniosłej prostoty. Na drugim planie, anioł w śnieżnej szacie, podjął pług porzucony na roli, orze wesolo skibę. Woły raźnie stąpają, snac uradowane z niebiańskiego oracza. Postać anioła ślicznie odbija na tle ciemnobłękitnego nieba Andaluzji.

Oliwier Merson należy do młodej generacji malarzów, niedawno opuścił szkołę rzymską; kilka lat temu otrzymał już złoty medal. Tegoroczne prace stawiają go w rzędzie pierwszych mistrzów francuzkich.

Uderza uwagę wielki obraz p. Maignan: *Chrystus powołujący do siebie nieszczęśliwych*. Zbawiciel siedzi na podwyższeniu, osłonięty ciemno fioletową draperyą; jedną rękę uniół do góry, drugą rozwija połą płaszcz, jakby osłaniał tłum cisnący się do niego. Po jednej stronie klęczy kobieta, wsparta o trumnę, z wyrazem najwyższej boleści. Po drugiej, inna kobieta, żona czy matka, podtrzymuje żołnierza śmiertelnie ranionego; konający jedną ręką ścisła rękęjęść złamanęj szpady, drugą podarty sztandar. Dalej występują inne rozbitki, z tój burzliwój żeglugi zwanój życiem. Na ziemi rozrzucone grobowe wieńce, strzaskane oręże, zdemontowane działa. Są przyznał artyście złoty medal.

Tęż samę nagrodę otrzymał Dues, za wielki tryptyk przedstawiający *Legendę o świętym Kutbercie*. Każda część wyobraża osobną chwilę z życia apostoła Anglii. Na lewém skrzydle widzimy go małym pastuszkim; brzask ranny słabo rozjaśnia przestrzeń; dziecię klęczy na wzgórkku wpośród owieczek, patrzy z zachwytem na drobny płomyk ulatający w górę: to dusza zmarłego kapłana, który podjął go sierotą i wyuczył go wiary. W środkowój części, święty Kutbert występuje jako biskup w kapie, z pastorałem w rękę; idzie drogą widocznie znużony. Większe jeszcze znużenie widać na małym pacholęciu, towarzyszu wędrowki. „Ufajmy Panu, On nas nakarmi” mówi biskup do chłopca, i w tójże chwili orzeł spuszcza się z obłoków; trzyma w szponach rybę złowioną w morzu. Na trzeciej części,

święty przedstawiony jako pustelnik; rozbija motyką twardą ziemię; upomina ptaszęta, aby nie pożerały ziarn tykoko zasianych na roli; ptaszyny uciekają. Duez należy do młodych artystów, dotąd malował drobne obrazki rodzajowe: pierwszy raz uderzył w skrzydła do wyższego polotu.

Wspomnijmy tu jeszcze bardzo piękny obraz religijno-historyczny: *św. Ludwika wśród krzyżowców*. Kronikarz opowiada jak król w pochodzie z rycerstwem, spostrzegł, minawszy wąż, wielką moc trupów powalonych na ziemi. Wstrzymuje konia, rozkazuje pogrzebać ciała chrześcian, ale rycerstwo cofa się ze wstrętem, powietrze bowiem zatrute odrażającą wonią. Wtedy król zsiada z konia, dźwiga z ziemi jednego z trupów. „Przyjaciele moi, rzecze do swoich, dajmyż garstkę ziemi tym męczennikom Chrystusowym.” Artysta wiernie poszedł za tradycją. W głębi obrazu widzimy granitowe bryły przecięte czarnym wózem. Pierwszy plan zawałiły gnijące ciała. Św. Ludwik w błękitnej szacie i stalowym pancerzu, trzyma oburącz martwą włóki. Tuż za królem, młody rycerz wieździe konia za uzdę, drugą ręką podnosi purpurowy proporzec. Krucy przelatują w powietrzu. Koloryt piękny, spokojny, grupa tworzy harmonijną całość.

Tuż obok widzimy inny obraz, wielkich także rozmiarów; przedstawia *św. Wincentego a Paulo*, wspierającego zgłodniałych Alzatów i Lotaryngów, świeżo przyłączonych do Francyi. Za wielkim stołem założonym jak kram, jadłem i odzieżą, siedzi na ławie święty, obok poważnej matrony; Siostra Miłosierdzia przynosi ogromny kosz chleba. Wkoło ciśnie się lud ubogi; klęcząca matka podaje dziecę opiekunowi sierot; chory młodzian pełza do nóg świętego; żebracy w łachmanach wyciągają ku niemu wychudłe ręce. Chrystus otoczony wieńcem aniołów, patrzy z góry na czyny miłosierdzia. Obraz ten pędzla p. Nony, przeznaczony do nowego kościoła, *św. Franciszka Ksawerego*.

Widzimy *św. Hieronima* na dwu pięknych obrazach, p. Sanrage, ukazuje go na pustyni, czytającego w wielkiej księdze. Postać naturalnej wielkości, pełna powagi i natchnienia. Artysta otrzymał srebrny medal. P. Carteron przedstawia znów świętego w gronie anachoretów. Siedzi na pierwszym planie, pochylony nad księgą, podniósł rękę, snąc przemawia do mężów obecnych; jeden, młody zakonnik, odziany szarą tuniką, trzyma pióro, gotów spisywać słowa mistrza; drugi zatopiony w myśli, trzeci podaje zwój pergaminowy świętemu. Oblicza ich pełne natchnienia; dzika i pusta okolica daje wierne pojęcie Tebaidy.

Zwraca też uwagę *św. Elżbieta*, pędzla Wenkera, młodego ucznia rzymskiej szkoły. Ranny starzec siedzi na tronie, królowa obmywa mu głowę skrwawioną; postać jęj pełna słodyczy i świętości. Niewiasty dworskie krzątają się pilnie, jedna podaje wodę, druga trzyma purpurowy płaszcz swojej pani.

Sceny biblijne znalazły kilku biegłych przedstawicieli, w młodych artystach francuzkich. Wspomnijmy tu naprzód *Ewę* z dwójgiem

dzieci, pędzla p. Courlat. Matka rodu ludzkiego siedzi na murawie wśród bujnej roślinności. Abel, istny cherubinek ssie pierś macierzyńską; dwuletni Kain, przytulony do matki zda się jakby zawistnym okiem poglądał na maleńkiego brata. Adam nieco opodal rozbija maczugą twardą ziemię; słońce pełnym blaskiem oblewa matkę z dziećmi.

Młody malarz Lerolle wykonał na wielkim obrazie: *Jakoba u Labana*. Cała grupa złożona z trzech osób: z starego patriarchy, dorodnej Racheli i młodego pasterza. Spotkanie odbywa się w polu pod gołym niebem, obok szopy zastanej snopami świeżo żętego zboża. Koloryt spokojny, układ pefen prostoty. Szkoda tylko, że typy nie dosyć wschodnie i niebo pozbawione wschodniego blasku. Przesądzono artyście medal.

Pomijamy *piękną Judytę żonę Putysfara i Józefa włómaczącego sny Egipcyanom*, a przystępujemy do obrazu, który jest koroną utworów biblijnych i ważne miejsce zajmuje na wystawie. Mówimy tu o *Synu Marnotrawnym*, pędzla Puois de Chavannes. Malarz ten, wzniosty idealista, obrał odrębną całkiem drogę; ma więc gorących zwolenników między czcicielami ideału, ze strony zaś materyalistów, wystawiony na ciągłe szyderstwa i pociski. Widząc nadużycia kolorystów dzisiejszej szkoly, Puois de Chavannes wziął sobie za cel pokazać, że sztuka nie polega na samym kolorycie, ale czerpie natchnienie w głębi ducha. Przepuścimy, że teorią swoją posunął do przesady; trudno jednak zaprzeczyć, iż obrazy jego tchną najszczytniejszą poezią. Postać syna marnotrawnego, dziwnie przypadła do usposobienia artysty: umieścił go na pierwszym planie obrazu, odzianego brudnym łachmanem, w którym dopatrzeć można szczytka zbladłej purpury, przetykaną strzępkami złota. Rysy jego schudzone i wybladłe; wyraz oblicza pełen boleści, oczy zapadłe, płonące gorączkowo. Obie ręce przycisnął do piersi, snąc myśli o rodzicielskim domu, o szczęściu dobrowolnie straconem. Krajobraz jałowy, zjeżony złomami nagich skał, wiernie odpowiada uczuciom pokutującego grzesznika. Gdziekolwiek tylko sterczy karłowate drzewko oliwne; na wzgórku rysuje się szafas spleciony z chrustu, poniżej trzoda chlewna ryje spaloną ziemię. Wszystko tworzy całość pełną poetycznej harmonii.

Obrazów historycznych mniej jeszcze na wystawie.

Zawzięta walka politycznych stronnictw, zatamowała artystom obfite źródło bohaterskich pobudek. Nikt nie śmie sięgnąć myślą w przedrewolucyjną przeszłość, aby go nie posądzono o legitymistyczne marzenie. Epopea napoleońska śpi zagrzebana całą zaspą uprzedzeń. Poetyczny cykl Karola Wielkiego, budzi nieufność i obawę. Król Franków, zrodzony w Akwizgranie, nie byłże raczej Niemcem? zapytują pozytywni artyści, i zastawiają wielkiego cywilizatora na własność zareniskim sąsiadom, którzy ze swęj strony, w pogromcy Witykinda, nie śmieją uznać bohatera narodowego. Epoka wreszcie galska, nazbyt odległa i nazbyt mało znana. Głos Henri Martin wołający od lat wielu: „Uznajmy się potomstwem Brennuszów i Wercyngetoryksów; my nie

synami zaborców rzymskich, ani germańskich drużyn, ale krwią ze krwi, kością z kości starych Gallów!" Głos ten nie wniknął jeszcze do serca artystom, błakają się téż po manowcach przeszłości, i nie znajdują nigdzie krynicy wód żywych, gdzieby odrodzić ducha.

Ktokolwiek od lat kilku śledzi wystawy tutejsze, musi przyznać że w malarstwie historycznym radykalny nastąpił przewrót. Prąd pozytywizmu oddziaływał tu widocznie. Artyści nie szukają wielkich chwil dziejowych, nie idzie im o to, aby przedstawieniem wielkich charakterów, skorych do czynu, gotowych do ofiary, podnosić serca, zapalać iskrę w piersi ludzkiej; celem ich głównie podniecać wyobraźnię, odtwarzać życie przeszłych pokoleń z drobiazgową ścisłością. Popęd ten objawił się najprzód u historyków; jest on nieodrodnym dzieckiem romantyzmu. Odkąd historycy poczęli wygrzebywać z kronik najdrobniejsze rysy cechujące indywidualność osób, którym dano było odegrać rolę w dziejach; odtąd malarze porzucili wielkie zarysy a chwycili się charakterystycznych szczegółów. O ile pisarze spopularyzowali historią, wprowadzając do niej żywioł powieściowy, o tyle artyści spopularyzowali historyczne malarstwo łącząc je z rodzajowem. Zwrot ten był koniecznym, utyskiwać nad nim zakrawałoby na donkiszoterję; przyznać jednak musimy, że sztuka stanęła na niebezpiecznej pochyłości, z kąd łatwo stoczyć się może w gruby a zabójczy dla niej realizm.

Równem téż niebezpieczeństwem dla artystów są walki stronnictw politycznych, odrzmiewające silnym echem na polu sztuki. W ilużto dziś utworach spostrzegamy zamiast pogoni za wyższym ideałem, chęć schlebiana panującym opiniom, dla zdobycia rozgłosu i oklasków. Zobaczmy oto przedmioty historyczne, jakie wybierają malarze francuzcy gwoli ucieście tłumom. Luminais przedstawił śmierć Chrama; osoby tu naturalnej wielkości. Oto Chram zapominany już w dziejach, był synem Klotaryusza I; kilkakrotnie podniósł bunt przeciw ojcu, czém go nakoniec doprowadził do ostatniej wściekłości. Król rozkazał przytroczyć go do łaawy, udusić, nakoniec spalić z żoną i córkami w drewnianym terenie gdzie mieszkał. Obraz pokazuje trupa skrępowanego powrozem, dwie księżniczki przywiązane do słupa, rzucają się konwulsyjnie na widok buchających płomieni.

„Patrzcie! wołają krańcowe dzienniki, oto próbka tych dobrych czasów, (*ce bon vieux temps*), ku którym niektórzy tak wzdychają.” Odpowiedzmy im na to: a małożto zbrodni i gwałtów popełniono w imię wolności w czternaście już wieków po dzikich Merowingach? albożto w trzecztyśięcznym roku ery naszej, przyszli doktrynerowie, patrząc na odtworzone pędzlem gwałty konwencyi narodowej i dzisiejsze pożary petrolez, nie rzekną z urąganiem do współczesnych: *Voilà le bon vieux temps!*

Inny epizod z dobrych czasów obrał Melingue za przedmiot do obrazu. Scena przedstawia walkę miasta Paryża z tronem. Królewskość wyobrazona w Delfinie, synu Jana uwięzionego przez Anglików; reprezentantem Paryża starszy cechu kupieckiego Ethienne Marcel.

Mieszcząństwo napada pałac królewski, morduje dostojników: trupy ich tarzają się we krwi. Jeden z tłumu zmierzył Delfina groźnym wzrokiem, księżę bladej jak widmo, półumarły ze strachu, czeka rychło miecz błysnie nad jego głową. „Ratuj mnie!” woła wyciągając ręce do Marcela. Ten kładzie na głowę Delfinowi czapkę własną z godłem Paryża: to paladyum zasłoni go od pomsty. Obraz wykonany biegłym pędzlem, postać Robespiera XIV-go wieku, oddana z wielką siłą. Delfin za to w płaszczu błękitnym, zasianym liliami, z twarzą sino-bładą, z okiem zagastém oddany jako typ niedołęztwa. Onto przecież zjednał sobie w dziejach Francji chlubną nazwę Karola Mądrego.

Miał też na myśli *dobre czasy* mistrz pędzla, Laurens, przedstawiając ustęp z wojen Albigenów, p. t. *Zumurowani w Carcassones*. Co do wykonania, obraz ten można nazwać perłą tegorocznej wystawy. Lud w jaskrawych szatach średniowiecznych oblega więzienie. Wśród tłumu stoi franciszkanin Bernard, uspakaja umysły; wszyscy wyciągają ku niemu ręce, matki pokazują go dzieciom: mularze tymczasem rozbijają taranami grobowy mur, za którym jęczą nieszczęśliwe ofiary. Dlaczego malarz nie rozbił choćby do połowy tego muru? zrozumieć tego nie możemy; o ileżby przez to podniósł dramatyczną stronę kompozycji!

Jeden z uczniów Laurensa przedstawił naczelną scenę z czasów Karola Wielkiego. W wieczór zimowy, Egenhart kronikarz i ulubieniec króla, zabawił się zbyt długo na rozmowie z piękną królowną Emmą; śnieg tymczasem spadł wielki. Co tu czynić? ślady stóp męskich pozostaną wyciśnięte na śniegu: orla źrenica Karola wyśledzi je porankiem. Emma nie traci głowy, bierze śmiało na barki Egenharta, zanosi go do domu. Śnieg ustał, gwiazdy zabłyśły, Karol Wielki, który chętnie w nich czytał, nie spuszczaając jednakże z oka ziemi, dostrzegł przez okno córkę piastującą rycerza; przywołał ich oboje, pozwolił na ich związek. Scena ta piękniejsza w poezji, niżeli na obrazie.

Młody malarz Alfred Didier, wbrew modzie nakazującej poniżać dawne czasy, wydobył z dziejów bohaterską postać Bayarda, *rycerza bez trwogi i bez zmyy (sans peur et sans reproche)*. Widzimy go na brankardzie po lewej stronie sceny, u wezłowia stoi chirurg i kilku druhów. Z przeciwnej strony zabiega drogę oddział konny nieprzyjacielskiego rycerstwa. Wódz oddziału konetabl Bourbon wstrzymuje konia; widok konającego uderza piorunem serce zdrajcy. Bayard oburącz podnosi krucyfiks, błyska nim w oczy Burbonowi: „nie żałuj mnie, rzecze, iż umieram; lituj się nad sobą, żeś zdrajcą twój ojczyzny!” Obraz to bardzo piękny, pełen dramatu: koloryt przy całym bogactwie nie razi jaskrawością. Didier przecież nie odebrał żadnej nagrody.

Większą jeszcze odwagę pokazał inny młody artysta Le Blanc, przedstawiając ustęp z wojny domowej 1792 roku. Dzielny Larochejacquelin prowadzi do boju zastęp ochotników wandejskich, uzbrojonych w kosy, widły, siekiery i kłonicie; młody wódz z podniesioną szpadą zwraca się do swoich: „Gdy pójdę naprzód, woła, ruszajcie za mną! jeśli się cofnę, rozsiekajcie mnie! jeśli polegnę, pomścicie krew

mojej!" Mimo wysokich zalet pędzła, mimo życia i ruchu, mimo typów wybornie oddanych, sąd nie przyznał nagrody artyście, z powodu niepopularnego przedmiotu jaki wybrał. Wprawdzie przebaczone Wiktorowi Hugo, że rozpaczliwie usiłowania królewskich w pięknie przedstawił światło w słynnej powieści: *Rok 1792*. Ale *quod licet Jovi, non licet bovi*, przysłowie sprawdziło się na zbyt śmiałym malarzu.

Przedmioty z obcych dziejów niezbyt szczęśliwie wybierane. Pelez, uczeń szkoły rzymskiej wystawił na wielkiem płótnie *Ston cezara Kommoda*. Trup zamordowanego zajmuje pierwszy plan obrazu. Nic straszliwszego jak te rysy skurczone konwulsyjnie w ostatniej walce z życiem. Rudy gladiator pochylony nad ciałem, tylko co spełnił krwawe dzieło; zpoza framugi wychyla się złowroga Marcya, małżonka cezara, odziana czarnym płaszczem: patrzy czy rozkaz jój wykonany. Pelez otrzymał srebrny medal.

Niemniej straszliwy obraz Morota, inne przecież budzi w widzach uczucie; pobudka w nim znacznie: rozpaczliwa obrona dwóch owych ognisk usprawiedliwia okrucieństwo. Rzecz dzieje się w czasach zwyciężonych walk Rzymian z galskimi tubylcami w Italii. Ambrony wycięci już do nogi mieczem legionistów; małżonki i siostry chwytają oręż wypadły z rąk mężów i braci, odpierają wściekle konny oddział wdzierający się gwałtem do obozu. To nie kobiety, ale jakieś piekielne harpie. Jedne stoją na szańcach, walą z góry ogromne złoty opok, drugie leją na głowy najeźdźców kipiący war czy olej. Zęby ich wyszczerzone, twarz obrzękła, usta się pienią, oczy wylazły na wierzch. „Po co tyle trudu, mówi złośliwie jeden krytyk; dość im było pokazać się: sam widok tych wiedźm byłby odstraszył Rzymian.” Przebaczymy jednak tę przesadę młodemu malarzowi, myśl jego wzniosta; bodajby młodzi artyści błędzili tylko zbytkiem szału. Sąd nagroził złotym medalem tę energiczną pracę.

Brak Matejki w dziale obrazów historycznych, stanowi w tym roku szczerbę niczem niezapełnioną. Przekonani jesteśmy, że Grunwald przyćmiłby te wszystkie mniej więcej udatne utwory. Ktokolwiek ma pojęcie sztuki, musi przyznać, iż żaden z historycznych malarzy francuzkich nie może iść w parze z naszym mistrzem.

Nie wiemy do jakiego działu zaliczyć ogromny obraz Ehrmana, wykonany na pamiątkę wystawy międzynarodowej. Na balustradzie fantastycznego gmachu stoi postać niewieścia kolosalnych rozmiarów, w żółtej sukni i płaszczu fiótkowym. Jestto uosobienie Paryża. Dziwi nas barwa płaszcza, wiadomo bowiem że kolor fiótkowy uważany za godło Napoleońskie: malarz poświęcał rzecz dla efektu. Korona z baszt wieńczy głowę symbolicznej postaci, rude kosy spadają na ramiona, w rękę trzyma złocisty wieniec. Dwa geniusze grzmia pobudkę na złotych trąbach, trzeci geniusz leci naprzód, trzymając oburącz trójkolorowy sztandar. Skrzydła jego zamała w stosunku do chorągwi, rozpostartej niby olbrzymi żagiel.

W głębi poza rudą niewiastą siedzi inna w płaszczu purpurowym: to Rzeczpospolita francuzka. Szeroka draperya koloru nadziei rozpostarta nad nią, trzyma w półcieniu jęj oblicze, z czoła tryska wieniec złotych promieni. Kompozycya ta, wykonana jak się zdaje na model do gobelin: charakter dekoracyjny zapowiada takie jęj przeznaczenie.

Rzućmy teraz okiem na mitologiczne przedmioty: powiew realizmu odwrócił widocznie artystów od ulubionych im olimpijskich widziadeł. Z wielkiem podziwieniem nie dostrzegliśmy w tym roku ani jednęj muzy, ani jednego Apolina. Jedyny tylko Jowisz przybiega do Ledy białym łabędziem; dwu tylko Perseuszów odcina głowy dwum złowrogim Meduzom. Satyry pouciekały z gajów, Nimfy nie płasają jak niegdyś nad krynicami, jedyny Narcyz przegląda się w potoku. Minerwę raz jeden spostrzegliśmy i to zawstydzoną, gdy sąd Parysa przyznał Wenerze złote jabłko. Amor tylko swawolnik, jawi się tu i owdzie i nie dziwić się temu; pod jednym mówi napis:

Po co uciekasz? dogoni cię wszędzie;

On twoim panem: był nim, jest lub będzie!

Nie myślimy opisywać tych niedobitków Olimpu, chorych widocznie na anemię, których bladeść témbardziej odbija obok krwistych śmiertelników, tak ulubionych dzisiejszym kolorystom. Sądząc jednak rzeczy bezstronnie, przyznać musimy, że kilku mistrzów umiało cudem pędzla ożywić te zużyte postacie, jak Pigmalion ożywił kamienną Galateę. Ogromny obraz Lefebura, *Dyana z gronem towarzyszek zaskoczona w kąpielu*, panuje w tegorocznym salonie. Figury wykonane po mistrzowsku, ugrupowane z nieporównanym wdziękiem.

Piękna téż Venus pędzla Bougereau, tylko co zrodzona z morskiej piany i otoczona gronem nimf i skrzydlatych geniuszów, otrząsa z wody złote kędziory: krople spadłe z nich, mają rozsiać po ziemi życie i radość. Bougereau malował dotąd Madonny w rozmaitych postawach, nie został jednak nowym Rafaelem. Bogarodzicom jego brak ideału świętości, mitologiczne postacie lepiej jakoś odpowiadają geniuszowi wytwornego artysty.

Niez mordowany Gustaw Doré wystąpił z obrazem ogromnych rozmiarów: przedstawia: *Śmierć Orfeusza*. Twórczość Dorégo podziwem jest dla wszystkich; do niego to w całym znaczeniu zastosować można owe Cezarowskie: *veni, vidi, vici*. Ledwie że myśl twórcza błysnie w głowie artysty, wprawna ręka wykona ją natychmiast, bądź pędzlem, bądź dłutem lub ołówkiem, a każdy rzut jęj śmiały, pełen życia, zapewnia mistrzowi nowy tryumf. Krytyka nie wie, jak osądzić Dorégo; realisci zowią go chorobliwym idealistą, klasycy zachwałym improwizatorem. Przyszłość zdumiona takim nawałem dzieł wykonanych, może zaprzeczy mu istnienia, nazwie go prostym mytem, przedstawicielem zbiorowej myśli, jak nazwano dziś Homera i Osyana. My jednak wiemy, że Doré żyje, że ma pracownię w samym centrum Paryża, iż z téj pracowni rzuca pełną ręką olbrzymie płótna, wielkie grupy z marmuru

i spiżu, wreszcie tysiące genialnych ilustracyi, w których jak w zaklętym zwierciadle, odbija geniusz Danta, Colledge'a, Aryosta i Cervantesa.

Obraz tegoroczny przedstawia grupę rozszalałych Bachantek, nad trupem zamordowanego Orfeusza; jedna podnosi odciętą świeżo głowę, inne oskoczyły krwią ściekający kadłub. Przerazający to symbol tryumfu rozpusty nad geniuszem.

Bardzo humorystycznie oddał Motte podobną myśl, w niewielkim lecz starannie wykonanym obrazku; przedmiot to wzięty z *Odysei*. Jesteśmy w pałacu złośliwej Cyrce; wkoło sali rozstawione złociste krzesła, każde miękkim pokryte wezgłowiem. Na trzech śpią jeszcze smaczno tryumfatorowie trojańscy; jednego z nich czarodziejka dotyka zaklętą swoją laską. Inne krzesła opróżnione; ci, którzy zasnęli w nich przed chwilą, płasają po sali w najkomicniejszych postawach, przedzierzgnięci już w trzodeę chlewną.

Obraz ten wprowadza nas do wielkiego działu rodzajowych utworów, najliczniej reprezentowanych na wystawie. Dział ten rozpada się na kilka odrębnych kategorii. Tu wkracza w historią, tam potraça o mytyczną symbolistykę, tu znów odtwarza wojskowe sceny, dalej salonowe epizody, wreszcie przybiera charakter etnograficzny, pokazując życie i obyczaje różnych ludów. Słowem obrazy rodzajowe są tem w malarstwie, czém jest w literaturze powieść. Rozmaitość w nich niesłychana: tu dramat, tam komedia; tu satyra zaprawna szczodrą solą atyką, tam pobrzmiwa jakiś nastrój liryczny: wszystkie chwytają życie w rozmaitych jego objawach, bądź w przeszłości, bądź w chwili obecnej.

Prawdziwą perłą rodzajowych obrazów jest: *Tuniec mieczów* Siemiradzkiego. Zostawiliśmy tytuł dany w katalogu, lubo ten nie określa rzeczy. Miecze odgrywają tu ważną lecz bierną rolę. Wchodząc do wielkiej sali, w której pomieszczono ten śliczny obraz, poznaliśmy go odrazu wśród stu innych, po słonecznej łunie, jaką roztacza wkoło. Wyobraźmy sobie na tle południowego nieba, zlanego harmonijnie z falami wód Śródziemnych, cudne wybrzeże, zasiane tu i owdzie grupą drzew. Od strony lądu zamyka widnokrąg pasmo gór, owianych mgłą fiołkową. Pod wystawą po prawej ręce, siedzą patrycyusze rzymscy, w białych togach, z wieńcami róż nad czołem. Oczy utkwił w młodej niewolnicy płasającej po kobiercu, między sterczącymi w górę ostrzami kilku mieczów. Ileżto powietrza, ile życia i ruchu! Jak cudnie oddane kształty ciała, rozpląsanéj Transteweranki; jaka harmonia w kolorycie! Całość prawdziwie czarodziejska!

Po téj cudnej fantasmagoryi, nie wiemy doprawdy gdzie spocząć okiem i myślą; wszystko zgaśnie w blasku tego słońca, w tém niezrównaném bogactwie sztuki. Smutno nam téż jakoś, gdy patrzymy na *sztukę*, jak ją uosobił pesymista Cazin. Wkoło głucho pustkowie, ziemia popekana od spieku, najeżona skałami pod laurowém drzewem, zwiędłym bez dżdżu i rosy; biédna *sztuka*, ledwie odziana w zdarty

łachman, ogorzała od słońca, tuli znękaną głowę niewieńczoną świeżym listkiem. Wprawdzie w powietrzu błyszczą złote korony, lecz te inni zaborą; dla niej tylko pędzel i paleta, ściska też chudą ręką te jedyne swe skarby. Smutny to obraz, lecz pełen myśli, wykonany z wielkiem poczuciem ideału.

Obok tój żalostnej wygnanki z rzeczywistego świata, widzimy inny obraz przedstawiający *złoty wiek poezji*. Piękna pani w stroju średniowiecznym, niesie na złotystym półmisku pawia, całkiem pokrytego piórami; heroldowie dmą w trąby i fletnie. Podczas tak zwanych sądów miłości, czyli poetycznych konkursów, zwyczaj wymagał, aby najpiękniejsza z grona, stawiła ten przysmak na stole przed szczęśliwym tryumfotorem. Wielki ten obraz pięknie ozdobi salę jadalną; oprócz ram złotych są inne, malowane w bekasy, zające, kwiczoły i t. p.

Ze świata poetycznego wziął też przedmiot włoski artysta Cotti: przedstawia on *powrót Danta do Werony*, po długim oddaleniu. Poeta w długiej sukni szkarłatnej przechodzi ulicą; niewiasty wskazują go palcem: „Patrzcie, to ten co wraca z piekła,” szepczą jedne do drugich. Przestraszone dzieci uciekają do matek. Obraz bardzo wymowny.

Delaume w wielkim tryptyku, pod tytułem: *Trzy wieki*, pokazał działalność kobiety w społeczeństwie. Na jednem skrzydle, młoda panna wskazuje na elementarzu litery małemu braciszкови. W środku widzimy parę wieśniaków bretońskich; wracają zapewne z jarmarku: mąż błędne ma jakieś oczy, zatacza się na nogach, żona podtrzymuje go silnym ramieniem. Na trzeciem skrzydle, stary niewidomy wiarus siedzi w krześle; Siostra Miłosierdzia czyta na głos: on słucha z wyteżoną uwagą. Pobudka dobra, wykonanie piękne; każdy obraz z osobna wiele mówi; w połączeniu ich brak przecież harmonii.

Przebiegając długi szereg sal, w każdej spostrzegamy wschodnie przedmioty, bijące w oczy jaskrawym kolorystem. Trudno zaprzeczyć, że wśród licznych scen z życia Arabów, niektóre uderzają pięknnością. *Widok Sahary Algierskiej*, wykonany pędzlem Guillometa, porywa w zakłęty świat tysiące jednej nocy. *Harem Emira* cudnie oddany przez Beniamina Constant, czaruje nas urokiem typów niewieścich. Wśród orientalistów, niepospolite miejsce zajmuje ziomek nasz p. Stanisław Chlebowski. Wystawił on *sklep brokantera* w Konstantynopolu; tu obok tureckich makat i dyfteków, obok damasceńskich oręży, widzimy przesliczną branżę wystawioną na sprzedaż. Scena to jak widać dawniejsza, gdyż od lat bowiem czterdziestu, handel publiczny kobietami surowo wzbroniony, nie w samym tylko Stambule, lecz we wszystkich posiadłościach tureckich, tak w Europie jak w Azji.

W obec tak mistrzowskich dzieł jak powyższe, byłoby niedorzecznością potępiać artystów szukających natchnień, czyto nad Bosforem, czy też u podnóży Atlasu. Utyskujemy tylko na nadużycie tak niebezpiecznej mody. Jest ona plagą sztuki, a szczególnież plagą salonów. Jeden obraz wschodni, choćby mniernej wartości, iskrzący się kolorystem jak siedmiobarwna tęcza, zabije wkoło siebie setki pełnych wartości

płócien. W jednej z wielkich sal, *izraelitka marokańska*, strojna do ślubu w suknię płomienistą, obwieszona tysiącami cekinów, pociąga ku sobie tłumy goniące jak ćmy za światłem i błyskotką. Trzeba dobrze przetrzeć oczy, z tej powodzi światła i szkarłatu, aby ocenić pobliskie obrazy, stokroć wyższe artystem, ale traktowane sumiennie, bez efektowych sztuczek.

Moda oryentalizmu nie dzisiejsza we Francyi. Wprowadził ją najprzód słynny Gros, po wyprawie Napoleona do Egiptu; stanowczy przecież ję tryumf datuje od przewrotu romantycznego. Wówczasto dzielny zapaśnik Delacroix, w imię nowych pojęć o sztuce, podjął śmiało chorągiew proroka i rzucił w oczy struchlałym klasykom, ni by siarczyste bomby: *Mordy w Seyo*, *Zapowietrzonych w Jassa* i inne arcydzieła kolorytu. Pogromca klasycyzmu znalazł godnych siebie uczniów i następców: do najświetniejszych należy Henryk Regnault, w pełnym rozkwicie geniuszu, zmieciony kulą pruską. Szkoła ta ma jeszcze godnych przedstawicieli, jak wskazaliśmy powyżej, ale nierównie więcej liczy niesmacznych naśladowców, którzy zrazili ku nię smak powszechny. Nic też dziwnego, że jak niegdyś wołano niecierpliwie: „Kto nas uwolni od Greków i od Rzymian?” dziś liczne głosy powtarzają chórem: „Kto nas oswobodzi od Arabów?”

Nowe źródła natchnienia trysły dla sztuki, w bliższym poznaniu życia i tradycyi ludu wieśniaczego. Brak nam miejsca i czasu na samo wyliczenie tylu udatnych utworów, w których artyści oddają wiernie typy wieśniaków, prace ich w polu i pod domową strzechą. Spotykamy tu co chwila ogorzałych żeńców i kosarzy, rybaków na łodziach, tkaczy nad krośnem, prządki przy kołowrotku; widzimy młodzież płaszącą na godach weselnych, gromady włościan ciągnące pobożnie na odpust albo za trumną druha. Najpiękniejsze z tych obrazów: *Młócka*, *Destrema*, *Sianożęcie Duprego*, *Niedziela Palmowa w kościółku wiejskim* Winklera, zjednały tym artystom dobrze zasłużone nagrody. Żałujemy tylko, że naczelnik ludowej szkoły, Juliusz Breton z cichęj ustroni wiejskiej, gdzie przebywa, nadesłał tylko popiersie młodziuchnej wieśniaczki. Prześliczny to typ, pełen myśli i poezyi, ale przywykliśmy podziwiać mistrza w utworach więkšej doniosłości.

Realizm poczyna rozpościerać szeroko skrzydła, nad tą ledwie zrodzoną szkołą; już i do tego rajy wślizgnął się wąż kusiciel. Najzdolniejszy z malarzy realistów Bastien Lepage, wystawił na wielkiem płótnie *dwie dziewczyny wiejskie*, zajęte kopaniem kartofli. Obie wprowadzie jak żywe, ale najmniejsza iskierka myśli nie tryska z tych obrzękłych oczu, z tych ust gapiowato rozwartych. Patrząc na ten kierunek w sztuce, wyłączając z nię wszelki ideał, strach przejmuje tém większy, gdy nawet tacy mistrze jak Lepage, wypisują na sztandarze okropne godło: „Precz z ideałem!” *nihil!* Z wielkiem zgorzeniem realistycznych krytyków, sąd nie przyznał artyście żadnej nagrody, ani rzymskiego stypendyum.

Dział etnograficzny wzbogaciły obrazy, nadesłane na wystawę z obcych krajów. Widzimy tu wieśniaczki szwedzkie przy żniwie, rybaczki holenderskie przy połowie śledzi, Andaluzjanki płaszące przy trumience dziecięcia, na znak radości, że anioł przybył w niebie; widzimy Szwajcarki przy kądzieli i Tyrolczyków, ścinających jodły toporem i Rumunów na jarmarku i Bośniaków przed karczma. Angielski malarz Herkomer, ozdobiony na wielkiej wystawie honorowym medalem, nadesłał prawdziwe arcydzieło: *Dom przytulku dla kobiet*. Zgromadził w obszernej izbie grono starych jak świat babiniek: jedna popija kawę, druga ogrzewa przy ogniu stare kości, inne toczą rozhowor; wszystkie bez zębów, u każdej nos spotyka się z brodą, mimo to jedna do drugiej niepodobna: na każdym obliczu życie innemi wyryło się bruzdami.

Artysta nasz p. Jan Piątkowski, w wielkim obrazie przedstawił *rys obyczajów ukraińskich z XVIII wieku*. Na pierwszym planie, u dzwonnicy kościołka wiejskiego, widać młodą kobietę przytwierdzoną sznurami, wystawioną na urągowisko powszechne. Tak karano niewierne żony! Lud wiejski otoczył potępioną: jedni patrzą ze zgrozą, drudzy z politowaniem, inni poprostu z ciekawością. Typy Ukraińców wyborne. Charakterystyczny ten obraz przyciąga licznych widzów i daje powód do śmiesznych komentarzy.

— Gdyby— rzekł ktoś do pięknej pani—zwyczaj taki istniał w Paryżu, nie starczyłoby dzwonnicy! Byłoby to ciekawe widowisko!

Równie otoczony *tabun ukraińskich koni na jarmarku w Balcie*, Józefa Chełmońskiego. Jak w dawniejszych pracach tego artysty, uderza i tu szalona fantazja, połączona z niestęchaną energią. Drugi jego obraz, mniejszych rozmiarów, przedstawia dziarską *czwórkę*, uprężoną w poręcz do bryki, wyrusza z przed karczmy rączym kłusem; włóścianie licznie zgromadzeni, w świąteczny dzień jak widać, szydzą z pijanego woźnicy, który zawadził o jakiś pień na drodze. Patrzymy na obrazy Chełmońskiego z równym upodobaniem, z jakim przyglądamy się falam bijącym w skałę. Nie szukać tu wykończenia, pędzel zawadycki, ale pod tą szorstkością jaki ogień, jaki dziwny nadmiar życia.

Z francuzkich malarzy, jeden tylko Detaille okazuje równą energią w swych epizodach wojennych. W tym roku wystawił on *bitwę w Champigny*. Wkoło zamku zgiełk, wrzawa, zamęt. Nieprzyjacieli ciągnie szybkim pochodem, sypie strzały ze wzgórze. Wśród kłębow dymu widać tu i owdzie rannych. Artylerzyści sposobią się do obrony: jedni ciągną działa, drudzy wynoszą sprzęty z zamku, inni barykadują się w ogrodzie, burzą inspekta. Piechota spoczywa na ziemi, nabiera sił przed bitwą. Wszystko tu obmyślane. Detaille brał czynny udział w tych utarczkach, które oddaje dziś tak wiernie. Miał wtedy lat dwadzieścia.

Wśród epizodów wojennych, uderzył nas także obraz Chevalliera; przedstawia on *bitwę pod lasem*. Grupy nikną w tumanach dymu.

Na pierwszym planie leży żołnierz śmiertelnie ranny; pochylony kapłan objął go jedną ręką, drugą podaje mu krucyfiks. Obie postacie wybornie oddane: w rannym głęboki spokój, w kapłanie silna wiara.

Do téjże kategorii scen wojskowych, należy obraz Alberta Kossaka; nie przedstawia on bitwy, ale *manewra wojskowe pod Krakowem*. Młody malarz obznajmiony dobrze z przedmiotem swoim, tak w teorii jak w praktyce. Mistrzem jego był znakomity ojciec, którego konie, pełne ognia i werwy, znane równie w Polsce jak w Paryżu. Naukę praktyczną odebrał młodzian, podczas służby w tymże pułku ułanów, co tak żwawo kłusuje pod biegłym jego pędzlem. Piękny krajobraz z widokiem na Kraków, godnie służy za tło kompozycji.

Wspomnijmy tu jeszcze p. Rosena z Warszawy, dawniej ucznia Pilsa w Monachium, dziś Geroma w Paryżu. Śliczny obraz jego: *Polowanie z ogarami*, pełen ruchu i fantazyi. Niema tu nawału przedmiotów: jeźdźcy, konie, psy, wszystko to razem zlewa się w harmonijną całość: perspektywa wyborna.

Czas nam przejść do portretów. Dział ten malarstwa jest dziś prawdziwym tryumfem sztuki francuzkiej: przyznał to sąd przysięgłych, obdarzając honorowym medalem Carolusa Durana. Od czasów Wan Dycka, Holtejna i Welaskeza, nigdy portrety nie doszły do takiej doskonałości, jak dziś pod pędzlem Bonnata, Durana, Cabanela, Cota, Delaunaya, panny Jacquemart i kilku młodszych, którzy z uczniów staną się wnet mistrzami. Największy rozgłos sprawił portret Wiktora Hugo, pędzla Bonnata. Sto dzienników paryzkich podniosło go równocześnie, ale w tych stu głosach tyle brzmi sprzecznych tonów, że wszystkie razem tworzą dziwną *kakafonię*, prawdziwe *chariwari*.

Posłuchajmy *Gazety francuzkiej*, a dowiemy się, że portret poety jest niesmaczną bazgraniną, pozbawioną wszelkiej wartości; że pospolite rysy oryginału, postawa krępa, trywialna, nie mogły natchnąć malarza wyższą myślą; że księga Homera, na której Hugo trzyma łokieć, stanowi najśmieszniejsze *accessorium*. Pomijamy długi szereg pocisków, rzucanych jak race i w model i w malarza. Zobaczmy teraz co mówi o tymże portrecie, inny krytyk, Wiktor de St. Paul, jeden z nowych kandydatów do Akademii francuzkiej.

„W muzeum naszej narodowej chwały, pisze on, istniała dotąd próżnia: Wiktor Hugo nie miał godnego siebie portretu. Człowiek, którego głos zapełnił wiek cały, pozostał bez oblicza; sztuka przepomniała mistrza, który zaludnił świat poetyczny tysiącem nieśmiertelnych typów. Ta próżnia świetnie została zapełnioną. Bonnat stworzył arcydzieło; malując twórcę tyłu arcydzieł, oddał on nietylko fizyczne podobieństwo, ale co więcej geniusz i duszę świetnego modelu, jego życie kontemplacyjne; ów płomień niewygasły pod brzemieniem lat, przeciwnie, coraz to silniejszym tryskającym promieniem. Dzięki malarzowi, mamy historyczny portret Wiktora Hugo; przyszłość zobaczy go, jak my go dziś widzimy!

„Poeta siedzi przy stole dębowym, wsparty łokciem o wolumin Homera: imię to stanowi jedyny łącznik, między epopeją starożytną a *Legendami Wieków*. Ten wolumin pod łokciem Wiktora Hugo, wygląda jakby pargaminowy rodowód. Jedną rękę założył poeta za surdut, drugą przycisnął do czoła, jakby chciał zatrzymać myśl w przelocie. Malarz oddał wiernie to genialne czoło, pełne ruchu i światła, ideałów i marzeń, zorane w głębokie bruzdy, pysznie zwieńczone koroną śnieżnych włosów, jakby najeżonych natchnieniem. Godny to przybytek ducha, niewyczerpanego w twórczych pomysłach, pracującego bez spoczynku. Wzrok cudownie też pochwycony: to owe oczy płomieniste, głębokie, zwrócone razem na zewnątrz i w głąb ducha, które z równą potęgą przywołują niewidzialne obrazy, jak odbijają świat zewnętrzny; to oczy myśliciela i czarodzieja, które mają do posług tylu geniuszów, ilu miała ich cudowna lampa Aladyna z *Tysiąca jednej nocy*.”

Daliśmy na próbę, małą tylko szczyptę kadzideł, hojnie sypanych przed bożyszczem. Złośliwi utrzymują, że Wiktor de Saint Paul rzucił ten fajerwerk, aby zniewolić Wiktora Hugo do popierania go przy akademickich wyborach. My nie obwiniamy go o interes, widzimy w nim raczej sfanatyzowanego czciela poety i zwolennika krańcowych idei społecznych, jakie Hugo reprezentuje. Przytoczyliśmy także ten ustęp, aby dać poznać sprzeczność w sądach krytyków francuzkich, której są raczej ludźmi partyi, niż miłośnikami bezwzględniego piękna. Biada temu, kto by chciał polegać ślepo na ich zdaniu.

W oczach naszych portret Wiktora Hugo piękny, nie ustępuje portretem Thiersa i Lesepa, od których Bonat rozpoczął seryą znakomitości tego wieku; w niczem jednak nie przewyższa poprzednich prac artysty. Co do woluminu Homera, lubo śmiesznym jest dla nas, usunięcie Kornela, Rasyna i tylu geniuszów z panteonu chwały narodowej, a wyprowadzanie Wiktora Hugo wprost od śpiewaka Illionu, bez żadnych pośredniczących opinii; co do woluminu Homera, powtarzamy, ten nas bynajmniej nie razi. Wszakże i Delaunay pomieścił partycyja Mozarta pod wizerunkiem Gounoda, co nie dowodzi, żeby francuzki kompozytor nie uznawał innych geniuszów muzycznych, a od twórcy Don Juana wywodził jedynie swój rodowód.

Wielki portret kobiety Carolusa Durana, nagrodzony honorowym medalem, zasługuje bez wątplenia na ten zaszczyt. Artysta słynny od lat dziesięciu, z mistrzowskiego oddawania aksamitów, atłasów i koronek, dowiódł w ostatnich czasach, że nie jest tylko świetnym dekoratorem, lecz i pierwszorzędnym portrecistą. Kobięta w białej sukni atłasowej, przysłonięta czarną okrywką z futrem, uwieńczona tylko splotami jasnych włosów, przedstawia się tém wspaniałej, że artysta uniknął w obrazie wszelkich sztucznych efektów.

Cabanel oddał po mistrzowsku portret nababa amerykańskiego Makaya. Bogacz ten podczas zeszlorocznej wystawy, rozrzucił pełną ręką dolary na kupno najwytworniejszych dzieł przemysłu francuz-

kiego. Przypominamy sobie owe bezcenne perły i brylanty, owe prześliczne biórka cenione po 100,000 franków, zakupione przez niego, jak pokazywał napis. Wybornie oddany typ spanoszonego Jankesa, z rudemi bokobrodami, z głową podniesioną, z uśmiechem tryumfalnym, z ręką żylastą rozrosłą w twardej pracy: możnaby z niej wykroić cztery przynajmniej ręce europejskich arystokratów. Malarz wybornie pochwycił tę cechę typową; wiemy z antropologii Quatrefage'a, iż fabrykanci paryzcy osobne wyprawiają rękawiczki dla amerykańskich Jankesów.

Kilku polskich malarzy wystąpiło z pięknymi portretami: p. Bałowicz wystawił ich dwa: mężczyzny i kobiety, w całkowitej figurze, oba piękne i okazałe. Pan Piątkowski wykonał śliczny portret p. Tallien, słynny za czasów Dyrektoryatu; w białej atlasowej sukni, krojem greckim, jakie w wówczas noszono. Powitaliśmy też młodego malarza p. Pawła Merwarta; pierwsze to wystąpienie publiczne utalentowanego artysty; portret młodej panienki, wykonany śmiałym pędzlem, pokazuje zdolność niepospolitą. P. Merwart od lat dwu uczniem jest Lehmana; pracuje z zapałem i wytrwałością: świadczą o tém konkursowe medale i pochwały. Z pierwszych prób jego pędzla, jak niemiędzy z zamiłowania pracy, śmiało możemy wnosić, że powiększy grono tak znakomitych dziś polskich artystów.

O ile dział portretów kwitnie w tegorocznym salonie, o tyle znów, w dziele krajobrazów, widoczna stagnacya. Na wielkiej wystawie zeszłorocznej nie można było dostrzedz tego braku. Zgromadzono tam jeszcze piękne utwory mistrzów zmarłych w ciągu kilku lat ostatnich; były tam obrazy Corrota, Troyona, Daubignego, Chintreil'a, którzy tak rozgłosili w świecie sławę krajobrazów francuzkich.

Nie idzie zatem, żeby w tegorocznym salonie brakło pięknych pejzaży, tylko że liczba ich nie tak przeważna, jak to bywało dawniej. Mamy tu śliczny zimowy krajobraz Émila Breton, i kościółek wiejski tegoż artysty, otoczony wieńcem lip i wiązów; mamy normandzkie pastewniki Van March'a i Barillota, pełne krówek mistrzowsko wykonanych, mamy piękny krajobraz z Prowancyi Vaysona, nagrodzony medalem. Malarz belgijski Cezar Cook wystawił prawdziwy klejnot: widok skoszonej łąki, po której przesuwa się wóz pelen siana, otoczony garską kosiarzy. Szwajcarzy nadesłali też malownicze stoki Oberlandu; Norwegowie zielone wybrzeża swoich fiordów. Z malarzy polskich p. Walery Brochocki wystawił mały ale dziwnie poetyczny obrazek: widok polskiej wioski o świcie. Gromada bydła wychodzi w pole, mgła nocna jeszcze nie opadła; przez kłęby jęj przedziera się różowy odbłask rannej zorzy i ciepłym tonem oblewa całą przestrzeń. O ile wiemy, p. Brochocki, na tegoroczną wystawę Monachijską wykonał obraz szerszych rozmiarów, przedstawiający lud nasz w strojach świątecznych, ugrupowany wokoło kościoła. Obecnie artysta pośpieszył do kraju, w okolice Kujaw, gdzie pragnie skąpać się w rodzinnej atmosferze i przygotować szkice do nowych krajobrazów.

W dziale martwych przedmiotów (*nature morte*), spotykamy znów imię polskie. P. Przepiórski odmalował pyszną czarę, ze zbiorów Luwru, przedstawiającą w płaskorzeźbie: zdobycie miasta Tunisu przez Karola V.

Nim przejdziemy z kolei do rzeźb, zapiszmy sobie imiona artystów naszych i artystek, spotkane w galeriach akwarel i rysunków. Są tu miniatury p. Amplewskiej, emalie panny Stryjeńskiej, akwarele p. Płużańskiej i pana Bolesława Sokołowskiego, porcelany pani Konstancyi Boulard, fajanse panny Bryckiej, drzeworyty p. Górskiego; jest wreszcie piękny rysunek p. Mioduszewskiego: portret zmarłego księdza A. J. przełożonego misji polskiej w Paryżu. Brak nam miejsca na szczegółowy opis tych utworów; powiedzmy tylko że samo przyjęcie ich do salonu, bardzo utrudnione w tym roku cudzoziemcom, daje rękojmię ich wartości.

Przejdźmy nakoniec do rzeźby: oszklony ogród w którym ją jak zwykle pomieszczono, tworzy obraz prawdziwie czarodziejski. Z wystawą rzeźby łączy się w tej chwili wystawa kwiatów. Nic cudowniejszego nad te grupy, oplatane wieńcami róż i azalii, wychylających się spośród wachlarzowych palm i rozkwitłych rododendronów. Gwoźdźdiki i heliotropy balsamiczną wonią napełniają powietrze. Do tych uroków dodajemy jeszcze powódź elektrycznego światła, rozlaną wieczorem na owe malownicze postacie ze spiżu, gipsu i marmuru. W tym cudownym oświetleniu, najmniej udatny gips wydaje nam się arcydziełem; cóż dopiero powiedzieć o wielkich dziełach sztuki, jakie tu spotykamy.

Na czele wszystkich postawimy genialny utwór młodego rzeźbiarza Saint Marceau, zaszczycony medalem honorowym. Na czworobocznym piedestale stoi w rogu starożytna urna; czuwa nad nią geniusz śmierci: ogarnął ją oburącz, strzeże tajemnic grobu. Czoło jego oplecione cyprysem, zpoza wieńca spada żałobny welon, przysłania w części nagie ciało. Oblicze całe tchnie nadziemskim spokojem, oczy zwrócone w górę; usta pełne zdają się przyciśnięte pieczęcią tajemnicy. Pochylony tors oddany po mistrzowsku; nogi i ręce wyborne: zda się krew kipi w żyłach.

Pyszne to dzieło, od pierwszych dni wystawy pociągnęło ku sobie oczy wszystkich; każdy w myśli przyznawał mu wielką nagrodę. Zdziwienie też było powszechne, kiedy po pierwszej naradzie konkursowej ogłoszono, iż Saint Marceau otrzymał tylko zwyczajny złoty medal. Powstał krzyk po dziennikach, tak głośny, tak stanowczy, że sędziowie zmuszeni byli tłómaczyć się przed publicznością młodym wiekiem rzeźbiarza. Protestacya wzmogła się tym więcej: sąd wziął rzecz pod głębszą rozważę. Powtórzono głosowanie; artysta otrzymał medal honorowy: opinia odniosła tryumf.

Saint Marceau ma ledwie lat trzydzieści; jest on synem zamożnej rodziny francuskiej; podjął dłuto nie dla zarobku, lecz ulegając tej sile nieprzewartej, co popycha wybranych ze zwykłej drogi życia, w nieskończony świat ideału.

Przedmiotem ogólnej ciekawości jest także wzór nagrobku dla Micheleta, wykonany dętym znakomitemo rzeźbiarza Mercię. Grobowy pomnik przedstawiać będzie fronton świątyni greckiej, wsparty na dwu filarach porządku doryckiego. Przestrzeń między filarami zapełnia wielka płyta z kararyjskiego marmuru. Model jęj gipsowy mamy tu przed oczyma. Na sarkofagu leży zmarły Michelet; stoi nad nim geniusz historii, piękna, skrzydłata postać, pełna wyrazu. Prawą ręką wskazuje napis skreślony w górze: *L'histoire est une resurrection*: słowo to zmarłego historyka.

Mercie wykonał jeszcze konkursowy pomnik Franciszka Arago. Słynny astronom kolosalnych rozmiarów, stoi na piedestale; jedną ręką wskazuje niebo, w drugiej trzyma zwój pergaminów. U stóp jego glob astronomiczny i rozrzucone teleskopy. Podnoże ozdobione płasko-rzeźbą. W głębi wznoszą się wieże i dzwonnice miasta Perpignan; w cieniu okopów siedzi młodzieniec wsparty łokciem o ziemię; przed nim rozwarta wielka księga. Arago urodził się w Perpignanie, tam pobierał pierwsze nauki. Rodzinne miasto wspnianym pomnikiem uczciło jego pamięć.

Pomnik Woltera, to jest model wykonany z gipsu przez rzeźbiarza Caillé, góruje na wystawie kolosalnym rozmiarem. Miasto Paryż ma wznieść ten pomnik podobno na ratuszowym placu, na pamiątkę stu-letniej rocznicy, niedawno obchodzonej. Najzagorzalsi zwolennicy Woltera, choćby tak rozmiłowani w nim jak Saint-Paul w Wiktorze Hugo, nie potrafiliby podnieść do apoteozy tego szkieletu, odzianego fałdzistym płaszczem. Pierś zapadła, niknie w koronkowych żabotach. Zpod utrefionej peruki widać tylko długi nos i wystającą brodę; śmiech szyderyczy dziwnie wykrzywił usta. Trudno pojąć jak te nogi bocianie, w półczochach i trzewikach, udźwignąć mogą ten chudy ale wysoki korpus. Dla utrzymania równowagi, starzec pochylił plecy i podiera się kijem. W palcach suchych jak szpon krogulczy, trzyma pióro i wielki zwój papierów. Cała fantasmagorya światła elektrycznego, nie zdola zidealizować tej postaci tak szpetnej i odrażającej.

Mało widzimy na wystawie rzeźb religijnych wysokiej wartości. Między temi uderza kolosalna figura Ś-go Wincentego a Paulo: Falgure wykonał ją po mistrzowsku. Rysy świętego znane z współczesnych wizerunków, dalekie były od form, jakie sztuka zowie pięknemi, a jednak rzeźbiarz rozlał na obliczu taki blask miłosierdzia, usta rozpromienił tak słodkim uśmiechem, że postać cała uderza niewysłowioną pięknnością. Święty odziany wielkim płaszczem, wspaniale udrapowanym, piastuje na rękę dwoje śpiących niemowląt. Śliczny ten posąg przeznaczony do panteńskiego kościoła.

Piękna głowa Ś-go Jana Chrzciciela, złożona na wielkiej misie wraz z mieczem, dłuta Antokolskiego, ściąga też powszechną uwagę.

Przedmiotów mitologicznych, tak ulubionych rzeźbiarzom, gdyż pokazują biegłość w oddaniu ciała, niewiele spotykamy w tegorocznym salonie; zato uderza nas widoczny zwrot ku przedmiotom rodzajowym

z życia wiejskiego ludu. Widzimy tu śliczną dziewczkę, dłuta Itassa: niesie paszę dla kozy, którą wiedzie na sznurku. Aube przedstawia *Rolnictwo* w postaci krzepkiej dziewoi w wieńcu kłosistym; stoi wsparta na kozie, przy wielkim snopie zboża. Tu znów dziewczyna strzyże owce, tam pochyłony żniwiarz zajmuje sierpni garść pszenicy. To uczczenie prac rolniczych wprowadzeniem ich w dziedzinę sztuki plastycznej, bardzo według nas charakterystyczne; szczerze mu też przyklaskujemy.

Z artystów naszych wymienimy tu p. Hegla z Warszawy. Dwa marmurowe popiersia jego dłuta odznaczają się wytwornym wykonaniem; jeden którego model nam znany, uderzył nas podobieństwem rysów i wyrazu. Pan Godebski wystawił piękny portret hr. Z. Pan Guyski oddał na marmurze znaczące rysy pani Henryki L... pełne męskiej energii, połączonej z niewieścią słodyczą. Widzimy tu jeszcze udatne prace dwu panien Dąbrowskich z Wilna: jedna wystawia biust gipsowy, druga pięknego psa, ulanego ze śpiżu.

Akademia francuzka tak zazwyczaj spokojna, przeszła w tym czasie burzę niepamiętną w jej dziejach. Na dzień 29 maja zapowiedzianem było uroczyste przyjęcie Henri Martin. Szczególny traf sprawił, że na mowę jego miał odpowiadać Emil Olivier, dawny minister napoleoński, on bowiem pełnił obowiązki dyrektora w chwili gdy umarł poprzednik. Traf to był przykry dla akademii: wszyscy przewidywali starcie. Wyobraźmy sobie dwu zaciętych wrogów politycznych, dwu reprezentantów przeciwnych stronnictw, republikanizmu i bonapartyzmu, obowiązanych sypać sobie w oczy pochwały, wobec grona akademickiego i tysiąca słuchaczy. Położenie było i trudne i śmieszne zarazem. Tymczasem wszedł tu jeszcze trzeci żywioł, który komedią przemienił w dramat, poruszając najdrażliwsze pytania. Obaj mówcy obowiązani byli uczcić Thiersa gorącym panegirkiem, a przebiegając długoletnie jego działania, musieli bądź cobądź pokazać go jako szermierza w walce przeciw Cesarstwu.

Henri Martin łatwiej mógł wyjść z trudnego położenia. Wprawdzie był on niegdyś silnym antagonistą Thiersa za czasów jego miuistryum; surowo potępiał jego politykę tak wewnętrzną jak i zewnętrzną, mianowicie w sprawach wschodniej Europy; ostatnia przecież wojna zbliżyła go z Thiersem, zapomniał o przeszłości, widział w nim jedynie wielkiego patryotę. Cześć ta wzrosła jeszcze, kiedy przy osobie Thiersa połączyły się tak ekonomiczne jak i finansowe siły, które umiały wy dobyć z Francji ogromny okup pięciu miliardów i to bez zubożenia kraju, a nawet z materyalną jego korzyścią. Inna zupełnie rzecz z Olivierem: ten widział w Thiersie nietylko wroga bonapartyzmu, ale nawet wroga Francji.

Ustawy akademickie wymagają, aby mowy dwu członków przed publicznem ich wygłoszeniem, poddane były pod sąd wyznaczonj na ten cel komisji. W pierwszych dniach maja, na prywatnem zebraniu,

Henri Martin i Olivier odczytali więc mowy swoje. Jak w jednej tak w drugiej były ustępy, które mogły wywołać skandal: sędziowie żądali ich usunięcia. W mowie Henri Martin uznano za niewłaściwy obraz burzliwej sesji w Izbie, na której Thiers wyrzucił Cesarstwu zamiar wypowiedzenia wojny Prusom, mieniając go prawdziwym szaleństwem. Henri Martin gotów był wymazać ten ustęp; usunięcie drażliwego paragrafu usuwało samo przez się ostrą odpowiedź Oliviera. Ale w mowie ministra napoleońskiego, był inny zarzut bardziej jeszcze palący: utrzymywał on, że w tragicznych wypadkach 1870 roku, Thiers nie okazał się patriotą ani Francuzem. Zdaniem jego w chwili klęsk walących się na Francją, Thiers powinien był złączyć się z Cesarstwem, jak to uczynił generał Changarnier, którego patriotyzm podnosi mówca do apoteozy.

Na żądanie akademii, tak Henri Martin jak Olivier, przyrzekli zmodyfikować mowy swoje. W wyznaczonym terminie odczytali je znów wobec komisji. Z mowy Henri Martin znikł obraz walki parlamentarnej. Olivier usunął odpowiedź na wyzwanie, lecz pozostawił w całości filipikę zaprzeczającą Thiersowi uczuć patriotycznych.

Łatwo pojąć jak gwałtowną burzę wywołało to potrącenie w stronę patriotyzmu, tak bardzo wyprężoną we Francji, zwłaszcza od klęsk ostatnich. Juliusz Simon, Dufaur, Mignet, ściśle połączeni z Thiersem, odczuli głęboko te pociski, widzieli w nich zniewagę osobistą. Jedni z akademików chcieli poprostu usunąć Oliviera, to jest powołać innego z członków do odpowiedzi wybranemu; większość głosowała za odroczeniem akademickiej uroczystości do listopada, jeśli Olivier nie uczyni pojednawczych kroków przed nadchodzącą porą letniego wypoczynku.

Zacięty bonapartysta niechciał ani na krok ustąpić. Zadrażnił jeszcze sprawę otwartym listem do akademików, który ogłosił w dziennikach. Dowodzi on w tym liście, że dyrektor akademii nie jest bynajmniej obowiązany przemawiać w imieniu całego grona, lecz osobiście odpowiada za własne opinie. Szydzi przytém złośliwie z urzędowych panegiryków, a bardziej jeszcze z dwulicowej polityki nieśmiertelnych; pokazuje sprzeczność w ich sądach, jakiej po dwakroć sam na sobie doświadczył.

„W roku 1874, mówi on, podałem do komisji mowę moję o Lamartinie, p. Guizot wyrzekł z dumą:

„Nie jesteśmy wcale obowiązani prawić panegiryków. Pan za nadto wychwalasz Lamartina, nie zasłużył on bynajmniej na nazwę męża stanu, równie jak Mirabeau, z którym go porównywałeś.”

„W roku 1879 przedstawiam innej komisji mowę moję o Thiersie w téjże samej sali, na témże samém miejscu; p. Juliusz Simon rzecze do mnie, jakby z kapłańskim namaszczeniem:

„Powinnością naszą głosić panegiryki. Cokolwiek pan myślisz o działaniach Thiersa, nie wypada ci zmniejszać zasług wielkiego męża stanu.”

Broniąc niepodległości słowa, sięga Olivier w przeszłość akademii, przypomina ostre nieraz pociski mówców, gdy sumienie nakazywało im wypowiadać prawdę o zmarłych poprzednikach.

Lacretelle, zajmując w roku 1804 krzesło po Laharpie, tak określał jego charakter: „suchy, cierpki, sztywny w pożyciu, takim samym okazywał się w krytykach literackich. Chłostał bez litości młodych autorów, czém odstręczał ich od literatury z rzeczywistą jej szkodą. Ta gorycz, posunięta nieraz do niesprawiedliwości, okazuje się szczególniej w walkach z filozofami przeciwnego obozu: duch stronnicy zawsze nim powoduje.”

Przytoczywszy kilka podobnych rysów, dalekich od panegiryzmu, Olivier powtarza słowa Montalemberta, wyrzeczone w r. 1852 na pochwały akademii, słowa podnoszące jej bezstronność i niepodległość w sądach.

„Niepodległość, rzekł Montalembert, stanowi siłę waszą, jest kamieniem węgielnym waszej instytucji. W pełnym wieku ośmnastym, kaptań przemawiając w imię akademii nad otwartym grobem Woltera, miał odwagę potępić tryumfatora, że nie wzgardził fałszywą chwałą, jaką się zdobywa zuchwalstwem i rozkiełznaniem.”

Żałujemy, że Olivier do licznego szeregu argumentów, świadczących o niepodległości akademii, nie dodał jednego jeszcze, bardzo charakterystycznego. Kiedy Caumartin przyjmował w imieniu akademii biskupa Clermont-Tonnère, który nieposiadał innych tytułów do zaszczytu, prócz względów Ludwika XIV, i pozwolił sobie złośliwych żartów z nowo wprowadzonego członka; biskup do żywego dotknięty zachował w sercu urazę. Wkrótce potem ciężko zachorował; sądząc się blizkim śmierci, przywołuje do łóża złośliwego antagonistę, przebacza mu wszystko, błogosławi go, wreszcie zdejmując z palca dyamentowy pierścień, ofiaruje kosztowny upominek na znak serdecznej zgody. Wątpimy bardzo, aby sprawa między Olivierem a Henri Martin, skończyć się miała tak chrześcijańskim pojednaniem.

List Oliviera, o którym akademii dowiedziała się dopiero z dzienników, zdziwił wszystkich, a oburzył niechętnie mu stronnictwo. Zwołano stanowiącą naradę. Większością jednego głosu (13 przeciw 12), usunięto Oliviera od obowiązku przyjmowania Henri Martin; zastąpi go Marmier.

Po zapadłym wyroku, Olivier ogłosił w dziennikach mowę swoją: charakter jej przeważnie polityczny. Mówca zbywa pobieżną ledwie wzmianką historyczne prace Henri Martin'a; o Thiersie, jako historyku, wyraża się tylko ogólnikiem. Głównym celem mowy, obrona pierwszego i drugiego Cesarstwa.

Wśród wielkiej liczby powieściopisarzy, którzy mniej więcej udanymi utworami zapełniają odcinki dzienników, Juliusz Claretie zdobywa sobie coraz to większe uznanie w publiczności francuskiej. Główną jego zaletą obrazowanie pełne życia i barwy. W powieści *Muskadyni*,

odmalował wybornie obyczaje z czasów Dyrektoryatu: w *Pięknym Soliniaku*, życie wojskowe z epoki pierwszego Cesarstwa. Późniejsza powieść p. t. *Pociąg siedemnasty*, wprowadza nas w świat robotników, nie tej gawiedzi poniewierającej się po szynkach, którą wywłóczy z rynsztoków realistyczna szkoła dzisiejsza, ale uczciwych robotników, pilnie zajętych przy warsztacie.

Ostatni utwór: *Le Drapeau* (Sztandar), poruszył do głębi wszystkie serca. Bohaterami powieści są dwaj starzy kapitanowie gwardyi Napoleońskiej, którzy, po rozwiązaniu armii zamieszkali spokojnie w mieście Vernon. Po latach wielu dowiadują się z dziennika, że sztandar, zakopany przez nich tajemnie pod Waterloo, podczas gdy ostatni karabatalion bronił się jeszcze z rozpaczliwym wysiłkiem; dowiadują się, powtarzamy, iż ten drogi im sztandar, odkryty został przy grzebaniu trupów, i wpadł w ręce pruskich żołnierzy. Wieść ta zatruwa gorącą ostatek życia biednych weteranów; odbiera im pocieszającą myśl, że spełnili powinność, że uchronili sztandar swój od zniewagi. Postanawiają bądźco bądź, odebrać ów sztandar, nie zdobyty przemocą, lecz nikczemnie skradziony.

Było to w r. 1855. Podróż z Vernon do Poczdamu daleka była, kosztowna i uciążliwa. Nie zraża to bynajmniej niedobitków wielkiej armii. Odmawiają sobie wszystkiego: nie piją wina, ani kawy, nie palą tytoniu; dokładają cierpliwie grosz do grosza. Po trzech latach uciuli razem do dwu tysięcy franków: pewni triumfu, puszczają się w drogę. Niestety! Krótka radość! W Kolonii jeden z nich umiera na gorączkę. Pozostały zamyka oczy przyjacielowi, rzuca mu garść ziemi na trumnę i sam jeden wyrusza dalej. Przybywa wreszcie do Poczdamu, gdzie sztandar znalazł trumny Fryderyka. Nie uszło to argusowego oka dozorców. Biedny weteran ucieka przed pogonią; złapany w ciasnej uliczce, przyparty do muru, broni się rozpaczliwie pięściami. Oblanego krwią, wtrącają Prusacy do więzienia. Trzy lata siedzi za kratą, o chlebie i o wodzie. Wypuszczony na wolność, wraca biédak do Vernon, gdzie umiera wkrótce ze zgryzoty.

Autor umiał z prostej przygody, wysnuć powieść wysoko poetyczną.

Przy dzisiejszym kierunku, tak realistycznym, ów starzec poświęcający życie dla ideału, zdaje się być anachronizmem. Potrzeba było w rzeczy samej wielkiej śmiałości, aby podjąć i przeprowadzić taki przedmiot. P. Claretie wyszedł zwycięzko z próby: powieść jego żywe obudziła współczucie.

Wspomnienia wielkiej armii, niedawno tak głęboko zagrzebane, taką okryte pogardą, zaczynają nieznacznie wydobywać się na jaw i poruszać znów serca. Uważaliśmy to w teatrze Cluny, na przedstawieniu starego dramatu z r. 1831, pod tytułem: *Cztery sierżanci z Roszelli*. Dramat ten nie wielką ma wartość artystyczną, ale jest wiernym powtórzeniem bardzo dramatycznego faktu. Po upadku Cesarstwa,

tryumfujący Burboni zreorganizowali wojsko po swojemu; wszystkie wyższe stopnie zajęli dawni emigranci, których pierwszym polem były walki prowadzone w Wandei lub nad Renem, przeciw własnej ojczyźnie. Żołnierze pamiętni tryumfów pod Austerlic, Wagram, Jeną, nienawistnym okiem patrzyli na dowódców swoich; widzieli w nich prostych zdrajców kraju. Gorętsi poczęli spiskować. Na czele ich stanął sierżant Bornes, z trzema towarzyszami. Rzecz wydała się wkrótce; czterej sierżanci z Roszelli, przypłacili krwią własną szalony zamach: głowy ich spadły w Paryżu, w r. 1822.

Bornes miał narzeczoną, młodą i piękną Franciszkę. Kiedy stanął na rusztowaniu, spostrzegłszy w tłumie ukochaną, rzucił jej wiązkę kwiatów na znak pożegnania. Franciszka podjęła kwiaty i przez lat z górą czterdzieści, chowała je na sercu. Paryż dotąd pamięta tę biedaczkę. Przed piętnastu laty spotykano jeszcze na cmentarzu Montparnaskim, gdzie pochowano sierżantów, starowinę zgiętą przez pół, wspartą na kij, z twarzą żółtkłą i pomarszczoną. Mieszkała na poddaszu, blisko bramy cmentarnej. Żyła bardzo ubogo, z własnej pracy, nie prosiła nigdy o wsparcie. Umarła w r. 1864. Sąsiedzi świadomi jej przeszłości, włożyli do trumny suchą wiązkę kwiatków, którą tak troskliwie pielęgnowała za życia, a którą po śmierci znaleziono na jej zastygłej piersi.

Nie zatrzymujemy się nad dramatem. Poprowadzony on bardzo słabo, w sposób nie godny przedmiotu, jaki mu dał pobudkę. Bądźco bądź, porusza serca do głębi i wyciska łzy widzom.

Kilka tygodni temu odbyła się rzewna uroczystość, w wielkim tujejszym Zakładzie głuchoniemych. Wobec ministra sprawiedliwości i innych dostojników inaugurowano pomnik księdza de l'Epée, pierwszego twórcy ważnej instytucji. Wykonał ten pomnik Feliks Martin, głuchoniemy rzeźbiarz, wychowaniec powyższej szkoły. Założyciel przedstawiony w pięknej postawie, uczy stojącego przy nim chłopczyka: znakami przemawia o Bogu.

Na piedestale data urodzenia i śmierci; urodził się w Wersalu, r. 1712, umarł w Paryżu, r. 1789. Po trzech stronach umieszczone płaskorzeźby. Na jednej ksiądz de l'Epée przyrzeka nieszczęśliwej matce zając się wychowaniem upośledzonych jej dzieciak; na drugiej, daje odmowną odpowiedź cesarzowi Józefowi, który usiłował gwałtem wyprowadzić go z Paryża a osadzić w Wiedniu; na trzeciej, zgrzybiałym przedstawiony już starcem, tuli się napół skrzepły w chłodnej izdebce, podczas twardej zimy 1788 r., aby fundusz przeznaczony na opał, obrócić na potrzeby drogich mu dzieciak.

Głuchoniemy rzeźbiarz otrzymał z rąk ministra krzyż Legii honorowej.

Jeden z uczniów przemówił znakami, drugi podał ministrowi tę mowę wydrukowaną w Zakładzie przez głuchoniemych zecerów.

Gazety z Nicei obsypały tój wiosny pochwałami naszą utalentowaną śpiewaczkę, pannę Kamillę Morzkowską. *Le Monde élégant* mówi o jój świetnym wystąpieniu koncertowém. „Artystka, wyraża się sprawozdawca, odśpiewała arya z *Wesela Figara* Mozarta, i arya z *Jenny d'Arc* Verdego, głosem pełnym, dźwięcznym, z metodą świadczącą o doskonałej szkole.” O inném znów wystąpieniu tak się wyraża drugi dziennik: „Część wokalna koncertu powierzona była śpiewaczce znakomicie utalentowanej. Sposób śpiewania panny Morzkowskiej, zupełnie jest oryginalny. Słuchaliśmy ję z podziwem i zachwyceniem. Skala ję głosu bardzo rozległa; wysokie tony czyste, prawdziwie kryształowe, średnie pełne i brzmiące; niskim zaś tonom umietyka nadać szczególny dźwięk, przenikający do głębi słuchaczy. Odśpiewała prześlicznie mazurka Chopina, układu na śpiew pani Viardot.”

Panna Morzkowska przebywa obecnie we Francyi, zkąd zapewne dojdą nas wkrótce wieści, o nowych ję tryumfach.

KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Oceniając potrzebę i ważność tematu proponowanego do konkursu Biblioteki Warszawskiej: *Historja języka polskiego*, nie mogłem stłumić w sobie pewnych powątpiewań, azali w dobie obecnej, kwestya ta jest już do stanowczego traktowania dojrzała. Nauka lingwistyki, jak każda nauka młoda, ma jeszcze, zwłaszcza u nas, zwolenników entuzjastów, łaknących oryginalności, a ztąd pochopnych do poglądów częstokroć zbyt śmiałych, do tworzenia teoryi wątpliwych, narzucanych wszakże ogółowi ludzi ukształconych lub dopiero kształcących się, lecz wcale nie uzdolnionych do sądzenia o rzeczach tak specjalnych, jak badania językowe.

Bez uroszczeń do wysokiej kompetencyi, jednakowoż z obeznania się o ile możność mi pozwoliła z pracami lingwistów naszych, powzięłem zdanie, może tylko na poczuciu ducha narodowego oparte, że w ogółności podlegają one zarzutowi, iż nazbyt są wszechśłowaniańskie, a zamało uwzględniające prawa do odrębności naszego języka, wyrobionego historją narodu, odmiennym od samego wystąpienia na widownią dziejów, kierunkiem uspołecznienia i oświaty; z czego wynikły odmiennie niż u innych przedhistorycznych krewniaków, życia narodowe objawy: społeczne, moralne, umysłowe i najbardziej widome ich znamię, język własny. Niemowlęstwo, jakimkolwiek było, nie zbudowało

żadnych pomników; organiczne zaś wyosobienie indywidualności języka uwieńczonem zostało dojrzałością, wyzwalającą z zależności od innych języków, pierwotnie ze wspólnej wyszłych kolébki. Zjawisko to dla samej nawet nauki ma wielką w lingwistyce wagę, dostarcza bowiem nowego stwierdzenia tej właściwości języków rodziny aryo-europejskiej, na mocy której za czasów nawet historycznych, a względnie bardzo niedawnych i w innych tej rodziny szczepach: italskich, germańskich, w podobny sposób powstały nowe języki i wyosobiły się jako organizmy samoistne. Życie dziejowe powytwarzało w łonie tych plemion narody historyczne, a w nagrodę tej pracy dziejowej każdy z nich posiada własną narodowość, którą unieć cenić i własny język (Hiszpanie, Francuzi, Anglicy i i.).

Z tego zapatrywania się wychodząc, mniemam, że w naukowem traktowaniu języka naszego najzupełniej można i należy obywać się bez materiału obcego, a zatem nie powoływać się na czynniki, które do kształcenia języka nie przyczyniały się wcale, nie naciągać sposobów objaśniania zjawisk mowy, niezgodnych z ewolucją języka. Czego np. mogą nas uczyć lub do czego zobowiązywać owe jery, jatie, samogłoski dwoiste, czyste i jotowane.

Tymczasem, ponieważ w dotychczasowej lingwistyce słowiańskiej koryfeuszem przodującym jest Miklosich (Serb), owych języków przez greckie wychowanych, rzeczywiście znawca gruntowny; ponieważ lingwiści nasi od niego się uczą, mniemają przeto, że w wykładzie nauki innych dróg niema. Nawet prof. Małeckie, najwięcej poczucia polskiego okazujący, nie potrafił w swjej gramatyce bez owych wyżej wzmiankowanych pomocy się obejść. Inni po tej drodze zaszli dalej za mistrzem cudzoziemcem i tu jest źródło owego nieuznania paktu naszego, uświęconego wiekami z mistrzynią łaciną, która wychowaniu narodu przewodniczyła, owo np. natarczywe zalecanie jotowania pewnych zakończeń żeńskich w imionach z łaciny wziętych, które jak w rodzinnym swym języku, tak i we wszystkich cywilizowanych językach Europy, używających alfabetu łacińskiego, a zatem i u nas w odznaczającej się prostotą formie, bez tego jotowania były i są dobrze wymawiane i czytane. Natarczywość ta doktrynerska, nacechowana iście jakimś fanatyzmem szkolniczym, nie pojmuje i nie zważa na łatwy innym do pojęcia wstępnym i opór, jaki poczucie narodu jej stawia; powtarza argumenta swoje poczerpnięte z kirylicy, bałamutną naukę na własną odpowiedzialność wlewa od młodości w szkole, usuniętej dzisiaj z pod kontroli narodu i zaczyna kosztować już owoców zgorzienia. Najpierw gazety codzienne z nałogu chwytające nowości, dały przykład tego zбочenia z toru historycznej tradycyi, a lubo wszystkie poważniejsze, rychno się z tej drogi wycofały, coraz gęściej odtąd pokazywała się i w piśmie i w druku owa zalecana pisownia. Po głośnem wystąpieniu ks. Malinowskiego, nawet korporacya najwyższy w kraju przywilej naukowy piastująca, której jedyną przystałością w tej raz po raz wznawianej kwestyi wschodniej użyć powagi i dać przykład; zamiast tego, poło-

wicznie wprawdzie i chwiejnie, ale już nienarodowemu temu nowatorstwu ulega. Nie zaprzeczy nikt, że brak ten zasady i płynąca ztąd niejednostajność, zewnętrznej szaty języka w publikacjach Akademii nie wygląda poważnie.

Przed pół wiekiem, Towarzystwo Przyjaciół Nauk uczuwało już potrzebę naukowych badań nad językiem i z łona swego wybrało na ten cel pracowników. Bliżsi tradycyi narodowej, pełnem jeszcze życiem tchnącej, uczestnicy lub świadkowie wielkiego sejmku, równiennicy dzielnych mówców z kazalnicy, z katedry i trybunału, badania swoje oparli przeważnie na podstawie zwyczaju narodowego, rozumiejąc pod tém wyrażeniem odbicie form językowych w wyższych objawach narodowego życia i w mowie ludzi przodujących społeczeństwu. Dzisiaj rozporządzamy w badaniach naukowych bogatszym materiałem, posiadamy udoskonalone metody, które wytworzyła już później nauka; możemy tedy uznać, że dziś nie wystarczy już dla badań tego rodzaju jeden tylko punkt podpory; tém niemniej jednak, choć nie będzie już jedynym, nazawsze powinien pozostać pierwszorzędnym i zasadniczym, bo wlewa ducha i nadaje kierunek; jest i będzie drogowskazem, broniącym od zejścia na manowce z drogi właściwej.

Dzisiaj przeto, przystępujący u nas do badań nad językiem oczystym, powinien obok odpowiedniego ukształcenia lingwistycznego, równe przynajmniej dawać rękojmie należytego wyrobienia politycznego, dojrzałości pozwalającej utrzymać się wyżej ponad sferą przemijających w nauce prądów, młodzieńczego a niewczesnego nowatorstwa, najfałszywszych sympaty, a umieć stać silnie na godziwym gruncie praw narodowych, w potrzebie zaś bronić ich nie tylko od przemocy, ale i od zdradliwych insynuacyi, grożących ich podkopaniem.

Wyrażone tu wątpliwości względem odpowiedniego potrzebie czasu rozwinięcia, podanego do konkursu zadania, nie miały wcale zamiaru odwodzenia od traktowania tego przedmiotu. Kwestya—nietykana nie posuwa się naprzód, nie wyjaśnia się, nie dojrzewa; prace zaś, choćby nawet jednostronne, pod urokiem pewnych uprzedzeń, lub dla braku samodzielności, pod wpływem obcej szkoły dokonane, aby tylko przez ludzi szczerych, narodowość swą szanujących i miłujących, a dostatecznym zasobem nauki i talentu obdarzonych, jeśli oczekiwaniu w zupełności nie odpowiedzą, to zawsze zostaną cennym dla następców przyczynkiem. Wystąpienia przeto mojego celem, było jedynie obudzić czujność przeciwko pewnym teoryom, niedającym się pogodzić z historycznym rozwojem naszego języka, tudzież spowodować jasne wypowiedzenie tego, czego od téj pracy mamy prawo wymagać.

A. Walecki.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Złota księga szlachty polskiej. Przez Teodora Żychlińskiego.
Rocznik pierwszy. Poznań 1879 r.

Rocznik pierwszy *Złotej księgi szlachty polskiej*, o którym słów kilka powiedzieć zamierzamy, obejmuje kilkadziesiąt monografii historyczno-genealogicznych rodziń polskich.

Pan Żychliński dostrzegłszy, że w żadnym może kraju większej niema apatii i obojętności na stosunki rodowe i rodzinne jak u nas, pragnie wydawnictwem tém, które w poszytach rocznych na wzór *Almanachu gótajskiego* wychodzić będzie, obudzić poczucie rodzinne tam, gdzieby było potrzeba, zapoznać nieznanych a blizkich krwią ze sobą, przypominać i uprzytomiać rodzinnyim kołom ich związki i tradycyą: księgi rodzinne za nie prowadzić.

Że autor *Złotej księgi* miał na celu pożytek ogółu, wątpić nie można, ale że go nie osiągnął, z żalem przyznać musimy.

Wydawnictwa Akademii umiejętności i galicyjskiego wydziału krajowego, pomniki Helcla, kodeksy dyplomatyczne i liczne źródła dziejowe, stanowią obok akt przechowanych w archiwach, nieprzebrany skarb dla heraldyka, z którego czerpać winien wiadomości do prac swoich. Na takich źródłach praca jego oparta, będzie prawdziwém odbiciem przeszłości rodowej szlachty polskiej i nawet stanowić może ważny przyczynek do dziejów krajowych. Kołom zaś rodzinnym wskazawszy autor źródła, z których sam czerpał, powoli zapozna je z niemi i obudzi w nich chęć do bliższego zapoznania się z życiem swoich praojców, przez skrzętne zbieranie o nich dokładnych wiadomości.

Jeżeli zaś autor dzieła heraldycznego, jakto właśnie p. Żychliński uczynił, nie wesprze się w swój pracy na prawdzie historycznej, a do kreślenia monografii służyć mu będą przeważnie za podstawę, zawarte w *Herbarzu* Niesieckiego i udzielone mu przez rodziny wiadomości, nie poddawszy ich wprzód surowej krytyce; praca taka nietylko że nie przyniesie najmniejszego pożytku ogółowi, ale będzie miała ten zły skutek, że wskaże kołom rodzinnym sposób, w jaki dla dogodzenia swój próżności, układają mają genealogie swoich domów.

Rodowody Borkowskich i Męcińskich, tak jak są zamieszczone w *Złotej księdze*, nie powinny były znaleźć miejsca w poważnej pracy; podaniem ich autor dziełu swojemu wielką krzywdę wyrządził i zła-mał sam odrazu kierunek, który był winien wydawnictwu temu nadać.

Nie mamy zamiaru dać sprawozdania z całości *Złotej księgi*, bo te tylko usterki wykazać i błędy sprostować pragniemy, co do których zdanie nasze odpowiednimi dowodami poprzeć możemy.

Idziemy porządkiem alfabetycznym.

W rodowodzie Bnińskich h. Łódzia, p. Żychliński wyliczając dygnitarzy tej rodziny, wspomina o Jakobie w 1280 r. wojewodzie poznańskim i o Andrzeju w 1293 r., kasztelanie kaliskim. Otóż ani pierwszy ani drugi nie piastowali wzmiankowanych urzędów.

W 1280 r. wojewodą poznańskim był Beniamin, przed nim Tomisław, który objął ten urząd po Przedpeku.

Po Beniaminie był znów wojewodą inny Tomisław, w przeciagu lat 1252—1294. Jakoba wojewody poznańskiego wcale niema (*Helcla Starodawne prawa polskiego pomniki* t. I; *Tabela dostojników wielkopolskich* i *Kodeks dyplomatyczny wielkopolski* t. I).

Kasztelanem kaliskim w 1293 r. był nie Andrzej a Berwald, który na tym urzędzie pozostawał w latach 1290—1299 (*Tabela dostojników*, Helcla i *Kod. dypl. wielkopolski* t. II, nr. 805). Dalej autor powiada, że Mirosław syn Przedpeka kasztelan bniński, zmarły około 1260 r. wojewodą poznańskim, otrzymał od Przemysława II prawo niemieckie dla Bniua, Rogalina i t. d. I tu niedokładność. Mirosław rzeczywiście otrzymał prawo niemieckie dla powyższych osad, ale dopiero w 1294 r., nie mógł więc umrzeć wojewodą poznańskim około 1260 r. (*Kod. dypl. wielkopolski* t. II, nr. 718).

Rodowód rodziny Duninów-Borkowskich h. Łabędź, wywodzącej swój początek od króla duńskiego Eryka (1095—1103 r.) i poprowadzony bez żadnej przerwy po dzień dzisiejszy, na szczególną zasługuje uwagę. Wielka jednak szkoda, że autor *Złotej księgi*, podając nam tak dokładne wiadomości z odległej przeszłości, nie wskazał źródeł, z których je zaczerpnął. W monografii tej, prawdopodobnie autor szedł za Niesieckim, z tą jednak różnicą, że podanych przez Niesieckiego w chronologicznym porządku, wątpliwiej autentyczności szereg dygnitarzy rodu Duninów, przyjmuje za pokolenia po sobie idące i jako takie do rodowodu Borkowskich przenosi. Protoplastą Duninów-Borkowskich, podług autora *Złotej księgi*, jest Piotr Dunin, syn Wilhelma podskarbiego królestwa duńskiego, a wnuk króla Eryka. Pojął on za żonę w 1104 r. Maryą, córkę Światopełka, wielkiego księcia kijowskiego; umarł 1153 r., zostawivszy liczne potomstwo. Córka jego Beatriksa poślubiła Jakse, księcia Serbii; syn zaś najstarszy Piotr, był w 1190 r. pierwszym kasztelanem łęczyckim. Syn tego Piotra Otton, miał syna Piotra w 1240 r. wojewodę łęczyckiego, którego syn także Piotr w 1271 r. kasztelan sandomirski, pozostawił syna Mikołaja, dziedzica Borkowic, od którego już dalej idą Borkowscy.

Chociaż proste przytoczenie powyższego ustępu monografii Borkowskich, już daje dostateczne wyobrażenie o jej wartości i o sposobie, w jaki autor *Złotej księgi* tworzy rodowody niektórych rodzin, nie mo-

zemy się jednakże powstrzymać od wykazania bezzasadności tego wywodu pochodzenia rodziny Borkowskich, od króla duńskiego Eryka.

Wydana poraz pierwszy w 1865 r. przez Mosbacha, a obecnie zamieszczona w tomie III *Pomników dziejowych: Kronika o Piotrze Właście* poucza nas, że nie Piotr Duńczyk, a Piotr syn Własta, Słowianin więc z pochodzenia, był doradcą i przyjacielem króla Bolesława, fundował przeszło 70 kościołów, żonaty był z Maryą księżniczką ruską i Jakse miał za zięcia. Wiadomość o Piotrze synie Własta, przechowana w tej kronice, znajduje potwierdzenie w najdawniejszych historycznych źródłach wspominających o Piotrze.

Tak *Kronika zwisaltenńska* jak *Kronika polska*, mistrz Wincenty i Herbord, znają tylko jednego Piotra i to syna Własta. Boguchwał dopiero pierwszy, niewiadomo na jakiej podstawie, wprowadza na widownię dziejową dwu Piotrów: Piotra syna Własta, pogromcę Wołodara i Piotra Duńczyka, kładąc na karb tego ostatniego to wszystko, co niezaprzeczenie do pierwszego odnieść należało.

Długosz w swjej historii, obok Piotra Włoszczowicza umieszcza Piotra Duńczyka, dając mu raz za ojca Wilhelma, drugi raz Świętosława.

Wszystkie powyższe źródła nietylko że nam nie dają żadnej pewnej wiadomości o królewskim pochodzeniu Piotra Duńczyka, ale nawet istnienie jego w wątpliwość podają. Lecz czy przyjmiemy, że Piotr Duńczyk i Piotr syn Własta były dwie różne osobistości, w jednym żyjące czasie, jak to czynił hr. Stadnicki (*Przyczynek do heraldyki*, Lwów 1879 r.), czy też zgodnie ze zdaniem dr. Semkowicza (Wstęp do *Kroniki o Piotrze Właście*) powiemy, że Piotr Duńczyk i Piotr syn Własta są jedną i tą samą postacią historyczną; zawsze ten Piotr czy przybył on z Danii, czy był synem Własta, nie mógł być protoplastą Borkowskich, gdyż nie miał syna Piotra, po którym podług *Złotej księgi* idą Borkowscy. A na to wszystkie się źródła zgadzają. Długosz wspomina o dwu jego synach: Idzim i Konstantym, inne źródła znają tylko jednego Idziego. Zkąd więc autor *Złotej księgi* zaczerpnął wiadomość o licznem jego potomstwie i najstarszym synie Piotrze, pozostaje zagadką.

Nie możemy również pominąć w monografii Borkowskich tego szczegółu, że w rodowodzie ich od 1578 po 1640 r., t. j. w przeciągu 70 lat, spotykamy aż pięć pokoleń po sobie idących.

Syn Jana Stanisław, który żył w 1578 r. i miał być kasztelanem połanieckim, pozostawił syna Jana (linia senatorska), ten znów Stanisława, po którym idzie trzeci Jan, a tego syn Stanisław miał zostać w 1640 r. kasztelanem połanieckim. Gdybyśmy przyjęli na każde pokolenie tylko lat 20 i że ostatni Stanisław w 21 roku życia został kasztelanem połanieckim, to i tak tych wszystkich pięciu Borkowskich w tym przeciągu czasu pomieścić się nie dało.

Widocznie w rodowodzie popełniono pomyłkę, chcąc koniecznie wszystkich trzech Janów i trzech Stanisławów, odnieść do jednej gałęzi Borkowskich.

Prawdopodobnie Stanisław, który miał być kasztelanem połanieckim, a żył 1578 r., miał syna Jana, który umarł przed 1647 r. i z Katarzyną Gołuchowskiej pozostawił syna Stanisława i córki: Zofią, Elżbietę i Krystynę (*Metr. Kor.* ks. 190, fol. 322). Ten Stanisław, 1664 r. łowczy sandomirski, w marcu 1670 r. stolnik lubelski, został w kwietniu 1670 r. kasztelanem połanieckim (*Sig. Metr.* ks. 11).

Jan zaś, który podpisał elekcyą Jana Kazimierza, nie był wcale ojcem Stanisława kasztelana i wraz ze swoim ojcem Stanisławem, do innej linii Borkowskich odnosić się musi.

Protoplastą rodziny Chełmskich h. Ostoja, ma być Mikołaj, syn Ścibora Ściborowicza wojewody siedmiogrodzkiego, który wraz z braćmi: Piotrem kasztelanem połanieckim i Ściborem, żyli w pierwszej połowie XV stulecia. Tak nie jest, i gdyby autor *Złotej księgi*, zamiast szukać protoplasty Chełmskich w Siedmiogrodzie, obejrzał się staranniej po krakowskiej ziemi, byłby znalazł w sądowych zapiskach zebranych przez Helcla, że Piotr kasztelan połaniecki i Mikołaj są synami Hanka z Chełmu, a Ścibor nie jest ich bratem a synem Piotra.

W 1389 r. żył Hanko z Chełmu (Helcel t. I, nr. 241) z żony Katarzyny zostawił sześciu synów: Piotra, Inrama, Jana, Hanka, Mikołaja i Jakóba, którzy w 1404 r. oddają matce swój w dożywocie wieś Chełm (Helcel t. II, nr. 1082).

Piotr najstarszy z nich, w 1436 r. kuchmistrz królowej Zofii, a w latach 1436—1445, kasztelan połaniecki (*Vol. Leg.* 1436, u Helcla lata 1439—1445) dziedzic na Woli-chełmskiej, Przegorzałach i Bielanach, w r. 1445 r. oddał je najstarszemu swemu synowi Janowi (Helcel, t. II, nr. 3222). Z aktu tego okazuje się, że miał drugiego syna Ścibora, żonatego z Anną wdową po Janie Straszu (Helcel, t. II, nr. 285). Do tego Ścibora, syna Piotra kasztelana połanieckiego, który dziedzicem był Pońca (*Metr. Kor.* 10, f. 108), odnieść należy wszystko co o Ściborze w *Złotej księdze* powiedziano. Jan, najstarszy syn Piotra, był także kasztelanem połanieckim w 1451 r. (Helcel, t. II, nr. 3459 i 3465).

Niepodobna przypuścić, ażeby ten sam Mikołaj, brat kasztelana połanieckiego, którego chociaż jeszcze nieletniego, u Helcla pod r. 1404 znajdujemy, był ojcem: Marcyana, Jana, Remigiana i Juliana, którzy po raz pierwszy zeznają dopiero akta około 1520 r. (*Metr. Kor.* ks. 39, f. 165, ks. 31, f. 176, ks. 35, f. 901). Inny więc Mikołaj musiał być ich ojcem, ten żył jeszcze w 1518 roku, żonaty był z Anną i pisał się do Chełm (*Metr. Kor.* ks. 33, f. 167, ks. 45, f. 264). Marcyan I chorąży krakowski miał nie trzech synów wymienionych w *Złotej księdze*, lecz jednego, także Marcyana, któremu w 1569 r. ceduje chorążostwo krakowskie (*Metr. Kor.* 105, f. 327). Ten drugi dopiero Marcyan zostawił czterech synów: Mikołaja, Marcyana, Stanisława i Krzysztofa; trzej pierwsi prawa swe do spadku po siostrze Katarzynie Oraczowskiej, odstepują w 1608 r. bratu Krzysztofowi (*Metr. Kor.* 152, f. 411). Z nich Mikołaj żonaty był z Jadwigą Waliszewską (*Metr. Kor.* 152, f. 519),

a Marcyan III z Dorotą Gostomską, córką Tomasza wojewody mazowieckiego, o czém plenipotencya téjże z r. 1637, w grodzie czerskim zeznana przekonywa (Akta ziem. czers., ks. 19, f. 83). Że Józef Chełmski był synem Andrzeja, a nie Marcyana oboźnego koronnego, że tenże Józef miał dwie siostry: Annę za Tworzyzańskim i Teresę za Czarnockim, że nakoniec sam z Heleny Zielonackiej pozostawił dwu synów: Heliodora i Stanisława, przekonywa o tém wyrok trybunału piotrkowskiego z dnia 18 grudnia 1748 r. o dobra Łukomia wydany.

W starannie skreślonej monografii Cieleckich h. Zaremba, prostujemy następujące niedokładności.

Mikołaj Cielecki był pewnie komornikiem granicznym lub ziemskim, a nie komornym kaliskim, gdyż urzędu takiego nie było.

Krzysztof nie z cześnika, a z podczaszego został kasztelanem szremskim i to nie w r. 1613, a 3 marca 1620 r. (*Metr. Kor.* nr. 166, f. 31). Umarł przed 18 kwietnia 1627 r.

Syn Bartłomieja, a wnuk Mikołaja „Groszka” Jan Cielecki, z piasarza grodzkiego poznańskiego w 1597 r. podstoli poznański, oprócz dwu wzmiankowanych w *Złotój księdze* synów: Bolesława i Jana, miał jeszcze syna Zygmunta, ktoremu w 1612 r. ceduje wieś Gonięcin (*Metr. Kor.* nr. 154, f. 208).

Jakób był stoluikiem poznańskim a nie podsędkiem, po jego śmierci otrzymał ten urząd w 1621 r. Jerzy (*Metr. Kor.* nr. 165, f. 383). Podsędkiem zaś był Łukasz, który objął ten urząd po Niegolewskim w 1622 r. (*Metr. Kor.* nr. 168, f. 47).

Elżbieta córka Jakóba, była 1 v. za Adamem Brodnickim, 2 v. za Kobierzyckim (*Metr. Kor.* nr. 179, f. 241).

Piotr Czarnecki od którego autor *Złotój księgi*, rozpoczyna rodów domu Czarneckich h. Prus III-tio, nie był kasztelanem zakroczymskim w 1620 r., ani następnie kasztelanem zawichojskim.

Kasztelanem zakroczymskim w 1613 r. jest Jakób Lelowski, (*Vol. Leg.*), po śmierci którego otrzymuje ten urząd w styczniu 1620 r. Jan Brochowski (*Metr. Kor.* nr. 166, f. 28) i jest nim jeszcze w 1633 r. (*Vol. Leg.*). Kasztelanem zawichojskim po Maksymilianie Przerębskim 1 stycznia 1620 r. zostaje Hermolaus Ligeza i jest nim do grudnia 1624. Po nim w lutym 1625 r. zostaje Mikołaj Porębski, po śmierci którego w 1637 r. otrzymuje nominacją Bartłomiej Kazanowski (*Metr. Kor.* ks. 163, f. 379, ks. 166, f. 1, ks. 172, f. 114 i ks. 182, f. 163).

Giżycki Wojciech (f. 53) nie mógł być wojewodą bełzkim w 1620 roku, gdyż po śmierci Niszczyckiego został nim w 1617 r. Prusinowski, po nim w 1619 r. Leszczyński, który umarł dopiero w 1636 r. (*Metr. Kor.* ks. 161, f. 118, ks. 163, f. 193 i ks. 182, f. 67). Wprawdzie Niesiecki zamieścił Wojciecha na liście wojewodów bełzkich, lecz jedynie z zasady że w Konst. sejm. z 1620 r. wspomniany jest Mikołaj Giżycki, jako wojewodzie bełzki; nie wypływa ztąd jednak, ażeby Wojciech był w r. 1620 wojewodą, jak się to podobało p. Ż. napisać.

Kiełczewski Wacław z biechowskiego kasztelan lendzki, został w 1620 r. kasztelanem łęczyckim, a w 1627 r. podkomorzym koronnym (*Metr. Kor.* nr. 176, f. 170). Był żonaty nie z Karnkowską, lecz z Anną Maryą Duninówną, z którą jeszcze jako starosta wschowski w 1596 r. wieś Niwki w dożywocie otrzymuje (*Metr. Kor.* nr. 140, f. 294). W 1621 r. będąc już kasztelanem łęczyckim, otrzymuje już communicativum na wieś Tuczo dla żony Maryanny à Donna (*Metr. Kor.* nr. 165, f. 354): czy to pomyłka pisarza, czy też rzeczywiście drugą jego żoną była też Maryanna, nie wiadomo.

Izabela Karnkowska córka Jana wojewody płockiego, była żoną Krzysztofa Kiełczewskiego cześnika łęczyckiego; posiadali w 1628 r. dożywociem wieś Tuczo (*Metr. Kor.* nr. 177, f. 87). Po śmierci Kiełczewskiego wyszła rzeczywiście za Konarskiego.

Cecylia Kossecka, córka Ksawerego Franciszka, żona Józefa Lubowidzkiego, a nie Lubowieckiego.

Lubowidzcy h. Topacz pochodzą z województwa rawskiego, ze wsi Lubowidza.

Monografia Krzyżanowskich h. Dębno, jest wyciągiem z obszernej pracy, przygotowanej do druku przez dr. Stanisława Krzyżanowskiego.

Co do niej, przedewszystkiem sprostować musimy, że Piotr z Krzyżanowic, który pierwszy zwał się Krzyżanowskim, nie był podśędkiem krakowskim, pomimo że go takim mieni autor.

Z zapisek sądowych Helcla, mamy dokładny spis podśędków krakowskich, którzy ten urząd od 1370 r. po 1503 r. sprawowali. W ich liczbie znajdujemy dwu Piotrów: jednego z Bąkowca w latach 1410—1413, drugiego Czikowskiego od 1442 r. po 1454 r. Piotra z Krzyżanowic wcale w ich liczbie niema.

Autor monografii tej utrzymuje, że Jan Krzyżanowski dowiedziałwszy się o dziewicy dziwniej piękności, a dziedzicze wielkich dóbr Jadwidze Księżkiej, zamkniętej na zamku w Iłży, napadł na ten zamek, zrabował, a pochwyconą Jadwigę poślubił. Autor zaś *Złotej księgi* w przypisach dodaje, że cała ta sprawa napadu na zamek w Iłży i poślubienia Jadwigi Księżkiej, nie jest dostatecznie wyjaśnioną.

Gdyby był p. Zychliński przed wydaniem monografii Krzyżanowskich, starannie odczytał zapiski sądowe Helcla, byłby w nich znalazł szczegółowy przebieg całej tej sprawy i przekonał się, że Krzyżanowski nigdy nie był mężem Jadwigi Księżkiej, że wprawdzie napadł na zamek w Iłży i nawet zrabował takowy, ale prawdopodobnie wtenczas, gdy już w nim Jadwigi Księżkiej nie było.

W 1434 r. nastąpił układ pomiędzy Janem Oleśnickim podówczas marszałkiem wielkim koronnym, a Spytkiem z Melsztynu, na mocy którego syn marszałka Zbigniew, miał poślubić Jadwigę Księżką córkę Jaśka. Układ ten jednak nie przyszedł do skutku, bo 2 października 1441 r. Oleśnicki z Jadwigą Księżką zwalniali się wzajemnie z przyjętych na siebie zobowiązań, a Oleśnicki oddaje trzymane przez siebie

dotychczas jej włości Rabsztyn i Książ (Helcel, t. II, nr. 2519, 2531 i 2912).

W kilka tygodni później, bo 27 listopada tegoż roku, Jadwiga córka Jaśka z Melsztynu, jest już żoną Andrzeja Tęczyńskiego kasztelanica woynickiego, z którym wzajemnie zeznają dla siebie zapisy (Helcel, t. II, nr. 2922 i 2924).

Ten Andrzej zabity przez mieszczan krakowskich, pozostawił z Jadwigi syna Jana, który się pisał Rabsztyńskim. (Helcel, t. II, nr. 3701, 3704 i 3706).

W dwa lata dopiero po wyjściu za mąż Jadwigi, bo 1443 r. znajdujemy toczącą się w sądzie sprawę Oleśnickiego przeciwko Krzyżanowskiemu, o napad na zamek w Iłży i zrabowanie takowego (Helcel, t. II, nr. 3155 i 3164).

Mikołaj Lasocki h. Dołęga, podkomorzy dobrzyński i starosta łęczycki, żonaty z Dorotą Melsztyńską, nie był marszałkiem wielkim, lecz marszałkiem nadwornym koronnym; właśnie dzieło Helcla, na które się autor *Złotój księgi* powołuje, głównie tego dowodzi.

Marszałkiem wielkim koronnym w latach 1440—1461, był Mikołaj z Brzezia (Helcel, t. II i A. G. Z., t. IV). Mikołaj Lasocki raz jeden wzmiankowany jest u Helcla marszałkiem nadwornym pod r. 1468, (nr. 3918).

Jakób syn Stanisława nie z kasztelana inowrocławskiego, a z inowłodzkiego, został kasztelanem łęczyckim. Kasztelanem inowłodzkim mianowany 22 października 1545, a łęczyckim 27 lipca 1550 r. (*Metr. Kor.* ks. 70, f. 222 i ks. 78, f. 413). Agnieszka Brochowska żona Olbrachta-Adryana Lasockiego, była córką nie Jana kasztelana, lecz Feliksa pisarza ziemskiego zakroczymskiego (*Metr. Kor.* nr. 201, f. 448).

Ani Paprocki, ani Okolski nie wspominają, ażeby Męcińscy h. Poraj, wprost od Kurozwęckich ród swój wiedli, a Starowski umieścił w *Monumentach* nagrobek Stanisława z Kurozwęk i Michałowa, syna Dobiesława kasztelana sandomierskiego, który opiewa, że tenże Stanisław ostatnim był ze swojego rodu, i że ze Zborowskiej pozostawił jedyną córkę Barbarę.

Niesiecki pierwszy dopiero wzmiankował, że od Kurozwęckich idzie dom Męcińskich. Wielądek dalej zaszedł i wymieniwszy Piotra, Krzesława i Stanisława z Kurozwęk dodał: że ci mieli znaczne potomstwo, które wzięło imię Męcińskich.

Autor *Złotój księgi* już wprost rodowód Męcińskich od Kurozwęckich poczyna. Doszedłszy do Stanisława z Kurozwęk, podskarbiego nadwornego, żonatego ze Zborowską, powiada, że syn jego Wojciech nabywszy dobra Męciny, od nich pisać się zaczął i od tegoż Wojciecha prowadzi dalej ród Męcińskich.

Stanisław więc z Kurozwęk, na którego nagrobku wypisano, że był ostatnim z tego rodu, jest podług p. Ż. protoplastą Męcińskich.

Może być, że to co nam Starowski o nagrobku Stanisława z Kurozwęk przechował, należy wziąć w tém znaczeniu, że ten Stanisław

był ostatnim z historycznej linii Kurozweckich, idącej od Dobiesława kasztelana krakowskiego, a tém samém, że i Męcińscy mogą pochodzić od którejś bocznej odnogi tego domu, np., że idą po Stefanie, Mszczuju, Tomisławie lub Macieju z Kurozwek, których w zapiskach Helcla znajdujemy (Helcel, t. I, nr. 165, t. II, nr. 432 i 941). Uwierzyć jednak temu, że Wojciech Męciński był synem tego ostatniego potomka historycznej linii Kurozweckich Stanisława, na proste twierdzenie autora *Złotej księgi* w żaden sposób nie możemy.

Miączyński Piotr, żonaty nie z Cieślińską, a z Reginą Cieklińską; (*Metr. Kor.* nr. 180, f. 410); słusznie przeto Bobrowicz mylnie napisawszy jej nazwisko, przepisał jej herb Habdank, którym się rodzina Cieklińskich pieczętuje.

Mielżyński Łukasz, kasztelan gnieźnieński, miał oprócz Łukasza, drugiego syna Andrzeja (*Metr. Kor.* nr 165, f. 63 i 64).

Żoną Mikołaja kasztelana gnieźnieńskiego była podług *Metr. Kor.*, nie Rokosowska, a Radoszewska Katarzyna; córka ich Anna wyszła nie za Wacława, a za Przecława Leszczyńskiego, starostę nakielskiego i kcyńskiego, syna Andrzeja wojewody brzeskiego (*Metr. Kor.* nr. 177, f. 99). Niesiecki mieni tego Przecława wojewodą derpskim, lecz nim nie był; natomiast konstytucya sejmowa z 1649 r. wspomina o nim, jako kasztelanie szremskim.

Wacław Leszczyński, kanclerz wielki koronny niemiał syna Wacława; ustanawiając opiekę nad dziećmi w 1623 r., wymienia: Andrzeja, Władysława, Jana, Rafała, Maryą, Annę i Barbarę (*Metr. Kor.* nr. 170, f. 577).

Nie Wacław Leszczyński lecz Władysław był wojewodą łęczyckim, którego żona Katarzyna Gajewska.

Dziwna rzecz, że Niesiecki zamieszcza na liście wojewodów łęczyckich Wacława i w tekście o nim pisząc, powołuje się na konstytucyę sejmową z 1661 r., która właśnie dowodzi, że nie Wacław, lecz Władysław był wojewodą łęczyckim. Pan Ż. zawsze ślepo idąc za Niesieckim i tu powtarza pomyłkę przez niego popełnioną, a mógł ją łatwo sprostować odczytawszy wyżej przytoczoną konstytucyę sejmową.

Krzysztof Mielżyński, syn Krzysztofa, niemógł być kasztelanem kaliskim w 1638 r., urząd ten bowiem piastował Kacper Zebrzydowski, mianowany jeszcze w 1624 r., po śmierci którego otrzymał to krzesło w 1649 r. Jakób Rozrażewski (*Metr. Kor.* ks. 171, f. 44 i ks. 191, f. 236).

Żoną Jakóba Mielżyńskiego, syna Krzysztofa, była nie Konstancya lecz Anna Grudzińska. Jakób był starostą kcyńskim (*Sig.* ks. 3, f. 143).

Morsztynowie herbu Leliwa, nie pochodzą od Mondsternów i nie przybyli dopiero w XVI stuleciu do Polski, gdyż ich już w XV stuleciu pomiędzy mieszczanami i rajcami krakowskimi znajdujemy. Stanisław rajca krakowski 1462 r., Jerzy, żupnik krakowski i ruski, syn tegoż Jerzy, rajca krakowski, nabył kopalnie w Swoszowicach (Helcel, t. II, nr. 3662, 3975, 3994, 4097 i 4283).

Jerzy nobilitowany w 1492 r., był przypuszczony do herbu Leliwa, przez Tarnowskich (*Metr. Kor.* ks. 56, f. 47).

Pisali się Morstyn, Mornstin, Mornsteyn, Morstin, Morsthcin, ale nigdy Mondstern.

Ostroróg Andrzej, starosta garwoliński i drohowicki, żonaty był nie z Emerencyaną Stadnicką, lecz z Maryaną, córką Jana Kazimierza (*Metr. Kor.* nr. 196, f. 130 i 131), która drugi raz wyszła za Wojciecha Emeryka Mleczkę, wojewodę podlaskiego.

Dobiesław z Oleśnicy był wojewodą sandomirskim nie w 1413 r., lecz w 1440 (Helcel t. II). W latach 1410 i 1430, wojewodą był Mikołaj z Michałowa.

Sierakowski Marcin, syn Stanisława, był kasztelanem inowłodzkim, a nie inowrocławskim. Mianowany 29 listopada 1603 r. Jest jeszcze o nim wzmianka pod r. 1619, zawsze jako kasztelan inowłodzkim, staroście przedeckim (*Metr. Kor.* ks. 148, f. 197 i ks. 163, f. 260).

Jan najstarszy syn Marcina, z kasztelana santockiego został w 1649 r., kasztelanem bydgoskim (*Metr. Kor.* nr. 192, f. 62).

Ojcem Jadwigi Modliszewskiój, żony Łukasza Sierakowskiego, był Andrzej, starosta łomżyński (*Metr. Kor.* nr. 134, f. 199). Jan Szymon Szczawiński, mąż Reginy Sierakowskiej, był synem Jakóba wojewody brzeskiego, urodzonym nie z Karnkowskiej lecz z Zofii z Warzymowa Sokołowskiej. Już w 1619 r. występuje w aktach tenże Jakób z żoną Sokołowską, o której jest jeszcze wzmianka pod r. 1638, już jako o wdowie (*Metr. Kor.* ks. 163, f. 147 i ks. 185, f. 5).

Domicela, córka Jana Szymona Szczawińskiego, wojewody brzeskiego, żoną nie Krystyna, lecz Konstantego Lubomirskiego, podczaszego koronnego (*Metr. Kor.* ks. 192, f. 123 i *Sig.* ks 5, f. 112).

Stadnickich linia, pisząca się ze Żmigrodu, wydała od 1490 r. trzech wojewodów i dziesięciu a nie czterech kasztelanów, jak się podobą autorowi *Złotój księgi* zamieścić.

Oprócz kilkudziesięciu monografii znajdujemy w *Złotój księdze* tablice genealogiczne domu Pilawitów Potockich. Tablice te ułożone zostały przez p. Ż. na podstawie *Monografii Potockich*, skreślonej przez hr. Kossakowskiego i notat udzielonych mu łaskawie przez niektórych członków tej rodziny.

Dlaczego autor *Złotój księgi* nie poszedł za przykładem danym mu przez hr. Kossakowskiego i nie rozpoczął rodowodu Potockich od Macieja, od którego zaczynają się niezbite dokumenta genealogiczne tego domu i od którego sama rodzina Potockich, genealogią swoją rozpoczyna?

Dlaczego dał im za protoplastę Jakóba, który miał być w 1398 r., kasztelanem radomskim, a w rzeczywistości nigdy nim nie był: trudno zrozumieć.

Że Jakób z Potoka nie był w 1398 r. kasztelanem radomskim, dowodzą zapiski sądowe Helcla, w których znajdujemy na tym urzędzie

w latach: 1390, 1398, 1400 i 1403, Klemensa, który jak nas *Volumina Legum* pouczają, pisał się z Mokrska (*Vol. Leg. r. 1413*).

Tak dla wiadomości autora *Złotej księgi*, jakoteż przyszyłych heraldyków, którzyby o domie Potockich pisali, oprócz powyższego sprostowania dajemy o tej rodzinie następujące szczegóły:

Jakób Potocki, który miał być marszałkiem dworu Zygmunta Augusta, podówczas królewicza, z podsędka został w 1543 r., podkomorzym halickim (*Metr. Kor. nr. 64, f. 275*).

Tenże Jakób nie był żonaty z Koźmińską, albo też ta Koźmińska była wprzód za Jemielnickim i liczniejsze z niej zostawił potomstwo niż to, o którym autor *Złotej księgi* wzmiankuje, gdyż w aktach warszawskich zwanych *dudkami*, w ks. 43, f. 465, pod rokiem 1556 znajdujemy wyrok działowy zapadły pomiędzy Łucyą, żoną Mikołaja Szczuckiego, Anną Dobromirską, Mikołajem, Janem, Andrzejem, Elżbietą, żoną Jana Śmietanki, Anną, żoną Mikołaja Korycińskiego i Katarzyną panną, dziećmi niegdy Jakóba Potockiego podkomorzego halickiego i Katarzyny Jemielnickiej, o dobra ojczyste Babczyńce, alias Krzyków, Suchodół, Kowiaczen, Krzewo, Bednarów i Sidorów. Jednocześnie z Jakóbem Potockim żył Jan Potocki, który w 1542 r. został cześnikiem halckim, (*Metr. Kor. ks. 63, f. 114*).

Żonie Mikołaja Potockiego Czermińskiej, było na imię Anna; posiadali dobra Jabłonów w powiecie trembowelskim (*Metr. Kor. ks. 79, f. 188* i akta ziemskie kamienieckie, ferya 5 po Ś-tjej Agnieszce, 1577 roku).

Z córek Mikołaja z Czermińskiej, Katarzyna była za Wołuckim (*Metr. Kor. ks. 158, f. 237*).

Jadwiga, a nie Elżbieta Prusinowska była żoną Jakóba wojewody brackawskiego (*Metr. Kor. nr. 142, f. 72*).

Anna, córka Andrzeja Potockiego z Piaseckiej, była 1 v., za Stanisławem Golskim, 2 v., za Konstantym, księciem Zasławskim, 3 v., za Karolem, księciem Koreckim. Z tym ostatnim miała syna Samuela i córkę Eufrozynę. (Wyroki trybunału lubelskiego z 1621 r. i akta ziemskie kamienieckie, ferya 5 po ś. Stanisławie biskupie, 1630 r.).

Z kilkunastu bardzo starannie skreślonych monografii w *Złotej księdze*, doszliśmy do przekonania, że gdyby p. Ż., przed jej wydaniem poznał dokładnie wydawnictwa źródłowe lat ostatnich i na ich podstawie nie powtarzał, ale odrzucał i prostował błędy popełnione przez poprzednich heraldyków, umiejętny czynił wybór z nadsyłanych mu przez rodziny dokumentów i notatek, a nakoniec cytował źródła z kąd wiadomości czerpał, praca jego byłaby się w zupełnie inném przedstawiła świetle i nosiłaby tę cechę prawdy, którą każde dzieło heraldyczne, jako wchodzące w zakres historii nosić na sobie winno. Miějmy nadzieję, że w przyszłym roczniku autor *Złotej księgi* staranniej opracuje zapowiedziane monografie, podań rodowych lub legend za prawdę historyczną podawać nam nie będzie, zwróci szczególną uwagę na daty, które w dziele heraldyczném ważną odgrywają rolę, a wtenczas bezwątpienia

praca jego przyniesie i pożytek ogółowi i znajdzie poparcie w kołach rodzinnych.

Adam Boniecki.

Jan Łaski arcybiskup Gnieźnieński sprzymierzeńcem Sultana Tureckiego, przez d-ra Aleksandra Hirschberga. We Lwowie. Nakładem Tygodnia, 1879 r. (W 12-ce, str. 76).

Nieobcą nam jest znakomita postać Jana Łaskiego. Wiemy ile zasług położył dla kraju, dla Kościoła i nauk; nie mogliśmy go wszelako posądzać, ażeby tak wysoki dostojnik Kościoła był sprzymierzeńcem sultana.

Dr. A. Hirschbergowi podobało się widać to zestawienie, pozory biorąc za rzeczywistość, dla samej swój oryginalności; bo jakże to brzmi donośnie: najwyższy kapłan polski i padyszach mużułmański w przymierzu! Zawsze to tytuł nowy, i rzecz jakby nowa, chociaż nią nie jest bynajmniej.

Stanisław Bużeński w dziele swoim: *Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów korony polskiej i wielkiego księstwa litewskiego, od Wilibalda do Andrzeja Olszowskiego włącznie*: (z rękopismu łacińskiego) przełożył Michał Bohusz Szyszko, z dodatkami M. Malinowskiego. Wilno, 1860 r., dosyć obszerny życiorys Jana Łaskiego podaje, (t. II, str. 165). W nim znajdujemy dowody, na wplątanie się wprawdzie w sprawy węgierskie, które popierali Turcy, ale wplątanie to nastąpiło za pośrednictwem jego synowca Hieronima Łaskiego, zarówno zręcznego i biegłego dyplomaty jak dzielnego wojownika. Nieśnie jednak go nazywać sprzymierzeńcem sultana.

F. M. Sobieszczański w *Encyklopedyi Powszechnej* (większej) S. Orgelbranda, wydrukował także życiorys Jana Łaskiego, wspomina o zawziętym nań gniewie Rzymu; ale mylnie dodaje, że papież rzucił kłatwę na arcybiskupa i jego rodzinę. Rzecz tę bliżej nam rozjaśnia dr. Aleksander Hirschberg, i z tego powodu jego praca jest szacowném uzupełnieniem pomienionych życiorysów. Rzechy nawet można, że ona stanowi główną treść rozprawki autora, i dała niefortunny pomysł nadania zasłużonemu arcybiskupowi tytułu sprzymierzeńca z sultanem tureckim.

Spraw węgierskich, do których wplątał się ukochany przez prymasa synowiec Hieronim Łaski Bużeński lekko wspomina, F. M. Sobieszczański zaledwo dotyka; lubo obaj przyznają, że spory z tego powodu z Watykanem, przyspieszyły zgon sędziwemu arcybiskupowi. Niemasz wątpliwości, że Jan Łaski wplątany w zatargi węgierskie, niepomagał swoim wpływem i pieniędzmi synowca Hieronima; że się opiekował zaciężnemi jego rotami, które z Niemiec sprowadzał Hieronim: to było powodem, że dwór wiedeński zagrożony utratą Węgier, gdyby się Jan

Zapolya utrzymał na tronie, a tego właśnie wspierali Łascy; zbliżywszy się do Watykanu znalazł w nim pomoc i opiekę przemożną. Klemens VII papież, naciskowi błagalnemu Habsburgów niemógł się oprzeć: wymierzył więc cios najsilniejszy na arcybiskupa naszego. Z rozkazu Ojca św. złożono sąd w tej sprawie i kazano się osobiście stawić przed nim oskarżonemu: postanowienie to papieża, widocznie pod wpływem dworu wiedeńskiego pisane, jeżeli z jednej strony ukazuje całą uległość Klemensa VII dla Karola V, z drugiej, nagromadzenie niesprawiedliwie wielu zarzutów na głowę sędziwego arcybiskupa. W piśmie tém Jan Łaski nazwany: „zdrajcą Kościoła, sprzymierzeńcem heretyków i sułtana tureckiego, arcydyabłem i judaszem.“

Przecież to dyktowała zemsta i złość niemiecka. Wszystkie grzechy przeciw Habsburgom synowca Hieronima rzucono na głowę arcybiskupa, i sędziwego starca przed sąd do Rzymu powołano: powtarzamy, zemsta i złość niemiecka niepowinny były młodego badacza nakłaniać do kładzenia tych słów na karcie tytułowej, do zohydzenia pamięci męża, który zasłużył sobie na lepsze u potomności wspomnienie.

Tento sam Jan Łaski jest wydawcą *Statutów*, czyli pierwszego zbioru praw 1506 r., na czele których znajdujemy po polsku pieśń *Boga Rodzica*. Jestto ze znanych dotąd pierwszy druk polski. Jan Łaski pierwszy téż radził założyć bank krajowy pod imieniem *Mons pietatis*, na który złożyć się mieli posiadacze ziemscy. Nie żałował złota na kupno ksiąg i rękopismów. Nabył bibliotekę sławnego Erazma z Rotterdamu (T. Czacki: *O polskich i litewskich prawach*). Arcybiskup zmartwiony niepowodzeniem synowca, a więcej gromami Rzymu, które niespodzianie zahuczały nad jego głowę, patrząc na coraz liczniejsze grono swoich zaciętych wrogów, zarówno w Krakowie, w otoczeniu dobrego króla Zygmunta I, i w Rzymie przy boku Ojca Św. Klemensa VII, złamany zgryzotą, umarł w Kaliszu 1531 r.

Zarzucano mu że zbyt wiele usiłowania, w celu wyniesienia swój familii: zarzut ten popierają dowody. Rzeczywiście miał to na myśli arcybiskup, nie żałował po temu ani starań, ani zabiegów i wpływu osobistego, ani téż hojnego złota, a miał niemałe dochody: synowców, swoim kosztem edukował, wysyłał za granicę, a następnie starał się o ich znaczenie w kraju. Zabiegi te mnożyły mu coraz więcej nieprzyjaciół.

Była to słabość arcybiskupa dla imienia Łaskich, ale srodze ją i to w sędziwych latach odpokutował. Kochany synowiec (którego udział w sprawach węgierskich wymownie opisał Mikołaj Malinowski w *Tece Wileńskiej*) nie dopiął dumnych zamiarów, a starzec wplątany przez niego, o mało gromem klątwy papieżkiej niedosięgnion, zagrożonym został utratą dostojności arcybiskupiej. Gorzkie téż miał ostatnie chwile życia wtedy, gdy myślał swobodnie odetchnąć i zbierać owoce swych trudów, nakładów i pracy. Dr. A. Hirschberg, ze współczuciem pisze o ostatnich latach życia Łaskiego; nie pojmujemy przeto powodu, dlaczego na karcie tytułowej nadał mu przydomek *sprzymie-*

rzeńca sultana, uprzedzający z góry źle, o arcybiskupie, gdy w ciągu całej swój rozprawy mówi o nim z umiarkowaniem, boleje nad jego niedolą i dodatnich stron tego kapłana bynajmniej nie ukrywa.

K. Wł. Wójcicki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Lipiec 1879 r.— Do rzędu nowych pism czasowych, które powiększyły poczet wychodzących, należą dwa razy na miesiąc wychodzące *Mody paryzkie*, a od 1 lipca r. b. pojawiający się *Ogrodnik Polski*, dwutygodnik pod redakcją E. Jankowskiego, pismo użyteczne, bo oddane wyłącznie sprawom ogrodnictwa polskiego. Zdobić je będą kolorowe tablice owoców i *fototypy* tekst objaśniające. Rękopis wartości pisma jest redaktor specjalista w swym zawodzie ogrodnictwa, i pomoc uzyskana przez niego pomiędzy miłośnikami tej gałęzi gospodarstwa krajowego.

— Na Cmentarzu Powązkowskim stanął w pierwszej połowie lipca r. b. pomnik na grobie ś. p. Jana Feliksa Piwarskiego zmarłego 17 grudnia 1859 r. Znakomity rysownik, od pierwszego pojawienia się *Tygodnika Ilustrowanego*, objął w nim ster części artystycznej i do śmierci prowadził. Jego *Kram malowniczy* pozostanie dziełem pełnym wartości i przechowa pamięć zacnego artysty jako profesora uniwersytetu Warszawskiego, Szkoły Politechnicznej, a następnie w Gimnazjum Realnym i w Szkole Sztuk Pięknych. Imię Piwarskiego ściśle się łączy z dziejami sztuki polskiej. Pomnik ten stanął staraniem uczniów ś. p. Piwarskiego.

— W *Tygodniku Ilustrowanym* znajdujemy pyszny drzeworyt rysunku Juliusza Kossaka, przedstawiający konsekracją biskupa Albina Dunajewskiego w kościele archidiecezjalnym N. Panny Maryi w Krakowie.

Jest to chwila gdy czcigodny kapłan, w ubiorze biskupim, zpod baldachimu podtrzymywanego przez mieszczan Krakowa, przybranych w stroje narodowe, błogosławi ludowi jako biskup krakowski. Wyborny rysunek, jak wycięcie rylcem nie pozostawiają nic do życzenia.

— Ludwik Kucharzewski rzeźbiarz zamieszkały w Warszawie, otrzymał od cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu wielki medal srebrny, jako nagrodę za posąg *Rozbitek*.

— W przeszłym zeszyście wspomnieliśmy o odkryciu wizerunku Jana Sobieskiego z natury malowanego. *Gazeta Warszawska* podaje nam o nim bliższe i dokładniejsze szczegóły.

„Proboszcz królewskiej kaplicy w Gdańsku posiada wyborny oryginalny portret króla Jana Sobieskiego. Obraz na pięterku plebanii spoczywał długo w zapomnieniu, z którego wy dobył go dopiero Matejko podczas pobytu swego w Gdańsku przed dwoma laty. Portret ten wykonał w r. 1677, podczas pobytu Jana III w Gdańsku, malarz w swoim czasie sławny nie tylko w Niemczech, ale także we Francyi, Daniel Schültze. Obraz ten ma wysokie zalety techniczne i pomimo retuszów i poprawek późniejszych, nie jest zbyt uszkodzony. Portret jest wyśmienicie indywidualizowany. Przedstawia on Sobieskiego jako męża 50-cio letniego o czerstwej twarzy, pełnej wyrazu, z rysami energicznymi, ale nie twardymi, ze spojrzeniem ożywionem myślą i przeblyskiem niepospolitej duszy. Głowa bardzo dobrze i delikatnie modelowana. Proboszcz dr. Redner, obecny właściciel portretu, ma zamiar rozpowszechnić go w drodze fotograficznej i spodziewa się, że ponieważ obchodzić będą wkrótce w Wiedniu dwusetną rocznicę oswoobodzenia stolicy Habsburgów przez króla Sobieskiego, być więc bardzo może, że znajdzie się jakiś miłośnik pamiątek dziejowych, który portret ten nabyte do swego zbioru.”

— Dom Kościuszki w Solurze, po śmierci, w kwietniu 1878 r. ostatniej jego właścicielki, panny Zuzanny Amelii Thomas, angielski, został sprzedany. Nabył go na licytacji publicznej „bank pomocy” (hülfs bank), za cenę 53 tysiące franków i odprzedał za 75 tysięcy franków. Na domu tym znajduje się marmurowa tablica, wmurowana w roku 1864, z napisem przypominającym, że Kościuszko tu mieszkał i umarł.

Po Kościuszcze dom przeszedł na własność Zeltnerów. Przed rokiem 1830 nabył go Anglik Thomas, po jego śmierci właścicielkami zostały dwie jego córki, z których ostatnia zmarła w zeszłym roku. Angielska ta rodzina zachowała pozostałe po nim pamiątki. Pomiędzy niemi było łóżko, na którym zmarł Kościuszko; nad łóżkiem w alkwie wisił jego portret, umieszczony tam w r. 1843 z odpowiednim napisem.

Nabył także łóżko, w którym wielki wódz i patriota zakończył życie d. 15 października 1817 r. w Solurze. Dwaj notaryusze solurscy poświadczyli w sposób urzędowy autentyczność tej pamiątki. Oprócz łóżka nabył ozdoby bronzowe i tapety z mieszkania Kościuszki, a od dawna już posiada liczne tegoż autografy i korespondencje, rachunki prywatne, *facsimile* testamentu i dokumentu, którym Kościuszko uwolnił włościan w swych dobrach od pańszczyzny (oryginały ostatnich dwu dokumentów znajdują się w archiwach kantonu solurskiego); dalej kilka oryginalnych portretów generała z różnych epok jego życia, jego włosy i jego wyroby z czasu niewoli rossyjskiej.

— Postanowiono w mieście Brody wmurować płyty pamiątkowe w domu, gdzie się urodził Józef Korzeniowski dramaturg i powieściopisarz naszego okresu.

— Kończy się *Encyklopedia Rolnicza*, starannością i poparciem obywateli ziemskich doprowadzona szczęśliwie do skutku. Obecnie zapowiedziany mamy przez redakcyą *Wędrowca: Słownik geograficzny*, na który oczekiwaliśmy długo daremnie. Do redakcyi tój pożądanej publikacyi, przystąpił także obywatel gostyński, powszechnie szanowany Władysław Walewski, brat starszy ś. p. Cypryana, znanego bibliografa i historyka. Słownik wychodzić będzie miesięcznie zeszytami. Spodziewamy się, że wydawnictwo to znajdzie silne poparcie i rozpoznanie w naszej społeczności.

— J. I. Kraszewski, na list, który p. Correnti napisał w imieniu króla włoskiego, przesyłając jubilatowi order Korony włoskiej, odpowiedział w następujących słowach:

„Panie komandorze!

„Nie śmiem utrudzać Króla Jegomości wyrazami głębokiej wdzięczności mojej za osobliwy zaszczyt, jakim mnie obdarzył; proszę przeto Waszój Ekscelencyi, abys złożył u stóp Jego Król. Mości dzięki moje i zapewnienie uszanowania i przywiązania, jakie czuję dla Niego.

„Dumny jestem z tego objawu dobrych chęci, albowiem nie mogę go uważać, jako tyczący się jedynie mojej osoby i przypisuję go wspaniałomyślnemu współczuciu Jego Królewskiej Mości...

„Zasługiwać na tę łaskę będzie odtąd celem wszystkich moich usiłowań.

„Wasza Ekscelencya raczy przyjąć także za udział, jaki wzięłeś w mojej nominacyi, dziękczynienie moje i hołd najwyższej wdzięczności. Wiem dobrze, że ją zawdzięczam całkiem życzliwej Waszój Ekscelencyi opiece.

„Chciój przyjąć, panie komandorze, wyraz mojej wdzięczności i najwyższego poważania, z jakim mam zaszczyt zostawać Waszój Ekscelencyi najniższym i najżyczliwszym sługą

J. I. Kraszewski.

Drezno, 5 czerwca 1879 r.”

— *Korespondencya ze Żmujdzi.* Z powiatu Poniewieskiego otrzymujemy następujące szczegóły o pobycie Jego Ekscelencyi Administratora Dyecezyi Żmujdzkiej, biskupa Beresniewicza.

Często piszą o mieszkańcach innych krajów, jak np. o tyrolczykach austriackich, że to mają być ludzie religijni, uczciwi i nabożni—nie przeczę temu. Lecz żeby ciż sami turyści zwiedzili żmujdzką krainę i byli obecni, zwłaszcza w czasie wizyty kościołów przez Pasterza, wtedy tylko mogliby porównać i cenić z innemi i naszych niemniej, ale może i więcej gorliwych o chwałę Bożą ludzi. Nie wiem czy się znajduje na kuli ziemskiej jaki inny naród, tak miłujący Boga, swą religią i jej przewodników, jak żmujdzki. Kapłan w jego myśli i oczach

jest świętą osobą. Ten naród silny w wierze i czystych obyczajów, nie prędko do przyjęcia nowości, trzyma się ślepo tradycji i podania. Powaga religii może nim tylko kierować we wszystkim, na resztę spogląda obojętnie. W biedzie i nieszczęściu cierpliwy i wytrzymały, nie oddaje się rozpacz; lecz powierza się Opatrzności i oczekuje od niej pociechy i pomysłnego końca. Byłem obecnym w trzech parafiach przy Pasterzu. Pomimo woli i męczkości łązy stają w oczach patrząc na ten drogi, niewiuny i nie skażony materyalizmem XIX wieku widok: z jakim zapałem, ochotą i wiarą gorącą starał się lud okazać posłannikowi Bożemu swą radość i przywiązanie. Dnia 20-go czerwca, gdym jechał do m. Podbirza, gdzie miał przybyć nasz ukochany Pasterz, z sąsiedniej parafii, po drodze tej zastałem mieszkańców w uroczystych szatach oczekujących na biskupa, dziewczęta z wieńcami na głowach, trzymające bukiety w rękę, niektóre z koszykami pełnymi kwiatów dla posypania drogi. Ulice po wszystkich wioskach pozamiatane, wysypane żółtym piaskiem, gałązkami jodłowemi, a indziej tatarakiem. Gościniec nawet w niektórych miejscach blisko siedzib ludzkich zamieciony. Przy wstępie do każdej wsi i miasteczka powiewają na zielonej tryumfalnej bramie trzy czerwone chorągwie, bramy zaś splecione z wieńców róż, kwiatów rozmaitych i girland z liścia dębowego, dla większego efektu porozwieszane obrazy świętych, a z góry na dół porozwieszane firanki różnokolorowe. Dalej przez całą wioskę i to wszędzie aleje drzew zielonych, powtykanych w ziemię, na których powiewają wstęgi rozmaitych barw i figury symboliczne, powystrzygane z kolorowego papieru; na parkanach w wielu miejscach dały się widzieć obrazy Ojca Św. Leona XIII i świętych, białe opony i chustki odświętne zamiast dywanów, zdobyły ich parkany. I to lud prosty, nie umiejący pisać, nie znający estetyki i symetrii, zdobywa się na to wszystko i podług gustu własnego ozdabia wspaniale mieszkania swoje. Kto mu to dyktował, kto go zmuszał do tego i rozkazywał? Zapewne że nikt ze śmiertelnych, ale gorące serce i uczucie miłujące Boga, religią i jej przedstawicieli.

Była już dziesiąta godzina wieczór, gdy dał się słyszeć głos dzwo-
nu, zwiastujący wjazd do Podbirza Pasterza. Powstał ruch ogólny, na
każdego twarzy malowała się radość, wszyscy cisnęli się ku pojazdom
i klękawszy z pochylonemi głowami, odbierali błogosławieństwo. Przy
śpiewie chóru majestatycznie wszedł Pasterz do kościoła i pomodliwszy
się Bogu Najwyższemu, w języku ludowym rzekł: „Niech będzie pochwa-
lony Jezus Chrystus.” Przemówiwszy krótko i rzewnie, udał się na ple-
banią, w towarzystwie duchowieństwa i obywateli, witany przez naród.
Następne dwa dni bierzmował dorosłych i dziecię. Na dwa obiady
zaprosili państwo baronowie Helsztejnowie Pasterza z duchowieństwem
całym i okolicznych znajomych, gdzie po staropolsku podejmowali gości
ze szczerem sercem i otwartą dłońią, nie ubliżając najmniejszemu. Po
kilku dniach udaliśmy się do innej parafii, gdzie tak samo drogi nasz
Pasterz był witany. Dało się widzieć i to, że przy zbliżaniu się Jego

Ekscelencyi ku oczekującym go wieśniakom, ci ostatni klęcząc śpiewali pieśni święte, a widok ten ich pokory ścisła serce przechodnia. W mieście Kryniczynie sam proboszcz miejscowy w przeciągu trzech dni starannie podejmował Pasterza, duchowieństwo i gości. Dalej ruszyliśmy do Poswola, tu było arcy-pięknie wszystko urządzone, przez trzy tryumfalne bramy od pola do kościoła, przy niezliczonym zgietku narodu, nasz najzacniejszy Pasterz wstępował do świątyni, przy śpiewie psalmu, witany przez lud na klęczkach, który odbierał błogostawieństwo. Tu również miejscowy proboszcz podejmował otwartem sercem biskupa i duchowieństwo. Gdy przyszło rozstać się z ukochanym Pasterzem, naród, który czekał od rana na czczo, cisnął się do plebanii i całował szaty Pasterza ze łzami w oczach i sypiąc kwiaty przepuszczał dalej. Ten dzień pamiętnym będzie w sercach parafian i w dziejach roczników kościoła Poswolskiego. Ks. K. G.

— W czasopiśmie *Deutsches Montags Blatt*, wychodzącym w Berlinie, znajdujemy obszerniejszą ocenę obrazu w tej stolicy wystawionego, Jana Matejki, *Bitwa pod Grunwaldem*, przez p. Ernesta Tepera. Gazeta *Echo* podała ją w streszczeniu, z czego się pokazuje sąd umiarkowany, lubo zawsze mniej przyjazny. Przyznaje wielkie zalety temu utworowi pędzla naszego mistrza i stawia w rodzaju batalijnych, pomiędzy pierwszymi z naszego stulecia.

— L. Liard. *Pozytywizm i metafizyka (La science positive et la metaphysique)*. Paris, 1879.

Autor, profesor filozofii w Bordo, w dziele swoim podaje ogólny a treściwy zarys nauki Augusta Comte'a, angielskiej teorii asocjacyi, ewolucjonizmu Herberta Spencera; księga druga zawiera *krytykę*. Szczególniej udatnie podaną jest teoria poznania Kanta. Liard jednak przestawił punkt wyjścia; nie rozpoczyna od subjektu, lecz od świata przedmiotowego, chociaż w końcu otrzymuje kantowskie wyniki, a mianowicie: odgraniczenie przestrzeni, czasu, liczby, substancyi i przyczynowości, jako subiektywnych ram doświadczenia. Najważniejszy, już organiczny dział stanowi *metafizyka*. Z ogólnych pociągów pióra orzeknąć można, że dzieło p. Liard stanowi bardzo szczęśliwą próbę urzędzenia, a raczej usystemowania filozofii na sposób germański.

Pod wpływem jużto studyów o Heglu, Szellingu, jużto wskutek dokonywanego stale przekładu arcydzieł myśli niemieckiej, we Francyi poczyna zapuszczać korzenie jakiś prąd pośredni pomiędzy angielskim *common sense*, a ciężkim porządkiem gotyckim.

P. Liard uznaje, że wiedzący się podmiot nie jestto jedynie szereg zjawisk, lecz raczej działalność, wprawdzie nieustannie zmienna, zawsze jednak zachowująca tożsamość z sobą, trzymająca władzę nad swemi wyjawami i wiążąca je jednością samowiedzy. Rdzeniem działalności podmiotu, jak sądzi nasz autor, jest wola. Ztąd bardzo naturalnie nasz mędrzec szerokie zakreśla granice potędze podmiotu i broni jego kompetencyi wobec materializmu, panteizmu i spirytualizmu. Wszystkie systemata grzeszą podług niego przesadzonem użyciem to subjektu,

to obiektu za punkt wyjścia. Dla otworzenia sobie drogi do absolutu, p. Liard kładzie za podstawę pojęcie *doskonałości* i *swobody*. Wprawdzie swoboda w człowieku nie jest bezwzględna; człowiek jest wolnym nie absolutnie, boć i duch bezwzględny nie jest, wprawdzie człowiek oznamienia (determinuje siebie), ale pierwotnie uzyskuje on znamiona i zpoza siebie, swoboda jego nie jestto swoboda czysta, lecz i determinowana koniecznością. Wszakże (w granicach danych i uprawnionych już subiektywnością ludzką) mocą swobody człowiek ma tę zdolność, że sam *przepisuje sobie prawo rozwoju*. Niemielibyśmy nic przeciw takiemu pojmowaniu, gdyby autor nie był ograniczył się na sferze moralnej. Coś podobnego mówi i Schopenhauer o woli twierdząc, że wola wytwarza dla siebie organizm, jako warsztat do przeprowadzenia swoich celów, ale celów metafizycznych. Swoboda zaś p. Liarda, ograniczona dziedziną *moralną*, prawodawczynią swego rozwoju być nie może. Otóż wypada nam z kolei odwrócić system szanownego profesora najpiękniejszą jego stroną: doskonałość i to doskonałość *moralną*, bierze on za podstawę metafizyki, opierając się na tém, że fakta etyczne również są danymi, jak i fakta intelektualne. Jak zmysłowe doświadczenie rozpoczyna naukę, tak i doświadczenie moralne stanowić powinno początek metafizyki: „Umienie poprzedzonym jest przez sumienie,” mówi nasz autor. Idzie mu tedy nietyle o *ducha*, jak raczej o *duszę*. Dla uznania metafizyki moralnej, mówi on, potrzeba wierzyć „z najlepszą wolą, iż prawda moralna jest pierwszym i ostatniem słowem wszechrzeczy.”

Z całym przekonaniem radzimy czytelnikom zapoznać się z dziełem p. Liarda.

† Dnia 29 czerwca r. b., umarł w Warszawie *Apolinary Kątski*, dyrektor Instytutu muzycznego w naszym mieście. Urodzony w Warszawie 1825 r., był czwartym synem Grzegorza b. inspektora Lyceum warszawskiego. Wszyscy czterej bracia zasłynęli szeroko po świecie, jako artyści muzyczni: dwaj jako fortepianowiści, dwaj jako skrzypkowie, Karol i Apolinary. Ale zmarły prócz tego położył wielkie zasługi jako założyciel i twórca Instytutu muzycznego w Warszawie, krzewiąc zamiłowanie do jednej ze sztuk pięknych. Dziś u grobu, gdzie wszystkie zawiście gasną, prawda sama odda należny hołd Apolinaremu, że za jego wyłącznem działaniem i energicznem staraniem, Instytut pomieniony powstał i rozwijał się.

— Dnia 28 czerwca r. b. umarł w Louvain w Belgii *Tomasz Massalski*, autor głośnego w swoim czasie dzieła p. n.: *Pan Podstoli*, w 5 tomach (Wilno 1831–1833 r.), który miał stanowić dalszy ciąg *Pana Podstolego*, Krasickiego. Praca ta wyszła wkrótce po rosyjsku w Petersburgu. W dziale filologicznym ogłosił: *O skarbach słowni- skich, a szczególniej o gramatyce języka polskiego* (Warszawa, w 8-cie 1853 r.). Był też współpracownikiem kilku pism czasowych, a między temi i *Tygodnika Petersburckiego*. Urodzony na Litwie 1800 r., początkowe nauki pobierał w akademii Jezuickiej w Połocku, wyższe w uniwersytecie Wileńskim. Ostatnie lata spędził w Louvain w Belgii, gdzie syn jego Urban jest profesorem Uniwersytetu, tam też w 79 roku wieku zakończył życie i pochowany został.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.